

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 12/531**

**1991**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

M. PACZOWSKA: **ROZMOWA Z PREZ.  
EDWARDEM RACZYŃSKIM**

K. WOLICKI: **CHAOS OBYWATELSKI**

A. ROMER: **PO DWÓCH LATACH**

A. BUCHNER:

**JESIENNE GRANIE W WARSZAWIE**

**INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW ROCZNIKA  
«KULTURY» ZA ROK 1991**



# SPIS RZECZY

Maria Paczowska:	<i>Rozmowa z Prezydentem Edwardem Raczyńskim</i> .....	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Cmentarz Południa</i> .....	17
Piotr Piętał:	<i>Budowanie ruin</i> .....	35
WIERSZE		
Adam Tadeusz Bąkowski:	<i>Psalm</i> .....	42
Tadeusz Chabrowski:	<i>Druciane skarpetki</i> .....	43
Małgorzata Kobierska:	<i>Polska w sierpniu 1989</i> .....	43
Adam Lizakowski:	<i>Amadeusz</i> .....	44
Maciej Niemiec:	<i>Dni lata</i> .....	45
Katarzyna Zecheater:	<i>* * *</i> .....	45
Maciej Ziętara:	<i>Goya – Kaprysy</i> .....	46
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Chaos obywatelski</i> .....	47
Smecz:	<i>Z ukosa</i> .....	54
Mariusz Szczygiel:	<i>Miasteczko, które nie widzi nadziei</i> ...	67
SPRAWY I TROSKI		
Andrzej M. Kobos, Jerzy Krzystek:	<i>Prezydent pochylał głowę</i> .....	73
U.L.B.		
Andrzej Romer:	<i>Po dwóch latach</i> .....	81
Bohdan Osadczuk:	<i>Kacap i chachoł</i> .....	94
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	98
Monika Agopsowicz:	<i>Ukraina: fakty i prognozy</i> .....	104
Walerij Mastierow:	<i>Rosyjski Kurier Warszawski</i> .....	110
—	<i>Ratujmy cerkwie</i> .....	111
KRONIKA KULTURALNA		
Antoni Buchner:	<i>Jesienne granie w Warszawie</i> .....	112
Tadeusz Chrzanoski:	<i>Interarmizm i modyzm</i> .....	119
Jerzy Giedroyc:	<i>Uroczystość w Bibliotece Polskiej</i> ....	127
Janina Januszewska- Skreiberg:	<i>Festiwal Ibsenowski w Oslo</i> .....	129
CI, CO ODESZLI		
Jacek Bierezin:	<i>Jan Józef Lipski</i> .....	131
Antoni Buchner:	<i>Andrzej Panufnik (1914–1991)</i> .....	138
KSIĄŻKI		
Stanisław Frenkiel:	<i>Książka o Adamie Kossowskim</i> .....	143
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Mickiewicz osobliwie potraktowany</i> ...	146
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	150
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kronika kana- dyjska</i> .....	152
•		
A. Nasielski, A. Buchner, W. Popławski:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	157
Redakcja:	<i>Do Czytelników krajowej „Kultury”</i> ...	159
•		
—	<i>Indeks Autorów i tematów rocznika „Kultury» za rok 1991</i> .....	160

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień - Décembre 1991

INSTYTUT



LITERACKI



# KULTURA

**REDAKCJA «KULTURY» SKŁADA SWOIM  
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM  
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE**

## WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Halina Grodzicka, Buenos Aires, Argentyna po raz 13-y — dol. USA 200,00 .....	F. 1.080,00
Józef K. Jordanowski, Elisabeth, NJ (USA), po raz 9-y — dol. USA 17,00 .....	F. 91,00
Dr Stanisław N. Korzeniowski, River Forest, IL (USA), po raz 33-i — dol. USA 16,00 .....	F. 86,00
H.P., Sztokholm — dla uczczenia pamięci Tomasza Ludawskiego, w piątą rocznicę Jego śmierci .....	F. 200,00
W drugą bolesną rocznicę śmierci Fryderyka Topolskiego — żona, córka, zięć i wnuki z Toronto — dol. can. 50,00 ...	F. 237,50
W 4-tą rocznicę tragicznego zgonu Przyjaciela, Andrzeja Semkowa — Maria i Wojciech Topperman z Toronto — dol. can. 50,00 .....	F. 237,50
W 40-tą rocznicę śmierci dr. Bazylego Goroszeniuka, zmarłego 14 lipca 1951 r. od żony Zofii i syna Teodora (z Londynu) .....	F. 400,00
Henryk Zegadło, Soller, Mallorca (Hiszpania) — DM 30,00 .....	F. 100,00

Fundusz Kazimierza F. Vincenza i Halszka Vincenzowa-Poniatowska, Zurich — w odpowiedzi na powstanie KOR-u inicjatorka i współzałożycielka (w 1976 r.) Hilfskomitee für die verfolgten Arbeiter in Polen — dla uczczenia pamięci ks. Jana Ziejki:

— na fundusz „Kultury” — Frs 500,00 .....	F. 1.912,80
— na Fundację Pomocy Bibliotekom Polskim — Frs 500,00 .....	F. 1.919,80

DZIĘKUJEMY

## Rozmowa z Prezydentem Edwardem Raczyńskim\*

### FRAGMENTY

**MARIA PACZOWSKA:** — *Czym była dla Pana Prezydenta emigracja?*

**EDWARD RACZYŃSKI:** — Jestem złym przykładem emigranta. Już przed wojną znałem Szwajcarię, bo w Genewie byłem przedstawicielem Rządu Polskiego przy Lidze Narodów; znałem Francję, gdzie służyłem jakiś czas jako dyplomata. Miałem tam krewnych mojej pierwszej żony, Angielki. Dlatego dla mnie pozostanie na emigracji nie było rozszerzaniem, ale nawet raczej zwięzaniem tych licznych kontaktów. To były dla mnie kraje w dalszym ciągu obce, ale równocześnie bardzo dobrze znane — z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych. Tam byłem tylko krótko w charakterze kierownika, odpowiedzialnego za sprawy zagraniczne w czasie wojny. Ale w Europie znałem wiele osób, tak że moje pozostanie na emigracji było przedłużeniem poprzedniego stanu i w pewnej mierze, jak już powiedziałem, nawet zwięzaniem go.

**M.P.:** — *Co daje emigracja jako doświadczenie, czego można nauczyć się będąc emigrantem?*

\* Rozmowa z Prezydentem Edwardem Raczyńskim, utrwalona przez Marię Paczowską 28 stycznia 1988 roku, należy do serii rozmów przeprowadzonych w tym okresie w Londynie z różnymi przedstawicielami emigracji polskiej z myślą o książce.

Korzystamy z niej w numerze grudniowym *Kultury* z okazji setnej rocznicy urodzin Edwarda Raczyńskiego.



E.R.: — Emigracja mogłaby bardzo wielu dobrych rzeczy nauczyć, ale obawiam się, że Polacy są nie bardzo zdolni do nauczenia się tego, co im emigracja dała. A mianowicie, rozsądku w ocenie sytuacji i w ocenie ludzi, pewnego szacunku dla metod demokratycznych. To wszystko wywarło bardzo mały wpływ na emigrantów, którzy mają swoją tradycję, bardzo zresztą cenną, ale którzy metod obcych nie nauczyli się. Natomiast metod obcych nauczyli się młodzi, którzy niestety równocześnie w dużej mierze zasymilowali się.

M.P.: — *Czy jest możliwe połączenie postawy Polaka-patrioty z postawą Polaka-obywatela świata?*

E.R.: — Mnie się wydaje, że Polak-patriota — termin używany przez Polaków — utrzymał się jedynie w gronie polskim. Natomiast słowo patriota w językach obcych, między innymi angielskim, to wcale nie wyróżnienie, dla Anglika np. patriota to zacołany wstecznik. Mimo to słowo patriota jest w języku angielskim jeszcze tolerowane, natomiast nie jest tolerowane słowo *nacionalist*. Jeśli się mówi o kimś, że jest nacjonalistą, to brzmi to jak potępienie.

M.P.: — *Jak się te pojęcia sumują czy odejmują: być Polakiem to znaczy być mniej obywatelem świata?*

E.R.: — Ja zawsze starałem się to łączyć. Mianowicie kiedy rekomendowałem cudzoziemcom jakiegoś rodaka, starałem się podkreślić jednocześnie jego wartość jako Polaka i jego wartość jako obywatela Europy, cywilizacji zachodniej, światowej. Więc w naszym pojęciu, jeżeli chodzi o moje rekomendacje, to się dobrze łączyło. Ale czy się dobrze łączy w oczach mieszkańców wolnych krajów zachodnich, w których mieszkamy? Tego jestem mniej pewien.

M.P.: — *Przy pomocy jakich przykładów można uzmysłowić młodemu człowiekowi to, co uważa się za poczucie honoru czy godności? Bo czasem wspomnienie o honorze powoduje wzruszenie ramion.*

E.R.: — Nawet krytykę budzi.

M.P.: — *Więc honor?*

E.R.: — Tutaj obawiam się honoru w cudzysłowie. A honor w cudzysłowie polega na tym, że Polak jest obraźliwy, dbały strasz-

nie o każdy szczegół, bardzo uważający, czy nie został pominięty i tak dalej. Ta honorowość powierzchowna, zabarwiona silnym egocentryzmem, jeszcze ciągle się niestety u Polaków trafia: zaliczyłbym ją raczej do słabości czy słabostek naszej cywilizacji czy naszego charakteru. Polak ma pewną tendencję do honoru w cudzysłowie, który w gruncie rzeczy jest obawą przed własną nieważnością.

M.P.: — *Obawą, że jest się obywatelem drugiego czy trzeciego stołu.*

E.R.: — Tak, Polak boi się tego, ma podświadome uczucie, że jest traktowany gorzej i może na skutek tego jest przesadnie wrażliwy. Polacy są często nadwrażliwi na tym punkcie. Naród polski w czasie wojny i w okresie powojennym wykazał niesłychaną wartość i siłę charakteru, odwagę i bezinteresowność. Te wspaniałe zalety polskie sprawiają, że Polacy mają do pewnego stopnia prawo i tytuł, żeby się tym trochę pochwalić.

Polski honor jest nie tylko na wynos, nie tylko dla pozoru, ale istotnie jest bardzo silny, bardzo istotny. Sam muszę powiedzieć, że jeszcze od czasów młodości bardzo często byłem skłonny namawiać ziomków, aby wychowywać tych, którzy ode mnie zależeli, ażebym w wyższym stopniu brali pod uwagę realia, a nie tylko stronę raczej romantyczną. I zawsze ten romantyzm polski, czy ten honor zewnętrzny uważałem za element słabości, a nie siły.

M.P.: — *Więc może poczucia honoru nie da się wytłumaczyć?*

E.R.: — Nie, nie można. Tym bardziej, że poczucie honoru i wartość honoru jest tym większa, im jest on bardziej ukryty.

M.P.: — *Spotykał Pan mnóstwo ludzi. Jakie cechy pociągały Pana w ludziach najbardziej?*

E.R.: — Właściwie te najbardziej zwykle, niemal prymitywne: odwaga, skromność, brak wszelkiej pyszałkowatości, a równocześnie bardzo stanowcze bronienie słuszności. Obrona prawdziwych wartości własnych i narodowych.

M.P.: — *Czyli wierność ideałom.*

E.R.: — Ale zawsze połączona z wielkim umiarem i przede wszystkim z wielką skromnością osobistą. Uważam, że to znacznie podwyższa wartości. Zwłaszcza zalety charakteru są tym piękniejsze, im bardziej wolne od wszelkiej reklamy.



M.P.: — *A wady, przywary, to co odpychające, to co dokuczają u ludzi?*

E.R.: — Nie będę mówił o ludziach nieuczciwych, bo istnieje taki typ człowieka, którego ja nie znoszę, z którym nikogo bym nie porównywał. Człowiek niegodny. Więc o tych nie chcę mówić. Natomiast jeśli idzie o tych, z którymi miałem i mam do czynienia, to pyszałkowatość, która zwykle idzie w parze z bardzo tępym rozumem. Mój stosunek do tego typu ludzi jest raczej pozostawieniem im samym sądu o sobie. Mogę przebywać w ich towarzystwie, nawet lubić ich, ale mam o nich raczej nie-dobre wyobrażenie, choć tego nie ujawniam na zewnątrz. Są to wady, które mi uniemożliwiają szczery stosunek, szczerą wymianę myśli.

M.P.: — *Wydaje mi się, że dzięki swojej wrażliwości i doświadczeniu zaledwie usłyszysz Pan człowieka, jest Pan w stanie określić czy odczuć jego zasadnicze cechy.*

E.R.: — I mnie się tak wydaje. Czasem człowiek sam wobec siebie nie ma wrażliwości na to czym jest, jaki jawi się innym. Ale myślę, że po kilku zdaniach, zwłaszcza jeżeli chodzi o inteligencję, to jestem w stanie kogoś ocenić, a może czasem nawet nie docenić, bo nagle uderza mnie brak chwytanego umysłu, poczucia rzeczywistości i może też nie dostrzegam od razu wielkich zalet.

M.P.: — *Mówiliśmy o ogólnych zaletach i wadach. Jakie są nasze najistotniejsze zalety jako narodu i jako poszczególnych ludzi?*

E.R.: — Polacy są sentymentalni i uczuciowi. Dzięki temu zdolni do wielkich poświęceń. Polak bezinteresowny, Polak naprawdę godny, należy w pewnej mierze do nadklasy. Przyznaję, że Polacy-wybrańcy, którzy posiadają owe zalety w wysokim stopniu, rzeczywiście mają prawo zajmować miejsca bardzo wysokie w galerii ludzkich jednostek. I Polacy mający te właściwości polskie, te zalety, te cnoty polskie — są przedmiotem mojego podziwu i mojej bardzo serdecznej przyjaźni.

M.P.: — *A przywary, słabości? Co powinniśmy w sobie zwalczać?*

E.R.: — Przywary znane.

M.P.: — *Czy żyjąc długo poza Krajem dostrzega się nasze przywary wyraźniej?*

E.R.: — Jedną z przywar polskich jest lenistwo, chociaż my się przed tym bronimy. Polacy nie są bardzo pracowitym, gorliwym narodem. Mają skłonność do lenistwa, jakkolwiek nie chcą się do tego przyznać.

M.P.: — *Co należałoby, według Pana, ocalić z tradycji polskich, które mogą pójść w zapomnienie?*

E.R.: — Bezinteresowność i gorącą miłość nie tylko własnego kraju, własnej ojczyzny, ale i gorącą miłość cnoty w każdej formie. Naród polski jest sentymentalny, jest narodem idealistycznym, to znaczy nasze hasło i nasze przywiązanie, i nasze uznanie należy się tym najlepszym. Ideał jest wspaniały, ale i odległy. Może dlatego w Polsce trafia się także na ludzi, którzy do tego ideału nie dorosli. Bowiem jest on postawiony tak wysoko, że ludzie w dużym procencie nie dosięgają go i wskutek tego typu całkowicie zgodne z naszym ideałem muszą być z natury rzeczy dosyć rzadkie.

M.P.: — *Rozeznanie dobra i zła wynosi się najczęściej z domu, tak w każdym razie bywało. Co to było dobro?*

E.R.: — Dobro, to były chyba uczynki ludzi mi bliskich, albo uczynki ludzi, o których słyszałem i które szły daleko w kierunku tego ideału polskiego. To wydawało mi się dobrym, to wydawało mi się godnym nie tylko uznania i naśladownictwa, ale w ogóle napawało mnie optymizmem. Piękne, bezinteresowne czyny. Piękna, wspaniała odwaga w momentach niebezpieczeństwa, wierność przyjętym i głoszonym zasadom. W tym widziałem dobro. Doświadczenia własne albo przynajmniej świadomość, że miały one miejsce. Znajomość dobrych stron ludzi znanych mi, albo o których słyszałem, to też było dla mnie dobrem. Sądzę, że trudno mi to bliżej określić.

M.P.: — *A zło? Może o nim nie trzeba mówić?*

E.R.: — Zła nie potrafiłem zgłębić i zrozumieć. Wprawdzie uczyli mnie, między innymi mój wielki przyjaciel, który *nota bene* mnie usynowił. Cieszkowski czerpał swą mądrość z pism ojca, filozofa Augusta Cieszkowskiego i w ogóle był do ojca bardzo przywiązany. Zawsze głosił zasadę, że zła na świecie nie ma; jest tylko brak dobra; zdaje się, że to heglowska teoria. To



tak, jakby przyjąć, że nie ma zimna jako takiego, tylko jest ciepło. To była jego zasada, zasada człowieka, który właściwie nie uznaje diabła. Diabeł-czart miał być niby wyobrażeniem zła, a przynajmniej wielkich wad czy kryminalnych usposobień. Tymczasem formuła Cieszkowskiego nie zostawia temu diabłu żadnego miejsca, bo istnieje tylko brak dobrego. Teoretycznie nawet byłem skłonny przyjmować ową formułkę, ale w praktyce nie zagłębiałem się i nie umiałem nigdy zanalizować motywów i całych przebiegów reakcji człowieka złego. Nigdy mi nie było to bliżej zrozumiałe.

M.P.: — *W związku z tym, co pan mówi, wydaje mi się, że osoby wnoszą swoją obecnością dobrego albo złego ducha. Myślę o aurze ludzi. O życzliwości i arogancji.*

E.R.: — Wierzę, że tak jest w istocie, że osoby pozytywne i dobre szerzą dookoła atmosferę lepszą, zdrowszą. Rzeczywiście, obecność człowieka o tych zaletach charakteru sprawia, że to się udziela nawet za pomocą jakichś jeszcze bliżej niezbadanych prądów.

M.P.: — *Jak by Pan określił różnicę między dobrocią a dobroduszością?*

E.R.: — Dobroć wymaga czasem odwagi, wysiłku woli, natomiast w dobroduszości kryje się element słabości. Dobroć połączona jest z szukaniem sprawiedliwości i każe niekiedy skarcić, upomnieć albo potępić, nawet kogoś kogo się bardzo kocha. Dobroć stawia czasem bardzo trudne zadania, a człowiek dobroduszny mówi i zachowuje się tak, żeby było innym i jemu przyjemniej.

M.P.: — *Wracając do spraw poprzednich. Czego według Pana powinni się uczyć Polacy znajdujący się na obczyźnie?*

E.R.: — Mogliby się nauczyć rozumowania opartego na niepewności co do prawdziwej istoty jakiejś sytuacji albo ludzi. Czyli byłaby to próba rozumowania własnego i równocześnie rozumienia drugiej strony. Jednym słowem mogliby się nauczyć pewnego rozsądku, który mają narody postronne, a w bardzo wysokim stopniu Anglicy.

M.P.: — *Wydaje mi się, że pokolenia wychowane w Polsce podległej, bo tak podzielili Polskę — na niepodległą do roku 1939 i*

*na podległą po roku 1945, rzadko używają trybu warunkowego.*

E.R.: — Anglicy posługują się trybem warunkowym niesłychanie często, i w ogóle narody zachodnie. Ale myślę w tej chwili szczególnie o Anglikach. Anglicy mają bardzo skomplikowaną tradycję i metody. Mianowicie starają się być bardzo bezstronni w ocenie, powiedzmy, wypadków i ludzi; ich dyskrekcja niezwykle daleko posunięta sprawia, że potrafią dobrze oceniać i dbać o własny interes. A zatem broniąc jakichś zasad, albo w stosunkach z ludźmi, zadając się z innymi, czy mając z nimi do czynienia w formie jakiejś ugody lub osobistej umowy, używają tylko argumentów oczywistych i rzeczy, które są łatwe do zbadania i sprawdzenia. Natomiast wewnętrzne powody, motywy swoich akcji, dyskretnie ukrywają. W tym jest pewnego rodzaju dwoistość pomiędzy cudzoziemcem i Anglikiem widzianym od zewnątrz, a jego charakterystyką wewnętrzną myślenia i jego akcją. Wiem, że dawniej Francuzi mieli na to nawet wyrażenie pogardliwe i niechętne: *la pudibonderie anglaise. Les Anglaises sont pudibondes.*

M.P.: — *Pudibonderie to byłaby ostentacja wstydlivosti. Bo z kolei wstydlivość, która łączy się przecież z umiarem i z powściągliwością, niestety ginie.*

E.R.: — Tak, niewątpliwie. Anglicy, ich ocena ludzi, wyda się niemal prymitywna, a w gruncie rzeczy mają pewien instynkt. Ludzie rozumniejsi, wyciągając wnioski bardziej konkretne, zachowują je tylko i wyłącznie dla siebie. To stanowi istotę ich zachowania. Anglicy w życiu towarzyskim mają bardzo wysoki poziom, natomiast w życiu politycznym są — można by użyć zbyt krytycznego wyrażenia — przewrotni. Zastanawiałem się nad tą cechą angielską i doszedłem do wniosku, że mianowicie ten podwójny język — szukam jakiegoś orwellowskiego wyrażenia — to podwójne wyrażenie się...

M.P.: — *...może dwoistość albo po prostu obtuda?*

E.R.: — Ta dwoistość wyrażania się i oceny wypadków jest stosowana bardzo powszechnie w tym kraju, to jest zresztą stosowane w wielu innych krajach. Na zewnątrz używa się zawsze argumentów, które niby uzasadniają nasze racje, albo danego kraju. Używa się więc własnych argumentów, a pomija się argumenty strony przeciwnej. To jest dosyć normalne, ale wydaje mi się, że ta metoda jest szczególnie wyraźna w krajach anglosaskich.



M. P.: — *Czy nie sądzi Pan, że my z kolei mamy skłonność do popadania w przesadę?*

E. R.: — Anglicy wynaleźli znakomitą metodę zabezpieczenia się od tej strony. Mianowicie ich słynny *understatement*, to wyrażanie się zawsze poniżej rzeczywistości, umniejszanie jej. Tak, że rzeczywistość jest potem większa i piękniejsza. Działa tym silniej, im bardziej jest ukryta. Nieraz za czasów mojej pomyślności i ambasady miałem z tym do czynienia w kontaktach dajmy na to z moimi przyjaciółmi angielskimi. Ci moi angielscy przyjaciele czasem nieporównywalnie wyżej od nas stoją, ale to ukrywają. Więc Polak — jak to dawniej bywało, który rozpowiada o swoich sukcesach na przykład myśliwskich: ile on tam tych jeleni i dzików ustrzelił itd., a Anglik słucha i słucha. Ma się wrażenie, że zaledwie umie to zrozumieć i ocenić. A potem tamten się dowiaduje, że mówił do jednego z międzynarodowych championów myślistwa. To się bardzo często zdarzało. Mówiłem zawsze: uwaga! Moja córka, która tu jest wychowana, zwracała mi też na to uwagę, zastanawiając się nad tą cechą naszych ziomków. Ona powiada, że prawie wszyscy od razu się chwala. I człowiek już w pierwszej krótkiej rozmowie dowiaduje się i o sukcesach życiowych, i o powodzeniu, i o bogactwie, i o mądrości danego Polaka. Moją córkę, wychowaną przeze mnie na Polkę, ale i wychowaną przez Anglików w angielskich zakładach, najbardziej to uderzało, raziło.

M. P.: — *Człowiek, który zbyt dużo mówi o sobie, przestaje interesować, niezależnie od tego czy się chwali, czy się nad sobą rozżala. Ci zaś, którzy natarczywie przypominają o swoich zasługach, budzą wręcz odrazę.*

E. R.: — Odwrotna metoda jest zawsze skuteczniejsza.

M. P.: — *A teraz postacie do których ma Pan sympatię, postacie, które Pana pociągają? Politycy, bądź myśliciele? Ludzie bliscy Panu?*

E. R.: — Bardzo mi trudno odpowiedzieć. Jest wielu ludzi, Polaków i nie Polaków, którzy byli mi sympatyczni. Bardzo trudno mi wybrać taką reprezentującą wszystko jednostkę. Z jednej strony miałem zawsze podziw dla własnej matki jako bardzo wybitnej osoby. Niezależnie od całej miłości macierzyńskiej uderzało mnie zawsze, jak była ona wybitna. Jej spokój i opowanie, jej rozum, właśnie jej bezstronność, ale i dobra znajo-

mość faktów i ludzi. A oprócz tego, jeżeli chodzi o mężczyzn, to znałem kilku takich, których bardzo mogłem pokochać i których bardzo szanowałem. Więc do heroicznych postaci zaliczyłbym na jednym z pierwszych miejsc Jana Tyszkiewicza. Posiadał jednocześnie zalety i rycerskie i obywatelskie, a także zalety serdeczności rodzinnej. Odznaczył się jako ochotnik. Mając kilkanaście lat uciekł do wojska i należał do pierwszych ochotników w słynnym Oddziale Dąbrowskiego w Wilnie w roku 18-ym. To była, że tak powiem, samodzielna brygada, czy jak by nazwał takich ochotników? Potem należał do Dywizji Litewsko-Białoruskich Ułanów i wstąpił się jako żołnierz. Potem wstąpił się całkowitą uczciwością i wielką odwagą cywilną i osobistą. Podobał mi się także jako obywatel. Miał dosyć duży majątek i pewnego dnia dowiedział się od własnego administratora, że wysoki urzędnik dał do zrozumienia, iż przy jakimś datku można by uzyskać obniżenie podatków. Odpowiedź Tyszkiewicza brzmiała: „żadnych rozmów na ten temat”. No i naturalnie został natychmiast ukarany olbrzymimi podatkami, z których się jakoś wybronił. Poczował się, że tak powiem, do odpowiedzialności za kraj i za jego obronność. Pamiętam, że w związku z tym niesłuchanie się przejął, dowiedziawszy się, że siły polskie — a w szczególności lotnictwo — są doskonałe, ale za ubogie jeżeli chodzi o broń i samoloty. Jan Tyszkiewicz był człowiekiem gotowym do czynu. Został wybrany posłem z Wilna. Należał do moich krewnych, ale nie z tytułu pokrewieństwa lubiłem go, lecz dla jego wielkiej szlachetności. Był bezpośrednim prawnukiem Zygmunta Krasińskiego i można było w nim widzieć Orcia z „Nieboskiej”. Podałem go jako przykład, a nie dlatego, żeby ograniczyć moje znajomości i uczucia tylko do niego. Mówiłem jako o wspaniałym przykładzie.

M. P.: — *Jaki bohater czy bohaterowie historyczni są Panu bliscy?*

E. R.: — Jest taka postać, dla której miałem zawsze ogromny podziw. To hetman Wielki Koronny, Żółkiewski.

M. P.: — *O ile pamiętam, w testamencie zalecał synowi: „Historijki czytaj”, naukę uważał za podporę godności słuzenia Rzeczpospolitej.*

E. R.: — Jeszcze jako student w Krakowie przeczytałem dzieło „Prawem i Lewem”. Ta książka jest oparta na zapisach sądowych Żółkiewskiego i innych. Oświetla dobroczynną rolę tego znakomitego obywatela i senatora, który godził ludzi, który



zachowywał rolę opiekuna tych, którzy potrzebowali pomocy, a równocześnie bardzo dzielnego wodza. Pokonawszy wojska moskiewskie, które szły na odsiecz Smoleńska obleganego przez Polaków, odniósł zwycięstwo. Odznaczył się jako wielki obywatel. Patrząc wstecz na nasze dzieje może przypisuję Żółkiewskiemu więcej zalet, może miał także i wady, o których nie wiem. W każdy razie został mi w pamięci jako postać, która jaśnieje na tle naszych dziejów.

A jeśli chodzi o czasy nowsze, bardzo ciekawą przeszedłem ewolucję w ocenie sobie współczesnych rodaków. Szczególnie w ocenie naszych głównych przywódców. Ja ostatecznie, jako syn ziemi poznańskiej, żyłem z wyraźną świadomością niebezpieczeństwa i przemocy niemieckiej wywieranych na nasz kraj. I jakkolwiek byłaby mowa wśród Polaków, że my sobie świetnie dajemy radę, że nasza obrona jest tak skuteczna, że my się nie cofamy, że dzięki bankom polskim, polskim kooperatywom społeczeństwo wielkopolskie, śląskie i inne — że tak powiem — broni się skutecznie, podzielałem opinię mego ojca, którego zdaniem ta kampania, ten wielki opór, to natarcie sił niemieckich, germańskich było jednak przeważające. Byłem od dziecka tak wyuczony, że widziałem niebezpieczeństwo niemieckie jako główne nasze zagrożenie. Dlatego, jak pierwsza wojna wybuchła, stworzenie czy powołanie Legionów przy Austriakach, przy mocarstwach centralnych, wydawało mi się rzeczą niemożliwą, niedopuszczalną wręcz. I dlatego ja do Legionów nie zapisałem się w pierwszym odruchu. W ogóle muszę powiedzieć, że nic nie wiedziałem bliżej o Piłsudskim. Nie znałem tej tradycji wileńskiej. Dopiero w miarę lat zorientowałem się, że w osobie Józefa Piłsudskiego Polacy znaleźli typ zupełnie nieznaną w polskich dziejach. Rodaka-Polaka, chociaż pochodzenia litewskiego, ale Polaka, który równocześnie umiał myśleć, umiał rozumować, umiał kierować swoim postępowaniem, umiał prowadzić grę polityczną z przeciwnikiem. On jedyny właściwie to umiał. To była polityka świadoma, a równocześnie, jak zawsze w polityce, jak na wojnie, trzeba było mieć szczęście. Słyszałem to od Andersa, że poza wiedzą i poza talentem trzeba mieć także bardzo dużo szczęścia. Zdaniem gen. Andersa, z którym o tym rozmawiałem, generał, który przegrywa bitwę, nawet nie na skutek własnej winy, nie powinien awansować. Trzeba go wymienić, bo jest pechowy. I tak samo odwrotnie. Więc ja dopiero z latami zrozumiałem, że mieliśmy w Piłsudskim człowieka, który rzeczywiście pierwszy wśród Polaków prawie bezkonkurencyjnie umiał prowadzić politykę w wielkim stylu, która zresztą nie zawsze mu się udawała, bo w pewnej mierze jego polityka poniosła klęskę, jeśli chodzi o jego myśli federacyjne, których nie potrafił przeprowadzić na skutek wyższej siły i może niezrozumienia włas-

nych ziomków. W każdym razie miał wielkie plany, wielkie zamysły i umiał patrzeć daleko.

M. P.: — *Z dalekiej przeszłości hetman Żółkiewski, a z bliższej Marszałek Piłsudski?*

E. R.: — Piłsudski jako przykład. Przykład człowieka wielkiego wymiaru, bardzo wielkiego człowieka, a równocześnie postać w polskiej historii tym bardziej niezwykła, że to był wielkiej klasy polityk, czego myśmy w ogóle nie mieli.

M. P.: — *Czy ktoś jeszcze z polskich lub obcych polityków zastawiał na pana podziw?*

E. R.: — Nie, ja miałem tylko przyjaciół. Jak teraz Pani mnie sprowokowała, to widzę, że jednak muszę być w dużym stopniu Polakiem i że byłem widocznie bardzo sentymentalny, bo kilku ludzi pokochałem na skutek charakteru, który był mi miły, który mi odpowiadał. Miałem więc takich niespodziewanych przyjaciół. Jeden mianowicie to Tadeusz Hołówko, który był moim szefem jakiś czas w MSZ-ie. Hołówko, bardzo silnie lewicujący socjalista i patriota rozczulający, należał bowiem do tych patriotów, którzy swój kraj pokochali, chociaż urodzili się i wychowali za granicą, gdzieś na Kaukazie czy w Turkiestanie. Czuł miłość do Polski absolutną. Otóż on był moim szefem w Wydziale Wschodnim w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i ja jego po prostu serdecznie pokochałem, chociaż mu właściwie tego nie okazywałem, ale okazywałem mu zaufanie i przyjaźń. Mam wrażenie, że to było obojętne. Śmierć Hołówki była dla mnie tragedią. Dowiedziałem się, że został zamordowany przez ekstremistów ukraińskich, którzy widzieli w nim człowieka niebezpiecznego: szukał ugody i to bliższej ugody pomiędzy Polakami a Ukraińcami, i to prawdopodobnie uważali za groźne i niebezpieczne.

Taki sam stosunek nacechowany wewnętrzną serdecznością żywiłem do Adama Ciołkosza. Znowu socjalista, którego bardzo ceniłem, bo wyczuwałem u tego człowieka — który był na wskroś politykiem i to ciętym politykiem, gotowym zawsze do wielkich batalii słownych i innych, że on, obok tych swoich namietności czysto politycznych, miał wrodzoną skłonność do szlachetności. Ta przyjaźń była serdeczna i była ona, jak mi się zdaje, obustronna.

M. P.: — *Dom pani Lidii Ciołkoszowej to jasny punkt, gdzie zawsze można znaleźć życzliwość i roztropne słowo. Do jakich zdarzeń historycznych przywiązuje Pan największą wagę?*



E.R.: — Jeśli idzie o wydarzenia światowe, to trudno mi odpowiedzieć, bo niekiedy wydarzenia niezwykle ważne były na początku niedostrzegane, a dopiero później okazywały się decydujące. Miały jakiś ukryty, niezwykle silny załazek, którego nie brano pod uwagę jak należy, nie doceniano jego potencjalnej siły. Brakło długowzroczności, aby to wykryć. Widzę dziś, jakie miał skutki Marks w swojej teorii i nie mogę tego powitać jako wydarzenia szczęśliwego. Sądzę, że nastroje bardzo lewicowe istniały od dawna i miały innych przedstawicieli, ale metodę nadał im Marks, który, *nota bene*, obdarzył świat teorią wydającą się nie do odparcia, nie do usunięcia, a która okazała się mimo wszystko kulawa. Kulawa i zębna. Kulawe było planowanie odgórne, okazało się skandalicznie nieudane. Marksizm to wydarzenie, które pociągnęło za sobą olbrzymie skutki, a które zakończyło się właściwie klęską. W tym rachunku istniało chyba ogromne nieuwzględnienie psychologii człowieka.

M.P.: — *A wydarzenia z historii polskiej?*

E.R.: — Ja jakiegoś jednego chyba nie widzę. Raczej spłot poszczególnych wydarzeń. To było to, że w wyniku wszystkich klęsk, które ponieśliśmy od XIX w., widzę jako skutek zjednoczenie i zespolenie społeczeństwa polskiego, tradycji polskiej itd., które przestały być podzielone na układy społeczne. Więc mam wrażenie, że świadomość narodowa utrwaliła się dzięki temu w sposób nadzwyczaj wyraźny, ale nie widzę żadnego wydarzenia, które by było decydujące.

M.P.: — *A miejsca w Polsce czy na świecie, które wracają w pamięci, które Pan przywołuje najczęściej?*

E.R.: — To będzie Polska, która chyba została przeorana, zmieniona i myślę, że jednak mimo wszystko będzie to dawny Rogalin, bo dla mnie jest to nie tylko siedziba rodzinna, ale kultura dawna, otoczenie ludzi bardzo cywilizowanych. To było moje życie takie trochę luksusowe — to złe wyrażenie — może zbyt wygodne po prostu. To była moja znajomość z kulturą polską i także w pewnej mierze z francuską. W Rogalinie przeszedłem właściwie jakby kurs literatury francuskiej. Najpierw dzięki Paul Cazin'owi, którego mój ojciec zaangażował jako nauczyciela, guwernera na czas wakacji we Francji, po czym polubił go i sprowadził do Rogalina. A potem sam już sprowadziłem sobie z Francji, też przez znajomych, bardzo miłego akademika francuskiego i jemu zawdzięczam znajomość ówczesnego francuskiego życia literackiego.

M.P.: — *Nie mówiliśmy jeszcze o polskiej literaturze. Książki, które zostawiły ślad, książki-skarby?*

E.R.: — Byłem dosyć zgodny z wychowaniem krakowskim, to znaczy polska literatura mnie zapalała. Z całej duszy kochałem Kochanowskiego. W najwyższym stopniu. A z innych artystów, z czasów dawnych, to znałem dosyć powierzchownie a to Szymonowicza, a to Morstina, a to dajmy na to Sępa-Szarzyńskiego, tak samo troszkę Klonowicza. Nie mogłem się nigdy przekonać do „Wojny chocimskiej” Potockiego, ani do Rzewuskiego. Owszem, „Listopad” — tak. Literaturę polską bardzo gorliwie czytałem. Więc byłem bardzo zapalony. Z powieści ówczesnych byłem dość krytycznie nastawiony do Żeromskiego. Do najbardziej kochanego i admirowanego Żeromskiego.

M.P.: — *Co ochładzało Pana w prozie Żeromskiego?*

E.R.: — Nie lubiłem niekończących się opisów przyrody, które przerywały akcję, nie lubiłem też jego stylu, zdawało mi się, pretensjonalnego, i jego nierzeczowości. Postacie Żeromskiego, wydawało mi się, przedstawiały pewne jego ideały, a nie były rzeczywistością. Także jego rusycyzmy w takim utworze jak na przykład „Róża”, która jest ich pełna. Te postacie, jak powiedziałem, wydawały mi się zawsze sztuczne, a nigdy żywe. Z jego książek wybierałem te krótsze, na przykład „Popioły”, miały bardzo znakomite ustępy, jednak to wszystko robiło na mnie wrażenie roboty, a nie życia. Ale dajmy na to, czytałem z wielkim podziwem „Chłopów” Reymonta. Uważałem to za arcydzieło. Więc jeśli chodzi o czyste wartości literackie, to byłem dosyć krytycznie nastawiony do Żeromskiego, a zdecydowanie podziwiałem talent Reymonta.

M.P.: — *Ogromna część starszej generacji w młodości wielbiła Żeromskiego.*

E.R.: — Mnie się zdaje, że oni kochali Żeromskiego z powodu jego poglądów społecznych. Jego poglądy społeczne i polityczne tak im przemówiły do przekonania, że on był jakby ich przywódcą.

M.P.: — *Nie mówiliśmy jeszcze ani o pismach filozoficznych, ani o politycznych.*

E.R.: — Więc właśnie, też może nie dosyć próbowałem ugryźć Brzozowskiego i jakoś nie dobrze go ugryzłem, i nawet żalowa-



łem, że nie dokończyłem. Oczywiście z domu wyniosłem studia nad Cieszkowskim, który mnie bardzo uderzał. Jakkolwiek bardzo kochałem jego syna, nie mogę powiedzieć, żeby nastąpiło ostateczne zbliżenie duchowe. Mnie się wydaje, że ważnym elementem w moim usposobieniu jest zmysł krytyczny, który dominuje. I ten zmysł krytyczny pozwala mi oceniać i siebie dosyć dobrze, tak że dzięki temu mam wrażenie, że woda sodowa nigdy nie uderzyła mi do głowy. Mój zmysł krytyczny tego pilnował.

M.P.: — *Jaką radę dałby Pan Prezydent młodemu Polakowi, co powinien robić? Czego się uczyć?*

E.R.: — Powinien przede wszystkim dobrze znać historię. To jest konieczne. Równocześnie powinien nauczyć się poszanowania rzeczywistości, unikania przy ocenie politycznej i przy planach politycznych, które by snuł — ideologii. Niech pamięta, że ideologia jest bardzo złym przewodnikiem i że jakieś minimum oceny bardzo precyzyjnej, materialnej i ekonomicznej jest konieczne. Branie pod uwagę ekonomii. W ogóle ekonomia jako *realité des choses*.

Uważam, że można pracować od dołu nad poszczególnymi sprawami jak kultura, ekonomia, technika itd. Można szalenie wzmocnić własny kraj, nawet kiedy nie ma on jeszcze niepodległości. Kraj, nawet formalnie nie mając niepodległości, musi się starać o siłę. Taką siłą są muskuły, ćwiczenie ich. Wyrobienie swoich mięśni, swojej wiedzy, swojej kultury, swojej znajomości ekonomii jest środkiem prowadzącym do tego samego celu bardzo skutecznie.

M.P.: — *Panie Prezydencie, jest już bardzo późno, proszę jeszcze tylko o jedno zdanie na zakończenie.*

E.R.: — W zamysłach Boskich powiedziano, że żaden naród nie może zginąć, póki sam nie zgodzi się na śmierć\*.

28.01.1988

Prezydenta Edwarda Raczyńskiego słuchała z wdzięcznością

Maria PACZOWSKA

\* Zygmunt Krasiński

## Cmentarz Południa

### OPOWIADANIE OTWARTE

*Niektórzy pisarze, mówiąc o swoich utworach, powtarzają: „Moja książka, mój komentarz, moje opowiadanie”.... Lepiej by zrobili, mówiąc: „Nasza książka, nasza opowieść, nasz komentarz”, gdyż zazwyczaj w owych książkach i narracjach więcej jest innych, niż ich samych.*

Pascal: *Myśli*

*Umarli, dobrze w tej ziemi ukryci,  
Co sekret ich wysusza, ciepłem syci.  
Południe w górze, południe bez drgnienia...*

Paul Valéry: *Cmentarz morski*  
(w przekładzie Mieczysława Jastruna)

### I

Cmentarz, który w duchu nazwałem natychmiast Cmentarzem Południa, znajduje się kilometr, może półtora, za ubogą wioską Albino w rejonie salernitańskim. Po raz pierwszy odwiedziłem go pod koniec lat pięćdziesiątych, bez żadnego określonego powodu czy celu. Po prostu uderzyło mnie i przyciągnęło jego niezwykle położenie. Leżał nie tyle za, co nad wioską, rzecz bardzo rzadka choćby ze względów czysto praktycznych: dla ludzi starszych podczas niedzielnych wizyt, i dla konduktów pogrzebowych z jedno- albo i dwukonną furmanką (stroma i wyboista droga wykluczała użycie ciężarówki), wspinanie się do cmentarnej bramy wymagało znacznego wysiłku. Cóż tu mówić o przodzie cmentarza z bramą! Jego tył, ogrodzony średnio wysokim murem, dosłownie wisiał nad przepaścią. Widać było



ten tył dobrze z szosy, prowadzącej do Salerno. Opierał się na zarośniętej krzewami skale, zaraz pod nią zbrocze wzgórze spadało niemal prostopadle na dno głębokiego, zalesionego wąwozu. Trzeba było bardzo wyteńczyć wzrok, by na tym dnie, wśród liściastych drzew, dostrzec niewielki domek. Mieszkał w nim niegdyś dozorca cmentarny, który jedyną ścieżką wjeżdżał rano na mule do pracy, a wieczorem schodził do swego domu, prowadząc za sobą ostrożnie muła i chroniąc go przed częstymi ześlizgami. Dom dozorca nazywano, i ta nazwa przetrwała do dzisiaj, choć jest już tylko wspomnieniem, *la casa al fondo della gola*, „domem na dnie wąwozu”.

Zanim zdecydowałem się pierwszy raz, nie zważając na sierpniowy żar z nieba, wejść pod górę spocony i zadyszany do bramy cmentarnej i przekroczyć jej próg, dwukrotnie rok po roku byłem w Albino z wizytą u mojego przyjaciela, który spędzał tam samotnie od lat wakacje letnie w wynajmowanym u chłopa pokoju z małym tarasem.

Mój przyjaciel Renato, mól książkowy i bibliotekarz w Rzymie, bardzo małomówny, chorowity, przekonany że niedługo pożyje, przyjeżdżał na lato do Albino dla „górskiego powietrza” i wąskiego pasma morza, widocznego na horyzoncie z tarasu. Reszta go nie obchodziła, posiłki przygotowywała mu gospodyni, nie wychodził z domu na spacer, potrafił cały Boży dzień przesiedzieć na leżaku z nosem utkwionym w książce. Kiedy podczas drugiej wizyty zagadnąłem go na temat dziwnie położonego cmentarza, wzruszył ramionami i z odcieniem znużenia w głosie odburknął, że prawdopodobnie chciano w ten sposób zabezpieczyć groby bliskich przed częstymi tu powodziąmi późną jesienią, przed strugami wody które spływają z pobliskich gór (stąd „górskie powietrze”) i wdzierają się do niżej położonej wsi. Wywód był głupstwem, jak głupie było owo „powietrze górskie”, przypisywane paru niesamowitym z wyglądu, biblijnym niemal skałom w niewielkiej odległości od Albino, skałom naprawdę pięknym, ale na dokładnych mapach rejonu oznaczonym: 300 metrów ponad poziomem morza. Wyłożyłem przyjacielowi moją interpretację, jakkolwiek nie jestem pewien czy do niego dotarła, bo nie przestał szukać czegoś w czytanej właśnie książce. Otóż według mnie cmentarz założono tak wysoko, by umarli grzali się dobrze, suszyli kości i swoje sekrety w letnim słońcu Południa, oglądając równocześnie z najlepszego w Albino miejsca swoje morze; przecież większość umarłych stanowili zapewne rybacy i żeglarze. Nie słuchał mnie, podejrzewałem, Renato. Słuchał mnie natomiast, co zauważyłem dopiero po wygadaniu się, stary gospodarz Bartolo siedzący na krześle przed drzwiami domu. Wstał naraz i powiedział: „Nie powinienem się wtrącać, *dottore*, ale pana gość ma rację”.

Przed wieczorem Bartolo odprowadził mnie do autobusu, który dwa razy dziennie przyjeżdżał do Albino. Po drodze to on opowiedział mi, wymijająco jakoś i powściągliwie, o „domu na dnie wąwozu” na tyłach cmentarza. „Od śmierci dozorca cmentarnego Fasano nie chcieliśmy już następcy. Nikt teraz nie utrzymuje w porządku grobów, nikt prócz rodzin. Dom na dnie wąwozu jest pusty, mówią że w nim straszy nocą. Ale to długa historia, *ma è una lunga storia*.”

## II

Dobrnąłem do bramy cmentarza naprawdę spocony i zdyszany, pot zalewał mi oczy, pod opuszczonymi powiekami ściagały się czerwone pląty. Brama była otwarta, należało tylko nacisnąć nadłamaną klamkę w furtce w prawym rogu. Ledwie wszedłem do środka, słońce zaczęło jakby prażyć ze zdwojoną siłą. Uśmiechnąłem się na myśl o trafności mojej „interpretacji”: umarli grzali się i suszyli swoje kości (i swoje sekrety, jak chciał Valéry), a co do morza oglądanego z cmentarnego płaskowyzu, to rozciągał się stamtąd najpełniejszy chyba widok zatoki. Białe pręgi fal, znaczone pianą, zbliżały się równomiernym ruchem w stronę przystani rybackiej, słońce krzesło w zielonkawo-błękitnej wodzie rój iskier. Daleko na widnokręgu sunął wielki statek, tak wolno, że zdawał się zakotwiczony w miejscu. Bliżej brzegu z kilku łodzi zarzucano sieci. Słychać było okrzyki rybaków, a nawet przyciszone zawodzenie smętnej południowej pieśni.

Na większości grobów stały krzyże drewniane, a więc podgniłe już i z nieczytelnymi prawie napisami, lecz z owalnymi podobiznami zmarłych. Na niektórych kamienne krzyże lub stożki, jeśli zamożniejszej rodzinie zmarłego zależało na obfitej (i kwicistej przeważnie) inskrypcji nagrobkowej. W centrum cmentarza sterczał do góry lekko tylko oszlifowany głaz, w którym rozpoznałem bez trudu blok odłupany z jednej z owych „biblijnych” skał w pobliżu Albino. Powiem tu o nich słówko, bo nieczęsto spotyka się we Włoszech takie okazy. Są uwarstwione i pożyłkowane, jakby były ogromnymi, skamieniałymi drzewami, rozrąbanymi w czasie burzy toporem błyskawicy. Biegli w geologii potrafiliby może obliczyć ich wiek na podstawie kamiennych żył i czarnych połyskujących plam. Nazwałem je „biblijnymi”, wspominając rzadkie co prawda ilustracje w luksusowych wydaniach Biblii, owoc wyobraźni rysowników. I „biblijny” w jakiś sposób, dzięki dramatycznej zwięzłości, był napis na bloku w centrum cmentarza: sześć nazwisk z datami urodzenia i śmierci, po czym krótkie zdanie: *sconfitti e inghiottiti dal Mare*, „pokona-



ni i połknięci przez Morze". Grób był zatem pusty, ryby w ciągu lat zżarły doszczętnie sześciu rybaków z Albino.

Oparłem się o mur, ogradzający cmentarz od tyłu. Z popielatego, a raczej bezbarwnego już zupełnie, nieba spadał na ziemię, bez żadnego powiewu, suchy płomień. Było około trzeciej. Należało unieść się trochę, by ręce położywszy na grzbiecie muru, ogarnąć równocześnie wzrokiem wąwóz i zatokę. W wąwozie kłębiła się roślinność, gęsta i zdziczała, przygniatająca, dusząc widoczny słabo dom na dnie. A przecież natężenie zieleni nie przeszkadzało grze świetlnych refleksów, które chwilami robiły wrażenie żywych istot, ludzi lub zwierząt, przemykających się błyskawicznie między drzewami i krzakami, skradających się ku domowi i natychmiast z niego uciekających. Zapewne upał stroił sobie żarty z moich oczu, zasnutyh mglistą błoną. Jeszcze wyraźniejsze było to na powierzchni morza w zatoce, gdzie iskry krzesane przez słońce układały się w dziwne figury ludzkie i wielkie ryby wyskakujące łukiem z wody. Czytałem kiedyś, że takie są pierwsze objawy udaru słonecznego. Nie miałem sił, by jak najprędzej dowlec się do bramy i stromą drogą potoczyć się z powrotem do wsi. Rozejrzałem się w poszukiwaniu odrobiny bodaj cienia. W kącie cmentarza rósł dość rozłożysty krzew o dużych liściach. Tam należało położyć się na niskiej i suchej murawie.

Ten kąt czy róg był otoczony półkolistą obręczą kamieni, jakby wyłączony z cmentarza. W trzy niskie groby — jeden starszy, dwa świeższe — wetknięte były drewniane krzyże bez emaliowanych fotografii zmarłych, bez najprostszycy choćby słów pożegnania, z samymi danymi personalnymi i datami. Na starszym krzyżu widniało nazwisko Manfred Weinert, urodzony 2 maja 1911, zmarły 25 października 1943. Na dwóch świeższych: Vincenzo Fasano, urodzony w Albino 6 stycznia 1914, zmarły 16 sierpnia 1949; Inge Weinert, *geboren* Mander, urodzona 23 marca 1918, zmarła 16 sierpnia 1949.

### III

Stary Bartolo miał minę człowieka, który powiedział grubo za dużo w pierwszej rozmowie, zamierza więc w drugiej jak dobry ogrodnik przyciąć zbyt wybujałe gałęzie. Pokiwał w zamyśleniu głową.

— Tak, tak, *è una lunga storia*, ale z osiemdziesiątką na karku wyparowuje człowiekowi pamięć. Jak kałuża na słońcu, zostają tylko rowki w ziemi. Co pamiętam z tej długiej historii? Po lądowaniu w Salerno *gli alleati*, alianci, poszli w głąb. Wąwóz po tamtej stronie Albino zagradzał im drogę, zamykał

drogę jak wielki klucz. Trzeba było wykurzyć oddział niemiecki, który okopał się w domu na dnie wąwozu i w paru jeszcze gniazdach między drzewami. To się udało, wybito do nogi wszystkich obrońców wąwozu. Z wyjątkiem dowódcy, który z pistoletem przytkniętym do pleców Fasano wdrapał się z nim ścieżką na cmentarz. Tam w kącie pod murem ustawił karabin maszynowy i z góry ostrzeliwał aliantów tak skutecznie, że cały pochód stanął w miejscu. Amerykanie ostrzeliwali cmentarz, ale starali się nie zniszczyć go pociskami z moździerzy. Strzelanina trwała cały dzień. Pod wieczór jakaś celna albo zabłąkana kula dosięgnęła niemieckiego oficera. Padł, usiadł właściwie martwy, w samym kącie. I tam pochował go Fasano, a Amerykanom wytłumaczył, że trafiony przez nich oficer niemiecki stoczył się zbozczem w stronę dna wąwozu. Nie wiem, dlaczego tak postąpił; niektórzy mówili, że w ciągu dnia strzelaniny, nie odstępując ani na krok oficera, polubił go i uznał za obrońcę cmentarza; inni, że chciał mu sprawić chrześcijański pochówek. W samej rzeczy przyprowadził z Albino przestraszonego księdza. Napis na krzyżu zrobiono później, przed złożeniem oficera w wykonanym dole zdjęto mu z szyi tabliczkę z nazwiskiem i datą urodzenia; ksiądz odetchnął, gdy tabliczka upewniła go, że zabity był rzymskim katolikiem. To wszystko, co nie wyparowało cudem z mojej pamięci.

— A dwa groby obok? Grób Fasano i kobiety, która była żoną lub siostrą zabitego? Dlaczego połączyła ich data śmierci?

Stary Bartolo zarumienił się lekko i podrapał w głowę.

— Nie pamiętam, *dottore*, naprawdę nie pamiętam. Coś tam mówili ludzie, mówili, dużo mówili, o cmentarzu w Albino pisały gazety, ale wyparowało z pamięci, wywietrzało. Pamiętam Vincenzo Fasano, dobry był chłop, dbał o nasz cmentarz. Rodziny żadnej nie zostawił, sierota i kawaler, ale słyszę że miał dalekiego kuzyna w Salerno. Ten kuzyn, o wiele od naszego Vincenzo starszy, był dziennikarzem, przyjeżdżał tu podobno często, wypytywał ludzi, a potem przestał. Żyje jeszcze? Bóg jeden wie. Nazwisko? Nie znam nazwiska.

Czego się bał stary Bartolo? Co spowodowało „wyparowanie” jego pamięci? Dokładnie tak samo było z innymi mieszkańcami Albino, których usiłowałem pociągnąć za język. W najlepszych wypadkach powtarzano mi, prawie słowo w słowo, wojenny epizod z października 1943. W najgorszych zbywano mnie milczeniem, wzruszeniem ramion i niechętnym *non ricordo*. Zajęło mi trochę czasu odkrycie źródła lęku. Dom na dnie wąwozu uchodził za przeklęty, zauroczony. Dwukrotnie próbował go ktoś kupić, a cena była śmiesznie niska — municypalna opłata administracyjna w Salerno z braku spadkobierców. I dwukrotnie próbna noc spędzona w domu skłaniała oferentów



do wycofania się. Za drugim razem przymierzała się do kupna młoda angielska para z Neapolu. Oboje pracowali na Uniwersytecie jako lektorzy, łatwo mi więc było zawrzeć z nimi znajomość. Nie do wiary! Wykształceni, inteligentni ludzie odmawiali kategorycznie, z niegrzecznym wręcz naciskiem rozmowy o domu na dnie wąwozu. Jedynym zdaniem, jakie udało mi się z nich wydobyć było krótkie *It is ghastly*. Powinni byli, na dobrą sprawę, powiedzieć *It is ghostly*, skoro szept, bardzo cichy szept ludowy rozgłaszał obecność „duchów”, *ghosts*, w domu na dnie wąwozu.

Na początku września, kiedy ochłodziło się gwałtownie, mogłem bez ryzyka zaspokoić moją ciekawość. Przyjechałem do Albino pierwszym autobusem, wczesnym ranem, i przez śpiącą jeszcze wieś poszedłem prosto na cmentarz. Stamtąd ścieżką opadającą w dół za tylnym murem zacząłem schodzić ostrożnie na dno wąwozu. Ostrożnie, bo ścieżki tak pełnej wykrotów, nagłych zapadni i źle osadzonych w ziemi kamieni, nie widziałem w życiu; bez przerwy zadawałem sobie pytanie, jak Fasano mógł nią wieczorem, często chyba po ciemku, sprowadzać swego muła i rano wjeżdżać na jego grzbiecie na cmentarz. Szczególnie niebezpieczne były gałęzie wystające z gąszczu na ścieżkę, niekiedy tak elastyczne, że należało je wolno i z pewnym wysiłkiem odchyłać w bok, by nie uderzyły jak pręty w piersi lub w głowę. Raz mignęła na ścieżce żmija, częściej przemykała się nią *biscia*, niegroźny zaskroniec. W miarę schodzenia w dół, gęstniała jakby wraz z roślinnością cisza. Czułem się niepewnie, żałowałem nawet, że zwykła ciekawość pchnęła mnie do tej wyprawy. I, jak często bywa, niejasne uczucia wydłużały ścieżkę: z góry zejście na dno wąwozu wydawało się krótsze. Dotarłem wreszcie, podrapany i pokaleczony, na łączkę czy polankę, na której skraju widać było dom. Ale odwróciwszy się za siebie, przekonałem się nie bez jakiegoś irracjonalnego przestraszenia, że nie widać było stąd cmentarza w górze. Jak gdybym wpadł do głębokiej studni.

Dom był niewielki, jeden pokój z dużą kuchnią, w której prócz dużego pieca do ogrzewania stała w rogu prymitywna i niska kuchenka na dwie fajerki. W drzwiach wejściowych wylamano klamkę i przymykano je obrączką z drutu. Znaczną część pokoju zajmowało szerokie łóżko, zbite z desek; walał się na nim jeszcze siennik, czarny ze starości, z plamami nieokreślonego koloru i sterczącymi z dziur pakułami. Nie było w domu podłogi, zastępowała ją ubita równo ziemia, teraz zazieleniona płatami młodej trawy. Na ścianie wisiał brudny, pocętkowany przez muchy obraz Czarnej Madonny z piemonckiego Sanktuarium w Oropa — skąd w tych stronach? Ogólne wrażenie rozkładu, zgnilizny nie łączyło się ze smrodem czy zaduchem, oba

zakratowane okna pozbawione były szyb. W dobudowanym do domu sporym chlewie znalazłem wypełnione ślimaczącą się wodą koryto dla świń, a na ścianie przybite do belki kozie rogi. Jedyną czystą w całym zabudowaniu rzeczą była ławka przed domem, po prostu dokładnie przemityta deszczem.

Położyłem się na niej zmęczony. A właściwie nie tyle zmęczony, co naraz dziwnie ociężały i odurzony. Istnieje atmosfera zawieszona w powietrzu zagadkowości, czegoś niewidzialnego a przecież możliwego do zobaczenia *innym* wzrokiem, którym obdarzeni są jedynie wtajemniczeni? Istnieje na pewno, wiem o tym od pisarzy usiłujących opisać „inny wzrok”, wrażliwych nań w sposób wyjątkowy, jak choćby Henry James w *Obrocie śruby*. I taką zawieszoną w powietrzu zagadkowość odczuwałem wyraźnie — aż nazbyt wyraźnie, gdyż z domieszką niepokoju — leżąc na ławce. Ale Bóg czy los nie dał mi owego „innego wzroku”, albo raczej dawał mi go czasem — bardzo rzadko — we śnie. Zasnąwszy na ławce ciężkim snem, ujrzałem przelotnie lecz parokrotnie (a zresztą kto potrafi odmierzyć oniryczną przelotność, niekiedy bogate i skomplikowane zdarzenie senne trwa minutę, kiedy indziej drobiazg ciągnie się, uciekając i powracając, godzinami) mężczyznę i kobietę, to leżących na łóżku w izbie domu, to przykucniętych obok kuchenki, to wspinających się powoli ścieżką w stronę cmentarza.

Musiło być w moim śnie na ławce koło domu coś z długiego omdlenia, bo mimo że zszedłem na dno wąwozu wczesnym ranem, a do Albino przyjechałem wypoczęty, obudziłem się o zmierzchu i tak utrudzony, jak gdybym usnął był po całodziennym marszu. Ogarnął mnie lekki popłoch, nie chciałem wracać na górę po ciemku. Szedłem, stawiając uważnie kroki, z duszą na ramieniu i wciąż odurzony, śmiertelnie znużony, każdy szelest w krzakach i w drzewach po obu stronach ścieżki biorąc za czyjeś skradanie się. W połowie drogi zgasła purpura zachodu i wypłynął na niebo, nad różowym jeszcze horyzontem morskim zatoki, błydy księżyc. Wkrótce potem uspokoił mnie mur cmentarza, a trochę wyżej mały płomyk wśród pociemniałych krzyży. Był to znicz, zapalany w rocznicę pod skalną bryłą sześciu rybaków. U stóp pomnika siedział stary Bartolo, który w tragedii „pokonanych i pokniętych przez Morze” stracił młodsze go brata.

#### IV

Upłynęło kilka lat, Cmentarz Południa zacierał się stopniowo w mojej pamięci i wyobraźni. Tym więcej, że urwały się moje wyjazdy do Albino latem: mój przyjaciel Renato zachorował



obłożnie, przewieziono go z Rzymu do rodziny w Padwie, gdzie leżał pod stałą opieką lekarską (ze słabymi widokami wyzdrowienia) między domem i prywatną kliniką. Wybrałem się do niego tylko raz, przesiedziałem godzinę przy jego łóżku. Teraz, gdy nie mógł już prawie czytać, doprowadzony przez atak choroby do półślepoty, wspominał (przynajmniej ze mną) Albino. Ale nie cmentarz, na którym zresztą nie był nigdy; wspominał po prostu ulubioną wieś, leżakowanie na tarasie, oddychanie „górkim powietrzem”, spoglądanie znad książki na pasemko morza. Jak niewiele trzeba, by rajem utraconym stało się to, co poprzedziło cię przeczucwanej śmierci!

Zacierał się stopniowo w mojej pamięci i wyobraźni Cmentarz Południa, wiedziałem jednak, że nigdy nie zatrze się całkowicie; że z roku na rok przymyka się jego furtka w bramie, lecz swoją szparą, coraz węższą, nie przestaje świadczyć iż jest wciąż otwarta. Skąd się to brało? Ze świadomości otarcia się o zagadkę, która mimo indagacji trwa nadal niewyjaśniona. Nie lubimy takich sytuacji, wcale nie dlatego — czy nie wyłącznie dlatego — że męczy nas niezaspokojona ciekawość. Gdzieś w głębi naszej istoty, wbrew wszystkim racjonalnym mechanizmom, zapala się, przygasa i znowu zapala światelko przyrodzonej nam tajemnicy, ciężącej odruchowo i niepowstrzymanie do wszelkich napotkanych w życiu zagadek. Nabokow napisał mądrze w *Darze*: „Wiem o Bogu więcej niż potrafię wyrazić słowami, a to niewiele co potrafię wyrazić słowami nie zostałoby nigdy wyrażone, gdybym nie wiedział więcej”. Przechodzimy przez życie, gromadząc — świadomie lub podświadomie — odblaski naszego boskiego światelka. Zbierając dowody, że coraz więcej więdząc, coraz mniej potrafimy wyrazić słowami.

Pamiętam tę datę. 14 czerwca 1962 roku neapolitańscy przyjaciele namówili mnie, bym z nimi pojechał do Salerno na zebranie Towarzystwa Obrońców Krajobrazu *Italia Nostra*. Odbyło się w salce miejscowego muzeum, przyszło na nie około pół setki osób. Z początku było dla mnie nudne, szlachetny lament nad systematycznym oszpecaniem włoskiego pejzażu przez budowlane nadużycia nie wykraczał poza ogólniki. I zamierzałem już wymknąć się bocznymi drzwiami na kawę do ładnej starej dzielnicy w tym bardzo brzydkim mieście, gdy przykuł moją drzemiacą uwagę kolejny mówca. Przedstawił się (przedstawiali się wszyscy) jako emerytowany dziennikarz z lokalnej gazety salernitańskiej, Vito Licola. Zaczął mówić, z niezwyklej ferworem, o niebezpieczeństwie wiszącym nad pięknym, dzikim wąwozem koło wsi Albino. „Tak, tak — dodał, jakby uprzedzając pytania z sali — wąwóz z pustym domem na jego dnie jest *malfamato*, cieszy się złą sławą, ale to nie powód żeby go niszczyć. Takiego widoku nie ma w naszych stronach. Pozwolimy

na zbudowanie tam dużego hotelu, z dwiema szosami dojazdowymi, z Albino i od strony nadmorskiej drogi panoramicznej? Zostało mało czasu na zablokowanie planów mediolańskiego konsorcjum hotelowego”. Zadawano mu pytania, między innymi przyjezdni z Neapolu chcieli wiedzieć dlaczego wąwóz jest *malfamato*, ale nie wydawał się skory do wyjaśnień. „Musimy coś zrobić, musimy coś zrobić — powtarzał ze starym uporem. — Moja dawna gazeta nie chce się w to angażować”. Ktoś z sali krzyknął: „Mediolan posmarował już, gdzie trzeba”. Stary dziennikarz pokiwał głową i usiadł.

Tegoż dnia wieczorem zaprosiłem go do restauracji nad morzem. Siedzieliśmy na oszklonej werandzie, przed nami oświetlone salernitańskie moło rozciągało się jak nożem ciemną noc. Opierał się z początku, odmachiwał się powiedzonkiem *acqua passata*, woda poniosła, aż moje nalegania musiały go przekonać, że nie jestem łowcą wypadków z *cronaca nera*, że mi na poznaniu całej tej historii naprawdę, i z poważnych pobudek, zależy. Nie będę jego relacji streszczał czy przyszyrygał. Zapiisałem ją możliwie dokładnie o świcie prawie, po powrocie do Neapolu. I przepisuję ją tu z notesu bez żadnych skreśleń i zmian.

## V

„Był moim dalekim kuzynem, to prawda, ale nie widywaliśmy się, choć z Salerno do Albino jest dwadzieścia pięć kilometrów. Dom na dnie wąwozu dostał w spadku po rodzicach, kiedyś stary Fasano prowadził tam niezłe gospodarstwo. Jego syn był analfabetą, nie chodził nawet do szkoły powszechnej, nie umiał się podpisać, wyrósł na zdziczałego mruka i dziwaka, nie znosił pracy na roli. Podobno upił się winem z radości, gdy mu w Albino zaproponowano zajęcie dozorczy czy stróża cmentarnego. Krótko przed wojną umarli jego rodzice, najpierw stary Fasano, a w pół roku później jego żona. Dwudziestoletni Vincenzo dbał o ich groby z taką pieczołowitością, z takim synowskim pietyzmem, że w gminie powstał pomysł oddania pod jego opiekę całego cmentarza. Zapłata była marna, żeby nie powiedzieć nędzna, nie o pieniądze mu jednak chodziło. Mógł się utrzymać z resztek gospodarstwa na dnie wąwozu, natomiast cmentarz po prostu go *przyciągał*. Nie potrafię użyć innego określenia: jego dziwactwo od wczesnej młodości, a może i chłopiactwa, polegało na tym, że milczący włóczył się po okolicznych cmentarzach i w promieniu piętnastu kilometrów widywano go na wszystkich chyba pogrzebach. Odwiedziłem go raz tylko w domu na dnie wąwozu, zdaje się że w roku 1942. Byłem jeszcze wtedy dość żwawy żeby poważnie się na zejście, li-



czyłem że odwiezie mnie na mulę do Albino. I tak się stało. Ale nie wiem, czy podczas mojej wizyty wystękał dziesięć słów. Co jakiś czas wychodził z domu i wpatrywał się w cmentarz na górze. Niepojęta była ta niemal nekrofilia, jakaś jej cmentarna forma czy odmiana, u blisko trzydziestoletniego, postawnego, przystojnego mężczyzny. W każdym razie było to nasze trzecie i ostatnie spotkanie. Dwa poprzednie odbyły się na pogrzebach jego rodziców w Albino. Na Południu najdalsze nawet powinowactwo zobowiązuje do po-pogrzebowych uścisków kondolencyjnych.

„Ale to długa historia”, powiedział panu w Albino stary Bartolo, odmawiając z pomocą wykrętów jej zrelacjonowania. Mógłby przynajmniej dodać: „I tragiczna”. Ja zająłem się nią, gdy stała się tragiczna. I nie z przyczyn osobistych, nie dlatego, że Vincenzo Fasano był moim dalekim kuzynem. Nasze związki pokrewieństwa o tyle tylko odegrały tu pewną rolę, że redaktor gazety salernitańskiej mnie powierzył śledzenie sprawy, jej „obsługę” jak to określa żargon dziennikarski. Co miałem robić? Jak się do tego zabrać? Jedyńm punktem wyjścia było Albino. Jeździłem tam z Salerno codziennie, przegadałem z mieszkańcami wsi wiele godzin. Albino było wtedy, zaraz po tragedii, rozmowne, aż nadto rozmowne; nie ma porównania z murem milczenia, a jakim pan zderzył się w dziesięć lat później.

Zna pan zdarzenie z oficerem niemieckim, porucznikiem Weinertem. O trzymaniu w szachu oddziału alianckiego w wąwozie przez jeden karabin maszynowy w kącie cmentarza w Albino, i to przez cały bez mała dzień, mówią mieszkańcy wsi chętnie, jeszcze dzisiaj. To jest „udział” Albino w wojnie, wszystko jedno po której stronie. Rzadko natomiast wplątują do swoich opowiadań jeden szczegół: Vincenzo Fasano uważał oficera niemieckiego za obrońcę cmentarza, za bohatera, czcił go i jego grób zasypywał kwiatami przynoszonymi z dna wąwozu.

— O tym słyszałem.

— A nie słyszał pan zapewne, że oszukał niemiecką komisję, która po wojnie starała się indywidualnych poległych albo przenieść na niemiecki cmentarz wojskowy we Włoszech, albo zwrócić zwłoki rodzinom, jeżeli tego żądały. Fasano twierdził, że grób jest pusty: trafiony przez Amerykanów, niemiecki oficer stoczył się z boczem wąwozu w dół. Niemożliwe okazało się wciągnięcie trupa do góry, Fasano zdążył tylko zdjąć mu z szyi znak rozpoznawczy, wykorzystany potem w napisie na krzyżu. Niemcy uwierzyli w jego kłamstwo, chcieli go nawet wynagrodzić za ten grobowy krzyż ku pamięci. Odmówił przyjęcia pieniędzy. *Sono un cristiano*, powiedział.

Nie było i dalej nie jest jasne, skąd o grobie swego męża w Albino dowiedziała się w Regensburgu jego owdowiała żona.

Najprawdopodobniej od owej komisji niemieckiej, ale w takim razie, uprzedzona, przyjechałaby na jego pusty grób. A tymczasem — według opowiadań obecnych — zachowywała się w lipcu 1948 roku jak kobieta, przybyła z daleka na prawdziwy grób męża. Klęczała obok krzyża, modliła się długo, wstawszy ocierała chustką twarz mokrą od płaczu. Więc skąd wiedziała, że na cmentarzu w Albino leżał rzeczywiście Manfred Weinert? Oparty o murek cmentarny, czekał na nią cierpliwie cały czas Vincenzo Fasano. Zanim ścieżką poszli w dół, na dno wąwozu, przyklękła i on koło krzyża, przeżegnał się i zmówił krótką modlitwę. Robili wrażenie osób znających się już dawniej, choć przyjechała taksówką z Salerno wprost do Albino z walizką, tam zaś zaprowadzono ją na cmentarz, gdzie właśnie pracował Fasano. Nie mówiła ani słowa po włosku, wytłumaczyła cel swego przyjazdu na migi. Nie mówił, oczywiście, ani słowa po niemiecku Vincenzo. Bez słowa przytroczył jej walizkę na siodełku muła. Bez słowa poszła za nim ścieżką. Nikt w Albino nie rozumiał jak to się stało, jak ta para nieznanym zawarła w milczeniu znajomość w taki sposób (przycaczam zdanie jednego z mieszkańców Albino), jakby „ona nareszcie przyjechała do niego, a on od dawna oczekiwał jej przyjazdu”.

Ten punkt, trzeba panu wiedzieć, był w śledztwie wątkowany i roztrząsany bez ustanku, ale śledzia śledczy skreślił go w końcu z braku jakichkolwiek dowodów. Cała sprawa była i pozostała dostatecznie tajemnicza, by punkt więcej lub mniej posiadał istotną wagę, mógł cokolwiek w niej zmienić. Dla organów śledczych w Salerno sprawa była klasycznie „poszlakowa”, a posiadane „poszlaki” w dodatku nieliczne i zbyt wątłe. Dla mieszkańców Albino *wszystko*, od początku do końca, osnute było tajemnicą z domieszką grozy.

Nie, nie widziałem nigdy Inge Weinert. Dla ścisłości: nie widziałem jej nigdy żywej, o wyglądzie umarłej wolałbym nie mówić. W Albino opowiadano, że była niska, ani ładna ani brzydka, w ruchach energiczna, małowówna i mrukliwa jak Vincenzo Fasano; uderzało jakoby jej spojrzenie, zdawała się nie widzieć stojącej przed nią osoby, a raczej zdawała się poprzez nią patrzeć gdzieś daleko; miała zielono-szare oczy kotki.

Wiec zesła od razu po przyjeździe do domu na dnie wąwozu i tam już blisko rok pozostała. Czy byli kochankami? Myślę, że byłoby naiwnością stawiać takie pytanie. Co kilka dni wjeżdżała z nim pod górę, na cmentarz, krzątała się głównie koło grobu swego męża, co nasuwa mi podejrzenie, że Vincenzo musiał jej dać jakoś do zrozumienia, jaka jest prawda, że grób nie był wcale pusty. Co ich łączyło? Nie wiem, zachodzę w głowę, tym więcej że nie mogli przecież porozumiewać się po ludzku. Mogli spać razem i razem doglądać grobu porucznika



Manfreda Weinerta. Fasano nie ukrywał szczęścia, jego zwykłą ponurość rozjaśniał teraz często uśmiech. Ona nie zmieniła się, była dokładnie taka jak w dniu swego przyjazdu do Albino. Niekiedy wybierała się do pobliskiego miasteczka, do odnalezionej niemieckiej Żydówki, ceramiczki z zawodu, która podczas wojny ukrywała się u swego przyszłego męża w Salerno, a po wojnie osiedliła się z nim i z synkiem w miasteczku, znanym z przemysłu ceramicznego. Była przesłuchiwana w śledztwie po tragedii. Niewiele umiała (czy chciała) powiedzieć. Powtarzała w kółko, że Inge była zakochana w dwóch mężczyznach, w poległym mężu i w jego grabarzu.

Tak oto, zbliżyliśmy się do katastrofy. W sierpniu także umierają ludzie, ale ustalono od początku zatrudnienia Fasano na cmentarzu, że sierpień będzie jego wolnym miesiącem. Nikogo zatem nie zdziwiło w sierpniu 1949, że Vincenzo i Inge przestali się pokazywać w Albino. 28 sierpnia pastuch z okolic pędził zбочem i dnem wąwozu stado kóz. Z zamkniętego domu (nawet okiennice były zablokowane skoblem od wewnątrz) dochodził straszny fetor. Wyłamano drzwi, oba trupy na łóżku były już w stanie daleko posuniętego rozkładu. W dość szerokim pasie między trupami leżał w zaschniętej posoce rewolwer. Według lekarzy sądowych śmierć nastąpiła około 15 sierpnia. Resztę znajdzie pan w moich kronikach w gazecie salernitańskiej; chętnie je panu wypożyczę. Mogę także, jeśli pan sobie tego życzy, ułatwić panu dostęp do materiałów śledztwa w salernitańskiej kwesturze. Nie przewiduję żadnych przeszkód, bo sprawa jest już od dość dawna *archiviata*".

## VI

Po dwóch dniach przyszedł ekspresem poleconym pakiet wycinków z gazety salernitańskiej, sygnowanych Vito Licola lub V.L. Prócz pierwszych dwóch z ostatnich dni sierpnia, wszystkie pochodziły z września 1949. Najwidoczniej w październiku czytelnicy byli już przesyleni tym, co prasa nazwała od razu *l'affare dei due amanti di Albino*, „afere dwojga kochanków z Albino”.

Trzeba przyznać, że w swoich kronikach i reportażach Licola unikał tonów krzykliwych i sensacyjnych. Tylko w pierwszym tekście, który towarzyszył fotografii zwłok odnalezionych w domu na dnie wąwozu, pozwolił sobie w opisie na kilka zdań „czerwoniackich”, przykrych pod piórem dalekiego co prawda, ale jednak kuzyna dozorcę cmentarnego. Dalsze kroniki i reportaże wskazywały wyraźnie, że główne źródło — mieszkańca Albino — zaczęło szybko wysychać. Było nawet pewnym dziennikarskim osiągnięciem piszącego uprzytomnienie czytelnikom

jak wieś zamykała się stopniowo niczym ostryga, i to w atmosferze podszytej irracjonalnym strachem. „Afera dwojga kochanków”, na swój sposób „pikantna”, stawała się z każdym dniem bardziej *un affare demoniaco*, od którego lepiej trzymać się na dystans; i w którym każde wypowiedziane na głos słowo może obrócić się przeciw mówiącemu. Milczenie wydawało się jedynym ratunkiem przed zatrutymi diabelskimi fluidami, jakie płynęły z domu na dnie wąwozu.

Skromna i prawdopodobnie biedna gazeta salernitańska postanowiła się wykosztować, wysłała mianowicie swego reportera do Regensburga. Spędził tam trzy dni. Rodziny oficera niemieckiego nie odnalazł w ogóle, Weinert pochodził z Drezna, osiedlił się w Regensburgu przed wojną, wezwany przez koncern chemiczny (był świeżo dyplomowanym chemikiem), jego rodzina więc zginęła przypuszczalnie w sławetnym alianckim nalocie na Drezno. Znalazł natomiast owdowiałego ojca Inge, samotnego, beznożnego i zidiociałego kalekę wojennego, którego doglądała stara kobieta o ponurym usposobieniu; nie nosiła najwyraźniej Inge w sercu, bo na wiadomość o jej śmierci we Włoszech rozpozgodziła się z niezbyt ukrywaną satysfakcją. Do starego, przykutego do łóżka ojca Inge wiadomość o tragicznej śmierci jego córki w ogóle nie dotarła. Słyszał co się do niego mówi, lecz w zanadru miał na wszystko jedną tylko odpowiedź: głupkowaty, słodkawy uśmiech.

*Dossier* policji, udostępnione mi dzięki protekcji Vito Licola, zawierało masę dochodzeń „personalnych”, to znaczy przesłuchań mieszkańców Albino. Były o wiele gorsze od rozmów dziennikarza salernitańskiego, dodatkowy lęk przed sędzią śledczym robił swoje. Za to ważny był rdzeń *dossier*: bezustanne kręcenie się wokół pytania, czy Inge Weinert i Vincenzo Fasano popełnili za obopólną zgodą samobójstwo, czy też w grę wchodziło zabójstwo, a potem samobójstwo zabójcy lub zabójczyni. W obu przypadkach nie można było uniknąć pytania o przyczyny, ale w domu na dnie wąwozu dokładna rewizja nie ujawniła żadnego listu; zresztą mógłby to być tylko list Inge, skoro Vincenzo był niepiśmienny. Rewolwer należał do Fasano, w jego papierach znaleziono prawo posiadania broni „z uwagi na życie w całkowitej izolacji”.

Pytanie główne, o którym wyżej wspominałem, było przedmiotem obfitych — na mój gust, zbyt obfitych — dociekań medycznych. Lekarze rzucili się na oba trupy, nie ustawali w sekcjach zwłok, ale nawet dla takiego jak ja profana było jasne w uczonych protokołach, że są one czymś w rodzaju przesypywania piasku przez rozstawione palce. Dwa tygodnie upłynęły od śmierci, w naszym klimacie — i to w sierpniu! — okres bardzo długi dla owocnej sekcji zwłok. Przecież chodziło o ustale-



nie drobnych szczegółów: położenie ciała i mięśni, pośmiertny wyraz twarzy byłyby przypuszczalnie inne u dobrowolnej samobójczyni, a inne u osoby zastrzelonej na jawie albo we śnie (bo jednak teza zabójstwa wskazywała jako winnego Vincenzo Fasano). Rewolwer zakrzepnięty w posoce uniemożliwił analizę odcisków palców, przynajmniej dla ówczesnej techniki śledczej. Cała ta masa przemądrzałych wywodów wahała się między dwiema hipotezami, przy czym rzecznicy samobójstwa za obopólną zgodą byli w większości (szafując argumentem zagwoźdzonych okiennic). Do końca, choć w mniejszości, nie wykluczano Inge w roli zabójczyni. Jeden z lekarzy twierdził kategorycznie, że w ciele kobiety wykrywalne były zaczątki ciąży. Ostateczny wniosek brzmiał: „Mimo rozlicznych sekcji i analiz stan zwłok nie pozwala na jakąkolwiek jednoznaczność w odtworzeniu okoliczności śmierci”. Na okładce *dossier* widniał napis, potwierdzony stemplem kwestury i podpisem sędziego śledczego: *Il caso della morte* (nazwiska, dane personalne i daty)... *viene archiviato*.

## VII

Nieunikniony był turniej hipotez, i nie przeczę że szumiało mi aż od nich w głowie. Co? Jak? Dlaczego? Ostatecznie jakakolwiek sensowna i prawdopodobna hipoteza byłaby moim jedynym poważnym wkładem do opowiadania, które miało się nazywać *Cmentarz Południa*, skoro cała reszta była wkładem innych, jak w ostrzegawczej myśli Pascala: „Lepiej zrobiliby pisarze mówiąc 'nasza opowieść', gdyż zazwyczaj więcej jest w owych narracjach innych, niż ich samych”. Czy, na dobrą sprawę, podtytuł nie powinien brzmieć „nasze wspólne opowiadanie”, zamiast „opowiadanie otwarte”? Wróć do tego w rozdziale zamykającym *Cmentarz Południa*. Spróbuję wtedy obronić mój pierwotny podtytuł.

Szumiało mi rzeczywiście w głowie od hipotez, chciałem odcisnąć wyraźne autorskie piętno na opowiadaniu. Spięty ostrogą częstych spotkań i rozmów ze mną, także Vito Licola postanowił naraz przedzierzgnąć się z dziennikarza w pisarza (u większości dziennikarzy choroba chroniczna) i zasmakował w galopie własnych hipotez. Niektóre były prostackie, a nawet lekko wulgarne (krążyły głównie wokół stwierdzonych rzekomo początków ciąży w organizmie Inge Weinert), toteż kwitowałem je tak obrzydzonego widocznie wyrazem twarzy, że mój salernitański znajomy osadzał natychmiast na miejscu swego rozpędzonego rumaka (a raczej swoją rozpędzoną szkapę) wyobraźni. Jedna jego hipoteza miała na pozór — jak to się mówi — ręce

i nogi. Wśród świadectw zebranych przez Vito w Albino było i takie, że któregoś dnia obecny akurat na cmentarzu żalobnik spostrzegł z daleka gwałtowną sprzeczkę Inge i Vincenzo (na migi i z użyciem niezrozumiałych półsłów i charkotów) nad grobem Manfreda Weinerta. Sprzeczka była tak gwałtowna, że w pewnej chwili Vincenzo uderzył Inge w twarz, ona zaś wieczorem nie zeszła z nim do domu na dnie wąwozu, lecz pojechała autobusem do ceramicznego miasteczka. Na tym epizodzie Vito zbudował swoją hipotezę: a może Inge zapragnęła nagle wrócić do Regensburga i zabrać zwłoki męża? Dla Vincenzo Fasano to drugie byłoby boleśniejsze od pierwszego — dodał Vito, nie zapominając nigdy o „cmentarnej nekrofilii” swego dalekiego kuzyna. Może. Ale jakie są na to dowody, z wyjątkiem zaobserwowanej na cmentarzu sprzeczki, która mogła dotyczyć jakichś blahostek w pożyciu pary z dna wąwozu? Nie było żadnych dowodów, nie mówiąc o istotnej przeszkodzie w „generalnej koncepcji” dziennikarza z Salerno. Vito mianowicie był rzecznikiem samobójstwa za obopólną zgodą, a jego hipoteza wskazywałyby na zabójstwo, wszystko jedno przez kogo popełnione, i zaraz potem samobójstwo zabójcy lub zabójczyni wobec widma aresztowania, procesu, więzienia. Mój rozmówca uciął i opuścił bezradnie na kolana gestykulujące ręce.

Po jakimś czasie zaczęła następować we mnie zmiana, początkowo stopniowa, później coraz szybsza. Przystawały mnie interesować wszelkie domysły i hipotezy na temat tajemniczej „afery dwojga kochanków z Albino”, co więcej — czułem jak rośnie we mnie potrzeba otoczenia całej tej historii kredowym kołem nietykalności. Posunąłem się nawet tak daleko, że w trakcie lektur rozmaitych powieści i nowel za nadużycie ze strony autorów uważałem interpretacje psychologiczne opisywanych zdarzeń i osób, mierzyła mnie osławiona — i niegdyś tak wysoko przeze mnie ceniona — docieklivość pisarska. Nie, nie chodziło w tym tylko o domaganie się od pisarza powściągliwości — powiedziałbym wręcz, pewnej artystycznej dyskrekcji — w próbach zagłądania w głąb ludzkiej duszy. Uznałem pro su to zagłądanie — także w wypadkach pozornej wirtuozerii — za jałowe i nie prowadzące do niczego, co posiadałoby rzeczywiste znamiona docierania do prawdy o człowieku. Sięgnijmy po klasyczny przykład Prousta. Przecież jego odkrywczą rzekomo eksploracją psychologiczną jest brawurowym popisem teatralno-salonowej minoderii, która o ludzkich uczuciach i myślach mówi tyle, ile cierpliwemu słuchaczowi udaje się wydobyć z niekończącej się, wyrafinowanej konwersacji (niekiedy paplaniny towarzyskiej). Czyli prawie nic. Pisarz prawdziwie głęboki szanuje zagadkę, tajemnicę każdego serca; wie, że istnieją w nim kryjówki niedosiężne i niezgłębione, o których wolno mu jedynie



napomknąć; nigdy zaś, w odruchu pychy, kierować na nie snop rozjaśniającego światła „analizy psychologicznej”. Mój Boże, „widzieć jasno w zachwyceniu”! Ileż atramentu zużyto na wynoszenie pod niebiosa tej proustowskiej dewizy, która w praktyce była orgią konwencjonalnej (choć eleganckiej) i powierzchniowej obserwacji!

Doszło do tego, że celowo unikałem dogasających resztek prasowych „afery”, odmówiłem na przykład przeczytania raportu w magazynie ilustrowanym z bogatym serwisem fotograficznym, między innymi wydobytymi pewnie z archiwów policji fotografiami Vincenzo Fasano i Inge Weinert. Wolałem wzrokiem imaginacji wpatrywać się w *moje* podobizny pary z domu na dnie wąwozu. Zajrzałem jeszcze raz do Albino, lecz nie nawiązywałem rozmów z mieszkańcami wsi, obawiając się że nagle odzyskają dar mowy. Na skraju wsi usiadłem na ławce pod kościołem i w milczeniu oglądałem Cmentarz Południa, spryskany świeżym światłem poranka. Jaki był niezwykły na płaskowyzu nad przepaścią, z tym swoim skalnym pomnikiem na cześć sześciu rybaków „połkniętych przez Morze”! Jak przemawiał teraz do mnie własnym językiem bez słów! Był zjawiskiem, które chciało pozostać zjawiskiem, wymykającym się miarom rzeczywistości. Wolnym krokiem poszedłem pod górę, pchnąłem furtkę w bramie i stanąłem nad trzema wyłączonymi grobami w prawym rogu. Potem wspiąłem się na palcach przy murze. Widać było doskonale wąwóz, przemyty wczesną godziną, przysięgłbym nawet że z wyjątkową precyzją, jak rysunek rżnięty na szkle, odcinał się dom na dnie wąwozu. Gdybym wytrwał dłużej, skupiając napięty wzrok na ławeczce przed domem, zobaczyłbym może dwie siedzące obok siebie zjawy, o których podobno opowiadali niekiedy pasterze, zmuszeni do pędzenia przez wąwóz owiec i kóz. Byli ofiarą majaków, przywidzeń w ostrym słońcu Południa? Poszedłbym i ja w ich ślady, nagrodzony za wytrwałość moich oczu? Padła ofiarą majaków, przywidzeń guwernantka z *Obrotu śruby* Henry James’a? Daremne, naiwne pytania. W tym wymiarze też obowiązuje dewiza widzieć jasno... nie, nie w zachwyceniu. W oszołomieniu i przerażeniu. Guwernantka z noweli James’a widziała duchy Zła, zwycięskie zjawy zza grobu. Ja z wysokości Cmentarza Południa zobaczyłbym może zjawy, zrodzone z nasienia Śmierci i Miłości.

### VIII

Jeśli bym napisał *Cmentarz Południa* w epoce przedstawionych w nim zdarzeń, w epoce objętej kłamrą pierwszych lat powojennych i lat 1959–60, należałoby w tym miejscu postawić

kończącą kropkę. Ale napisałem go w sierpniu bieżącego 1991 roku, pod wpływem przypadkowej niby, dla mnie jednak znaczącej podniety.

W lipcu odwiedził mnie nieoczekiwanie pisarz angielski Hugh (jest już zbyt znany, by wolno było wprowadzić go tutaj pod jego prawdziwym imieniem i nazwiskiem). Poznałem go dość dawno w Rzymie na drinku u włoskich przyjaciół, przypadł mi do gustu, nawiązaliśmy korespondencję, dwukrotnie zjadłem z nim lunch w Londynie, podczas moich krótkich wypadów do tego koszmarnego dla mnie miasta. Był ode mnie o dziesięć lat młodszy. Po ukończeniu studiów w Oxfordzie obudził się w nim talent pisarski, bardzo skromny, lecz wystarczający do założenia fabryczki produkującej powieści. Zwłaszcza w Anglii, gdzie powieściopisarstwo jest dobrze wyuczonym rzemiosłem: co roku powieść (żeby nie wypaść z obiegu), zamajstrowana bez zarzutu, ani uderzająca ani całkowicie beznadziejna, dwie-trzy średnie recenzje, średni nakład, który wydawcy i autorowi gwarantuje opłacalność na średnim poziomie. Hugh przysyłał mi zawsze swoje powieści, czytałem je z uczuciem nudy lecz nie bez podziwu dla coraz sprawniejszego *metier*.

Otóż Hugh, prawie bez zapowiedzi, przyjechał do mnie w lipcu swoim samochodem. Chcąc mu ten pobyt uprzyjemnić (a nie palił się do miejsc polecanych przez przewodniki), namówiłem go na wycieczkę do moich ulubionych skał „biblijnych”. Owszem, zrobiły na nim spore wrażenie, ale przez skórę czułem, że jak zawsze prawdopodobnie szuka czegoś, co by go zapłodniło kolejną *story*. Zawiozłem go więc do Albino.

W ciągu wielu minionych lat nigdy nie zdarzyło mi się zaczepić w moich przejazdach o Albino. I, prawdę mówiąc, nie miałem na to ochoty, świadomie omijałem Albino. Wystarczył mi dobrze zakonserwowany obraz Cmentarza Południa; jak również, a może przede wszystkim, obraz dwojga osób na ławeczce przed domem na dnie wąwozu, to żywych, to w postaci zjaw. Byłem w Salerno na mszy żałobnej za duszę Vito Licola w pięknej katedrze romańskiej Świętego Mateusza Ewangelisty. Dowiedziałem się przypadkowo o śmierci starego Bartolo w Albino. Pękały, jedna po drugiej, nici łączące mnie ze świadkami dramatu.

Hugh, za moją namową, zawiózł mnie więc do miejsca świadomie omijanego. Już po drodze, blisko Albino, miałem przedsmak ogromnych zmian. Po obu stronach drogi sterczały w rowach kolorowe reklamy na drążkach: *Albergo Ristorante La Gola* (słowo oznacza tyleż „wąwóz”, co „łakomstwo”). Przed wjazdem do wsi zbudowano wielki *parking*. Prowadziła z niego nowa droga przez wieś i ocierając się o mur cmentarny, również nowy, bo dawna ścieżka okazała się za wąska do rozszerzenia,



mur zatem tak wciśnięty w cmentarz, że poślął niemal trzy groby w prawym rogu, zbiegała zakolami na dno wąwozu. Na miejscu domu dozorcę cmentarnego wznosił się czteropiętrowy hotel, otoczony ogrodem, z drugim mniejszym wjazdem-parkینگiem.

Nie mogłem na to wszystko spokojnie patrzeć. Usiedliśmy na ławce przed kościołem. I tam opowiedziałem mojemu angielskiemu przyjacielowi dzieje cmentarza i wąwozu. Słuchał przejęty. „Cudowna, nadzwyczajna historia”, mówił pod nosem do siebie. Wtedy dopiero uprzytomniłem sobie własny błąd. Przecież Hugh ostrzył już zęby na swoją następną powieść: zastąpiłby Niemkę turystką angielską i powstałoby coś w duchu i stylu E.M. Forstera, książka dla czytelników angielskich, rozsmakowanych w wojazach włoskich. Nie mogłem do tego dopuścić.

— Słuchaj, Hugh, czytałem w niektórych recenzjach z twoich powieści, że jesteś mistrzem epilogów, raz nawet autor recenzji użył wprost tego określenia. Uznano cię za ucznia zeszlowieczonych powieściopisarzy, którzy starali się na ogół rozwiązać pod koniec powieści jej fabułę, uważali epilog za nieodzowny, pokazując jakby z okna odjeżdżającego dyliżansu coraz mniejszy słup dymu na horyzoncie, w miejscowości gdzie rozegrała się i zamknęła akcja. To co ja ci opowiedziałem nie ma i nie może mieć rozwiązania, musi pozostać *otwarte*. Otwarte, powiedziałbym, na wszystkie strony, zależnie od wrażliwości i wyobraźni czytelników. W przeciwnym razie stałoby się kumulacją dziwacznych banałów. Powinieneś to zrozumieć, jako prawie rodak James'a. Młodziutki bohater *Obrotu śruby* umiera co prawda w ramionach guwernantki, ale to nie jest epilog opowiadania. Pozostaje w nim dalej coś, czego nie da się (i nie trzeba) zdefiniować, coś nieskończonego, niedomkniętego na zawsze. Jednym słowem, istnieje opowiadanie otwarte, o takim opowiadaniu myślałbym, gdybym sam zamierzał coś na ten temat napisać. Zresztą, jeśli się dobrze zastanowić, większość zdarzeń w ludzkim życiu posiada tę właśnie cechę otwartości, niedomknięcia, wisi nad ludźmi bez żadnego rozwiązania.

— Widzę, że w delikatny sposób zabezpieczasz swój *copyright*.

Nie odpowiedziałem. Ale gdyśmy w milczeniu wracali do Neapolu i w pewnej chwili pojawił się daleko na wzgórzu zamazany w białawej mgłę słonecznej Cmentarz Południa, przyznałem mu rację. Tak, napiszę o nim opowiadanie otwarte.

Umarli, dobrze w tej ziemi ukryci,

Co sekret ich wysusza, ciepłem syci.

Południe w górze, południe bez drgnienia...

Sierpień 1991

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## Budowanie ruin\*

Wróciliśmy z budowy do hotelu osinobusem tuż przed czwartą i jak zwykle po pracy rozbiegliśmy się do swoich pokoi, by zrzucić z siebie zakurzone łachy, chwycić ręczniki, mydła i pognać pod prysznic. Ci, którzy wyścig wygrywali, kąpali się w wodzie gorącej, następni w letniej, a ostatni splukiwali mydło wodą lodowatą. Tym razem wpadłem do umywalni jako jeden z pierwszych i odkręcając kurek wsadziłem twarz pod prysznic, z którego chlusnęła zimna woda. Odskokczyłem w bok przeklinając Jasia, mego współlokatora i hotelowego palacza. W chwilę później pociągnąłem zmarzniętym na kość mydłem zabrudzone cementem ciało. Miałem wrażenie, że mydło brudzi przeżartą innym pyłem skórę.

Po kąpieli rozgrzany, ale nieumyty położyłem się na łóżku i patrząc na pijanego Jasia siedzącego bezwładnie na krześle, zasnąłem. Przyśniła mi się budowa.

W rozkopanej, gliniastej ziemi tonęły powoli, jak w bagnie, nowe budynki. Przekrzywiony komin otoczony tłumem żołnierzy złamał się w pół i usłyszałem tryumfalne „hurra”. Kompania „Ziłów” ruszyła do ataku. W odwodzie na betonowej płycie czekał na rozkaz pluton zbrojarzy. Ciężarówka zjechała na lewe skrzydło i ustawiła się w równym szeregu za wielkim piecem. Dywizja murarzy i ładowaczy zażarcie broniła ostatniego przy-czołka. Wróg był jednak wszędzie. Gliniasta maź wciągała ludzi i samochody. Zobaczyłem rozpaczliwą szarżę „Ziłów”. Błoto zdumione zaciekleścią ataku cofnęło się o centymetr. „Hurra” krzyknęli zbrojarze i ruszyli śmiało do przodu. Nad polem bitwy pojawiły się trzy śmigłowce. Było już jednak za późno. Plac budowy zniknął i zostało tylko błoto.

\*. Autor w latach 1976-77 pracował jako robotnik przy budowie Huty Katowice.



Obudziłem się. Zapadał zmrok. W sinym świetle jarzeniowej lampy postawionej przed hotelem tańczyły roje much i komarów. W oddali, nad krzywym dachem stodoły unosił się najwyższy komin huty, pokryty sznurem czerwonych lampek. Wyciągnąłem rękę do góry i przekręciłem kontakt. Jasiu spał nadal na krześle z głową odrzuconą do tyłu. Za ścianą Zbyszek przebił „twoje 200 i 500”, „sprawdzam” powiedział Włodek, „co masz”? Trójeczka? Za mało — full”. „Milicja przyjechała” krzyknął ktoś na korytarzu. Wstałem z łóżka i wyszedłem z pokoju.

— Józef Kowalski? — spytał groźnie porucznik patrząc czujnie na nasze twarze.

— Kowalski...

— Józef...

— Spod 5...

— On wyjechał.

— Nie. Przyjechał.

— Ma zdaje się Jan...

— Coś ty? Andrzej, ale pewny nie jestem...

— Kowalski Józef. Zwolnił się trzy dni temu — powiedziałem przypominając sobie równy, jakby nieśmiały oddech sąsiada zza ściany.

— Zna go obywatel? — spytał porucznik.

— Znałem — odpowiedziałem niepewnie.

— To co może obywatel powiedzieć o obywatelu Józefie Kowalskim? — spytał znów porucznik wyjmując z przerzuczonej przez ramię skórzanej torby plik papierów.

— Porządny facet — stwierdziłem z przekonaniem.

— Porządny? — porucznik zachichotał i z satysfakcją wyrecytował: — Recydywa obywatelu, recydywa i to ja tak twierdzę, a znam wszystkie tatuaże ze wszystkich więzień w Polsce.

Rozłożyłem bezradnie ręce.

— Wyglądał na porządnego — powiedziałem i dorzuciłem ciszej — nie pił. Porucznik spoważniał i patrząc uważnie na jakiś zadrukowany świstek stwierdził:

— Wszyscy wyglądają na porządnym i wszyscy, prawie wszyscy nimi nie są, obywatelu.

— A co on teraz przeskrobał? — spytał Guslik. Porucznik schował plik papierów do torby i poprawiając nas powiedział:

— Znaleźliśmy go dzisiaj rano w rowie w bardzo ciężkim stanie. Dostał nożem w wątrobę.

— Żyje?

— Żyje, ale trzeba na wszelki wypadek dokonać identyfikacji. Nie miał przy sobie żadnych papierów, tylko kopertę adresowaną na swoje nazwisko do hotelu. Księgowy go nie pamięta, dyrektor też, a ktoś go musi rozpoznać i dlatego... — porucznik stuknął mnie palcem w pierś.

— Obywatel pojedzie z nami.

— Ja?

— To jest wasz obowiązek, obywatelu.

— Przecież ja go, ja go — chciałem powiedzieć, że jego oddech pamiętam, lecz twarzy nie, ale porucznik przerwał mi:

— Powtarzam: to jest wasz obowiązek. Czekam na was w samochodzie.

— Jedziemy, Kazik.

Kierowca włączył reflektory. Żółte światła przeszliżnęły się po brzozowym zagajniku wrzuconym do przydrożnego rowu. Samochód cofnął się. Wpadł w dół wypełniony wodą. Koła zabuksowały i po chwili z wysiłkiem wydostaliśmy się na powierzchnię. Wzięliśmy zakręt i w ostatnim momencie przyhamowaliśmy przed drabiniastym wozem wypełnionym sianem. Wyprzedziliśmy go i samochód wjechał w wąską alejkę wysadzaną po obu stronach topolami. Jechaliśmy powoli, podskakując na wybojach. Przed oczami mignął komin, który wyrastał wysoko ponad drzewami. Tuż przed wyjazdem na szosę zatrzymaliśmy się przy barze otoczonym tłumem robotników. Kilka szarych kształtów, leżących na trawie poruszyło się niespokojnie. Przyspieszyliśmy i po chwili samochód wyjechał na szosę.

— Załatwione? — spytał kierowca.

— Przekłęci — sapnął porucznik — przecież widzisz kretynie, że tak, więc po co pytasz?

— Obywatel wie... — porucznik odwrócił się — ja już mam potąd tych skurwysynów — i porucznik przejechał dłonią po tłustym podbródku.

— Życie — jęknął kierowca.

— Nie narzekaj! Żle ci? — warknął porucznik i dodał — potąd mam tego, służba za służbą, noce zarwane i cały czas trzeba kogoś szukać. Tutaj wszyscy uciekają przed wszystkimi: mężowie przed żonami, poborowi przed wojskiem, kurwy przed alfonsami, a my tylko szukamy i szukamy...

— Ech... — jęknął znów kierowca.

— Co się ślimaczysz? Przyspiesz — powiedział porucznik wyjmując papierosy.

— Obywatel pali?

— Jeśli można.

— Oczywiście, że można — porucznik poczęstował mnie extra-mocnym i mówił dalej:

— Tak, obywatelu, my milicja powinniśmy mieć jakieś specjalne uprawnienia, przede wszystkim powinniśmy mieć prawo aresztowania każdego bez nakazu prokuratora...



— Biurokracja — stwierdził z przekonaniem kierowca.

— Czego się wtrącasz? Ale masz rację, to jest idiotyczny przepis, typowo biurokratyczny, zmniejszający — głos porucznika stwardniał — naszą wydajność. Taki prokurator zachła mordę i szukaj go leczącego gdzieś kaca, a 48 mija. Papierek niepodpisany i jakiegoś kolejnego delikwenta trzeba tylko po to wypuścić, by następnie znowu szukać. I po co to? Byśmy my se żyły wypruwali?

Kiwnąłem nieznacznie głową.

— Zgadza się ze mną, obywatelu? — porucznik wyraźnie się podniecił.

— I po co te papierki, i tak wiadomo, że tu wszyscy kradną i każdego można wsadzić, coś mu się zawsze udowodni, są na to sposoby, a my milicja mielibyśmy spokojną, przyjemną pracę bez tych wszystkich papierków, przepisów i podpisów.

— Najgorsze podpisy — jęknął znów kierowca gwałtownie zwalnając na ostrym zakręcie. Odruchowo przetarłem zamgloną szybę. Po prawej stronie na niewielkim placu przylegającym do szosy, na której kłębił się tłum samochodów, zobaczyłem hutniczy piec. Z wąskiego gardziela wypływała surówka koloru mlecznej drogi. Snopy iskier, płaty rozżarzonej blachy fruwały w powietrzu, opadając na pobliski asfalt. Hutnicy ubrani w srebrne płaszczki trzymali w korycie wypełnionym płynnym żelazem długie drągi. Inni szufladami wrzucali w czerwony otwór węgiel. Iskry bombardowały jadące powoli samochody. W lusterku, na tle ognia, mignęła mi skupiona twarz kierowcy. Jadąca przed nami betoniarka przyspieszyła i po chwili niebo przygasło. Odwróciłem głowę. Hutniczy piec zniknął przysłonięty ogromną, na wpół zburzoną lub na wpół wybudowaną fabryczną halą. Samochód podskoczył na kolejnym nasypie, za którym skręciliśmy w brukowaną uliczkę. Minęliśmy kilka drewnianych baraków otoczonych rzędami pogniecionych beczek i znaleźliśmy się wśród wysypisk śmieci i gruzu pokrytych srebrnym mchem. Co chwila w światła reflektorów wpadały bezpańskie psy i z podkulonymi ogonami, szczerząc zęby, ujadaly na toczący się coraz wolniej samochód.

— Skręć — powiedział porucznik łapiąc kierowcę za ramię. Zatoczyliśmy się, minęliśmy górę puszek i zobaczyłem przytulony do dymiących hałd, murowany budynek. Zatrzymaliśmy się przed oświetlonym jarzeniową lampą wejściem.

— Jesteśmy — powiedział porucznik.

Wyskoczyłem z samochodu. Porucznik pchnął obrotowe drzwi i weszliśmy do szpitala. Przepychaliśmy się pomiędzy łózkami, którymi zastawiony był korytarz. Śmierdziało moczem, potem i lekarstwami. Na półpiętrze pośliznąłem się na kałuży krwi i usłyszałem śmiech dwóch pielęgniarzy, którzy znosili na noszach kogoś głośno szlochającego.

— Suń się pan — powiedział jeden z nich. Przytuliłem się do ściany. Zobaczyłem siną, jakby wydrukowaną twarz pokrytą potem. Spierzchnięte usta szukały daremnie powietrza. Porucznik pociągnął mnie za ramię. Na drugim piętrze, przy końcu korytarza, przed uchylonymi drzwiami siedziała na taborecie kobieta, obok niej stał oparty o framugę drzwi lekarz. Gdy do nich podeszliśmy, uniósł powieki i zdejmując z twarzy druciane okulary spytał.

— Pan zna poszkodowanego?

Kiwnąłem głową.

— To proszę wejść do środka — powiedział.

— Panie doktorze — kobieta uniosła się z taboretu — a ja?

— Nie.

— Panie doktorze, proszę.

— Powiedziałem: nie.

Kobieta runęła na kolana i łapiąc lekarza za kolana wycharczała:

— Na rany Chrystusa, w imię Maryji Przenajświętszej, pozwólcie mi go zobaczyć!

Lekarz cofnął się krok do tyłu i spojrzał na porucznika.

— Ja obywatelu doktorze nie mam nic przeciwko — odpowiedział pośpiesznie porucznik.

— Niech Pani wchodzi — stwierdził lekarz otwierając drzwi. Złapałem porucznika za ramię i cicho spytałem.

— Kto to?

— Ona? — porucznik uśmiechnął się. — Zaopatruje szpital w marchew, a poza tym szuka męża, który ileś tam lat temu wyszedł z domu. No i dzisiaj dowiedziała się od pielęgniarki, że jakiegoś ciężko rannego Józefa Kowalskiego przywieziono. Przybiegła i ponoć godzinę wpatrywała się w poszkodowanego: raz go rozpoznawała, a po chwili krzyczała: „nie, to nie on”. Widocznie się zmienił — skończył porucznik i weszliśmy do pokoju, w którym na wysokim łóżku stojącym pod oknem leżał ludzki kształt.

— Proszę tu podejść — powiedział lekarz. — Podeszedłem. Zobaczyłem rury i rurki. Jedna, cienka, wyłaziła z nosa. Coś w niej bulgotało. Grubsza, plastikowa, wsadzona w usta poruszała się niemiarkowo:

— Czy rozpoznaje pan w poszkodowanym Józefa Kowalskiego, syna Marii i Jana, urodzonego w 1928 roku we wsi Białoźregi, województwo kieleckie, z zawodu elektromontera, zatrudnionego ostatnio w Gdańskim Przedsiębiorstwie Robót Budowlanych?

Pochyliłem się niżej nad rurkami. Wydawało mi się, że bandaż przyklejony do czoła cienkim plastrem, poruszył się nieznacznie.



— Obywatelu, proszę odpowiedzieć.  
— „Ale co?” pomyślałem wpatrując się w pomalowane jodyną policzki.

— Obywa...

— Tak, rozpo...

Lecz nie zdążyłem dokończyć, bo kobieta zawyła:

— J-ó-ó-ó-zek, pół miliona jesteś mi winien, Józek zbrodniarzu zwróć mi pół miliona, alimenty mi zwróć, życie mi zwróć — i spracowane dłonie spadły na twarz poszkodowanego. Trysnęła krew.

— Co pani robi? — krzyknąłem chwytając ją za przeguby, ale kopnęła mnie w jądra i padając na podłogę, zobaczyłem znów szerniałe dłonie unoszące się do góry. Porucznik był jednak szybszy, biała pałka spadła na twarz kobiety rozcinając jej łuki brwiowe. Krew trysnęła na brew. Kobieta zachwiała się i jęknęła:

— Pół, więcej nawet, zwróć mi — ruszyła do przodu, wyciągając przed siebie ręce. Drugie uderzenie rozcięło jej skroń.

— Dzieciobójco, zakąło, dawaj pieniądze... — i dopiero trzecie rzuciło ją o podłogę. Lekarz krzyknął coś do pielęgniarki, która wbiegła do pokoju. Porucznik otarł pot z czoła i patrząc na jęczącą kobietę powiedział zdziwiony:

— Boże...

— Hamuj — porucznik złapał kierownicę za ramię i pomiędzy pochylonymi ku sobie głowami milicjantów zobaczyłem męczyzną klęczącego na drodze, próbującego bezskutecznie podnieść z ziemi swojego kolegę.

— Człowieku! — ryknął porucznik otwierając drzwiczki — przecież o mały włos was nie przejechaliśmy, co wy do jasnej cholery tutaj robicie?

— Odpoczywamy, władzuniu kochana — usłyszałem znajomy głos i wyskoczyłem z samochodu.

— Obywatelu, tylko bez żartów, bo...

— Gdzieżbym się ośmielił żartować, panie oficerze — powiedział Guslik, próbując znów podnieść z ziemi kompletnie pijanego Jasia.

— Gdzieżbym się ośmielił, ale jak człowiek wypije z kolegą 1,5 litra to musi po drodze odpocząć. Nie ma rady. A tak między nami, to po raz pierwszy jestem na budowie, na której bary buduje się tak daleko od hoteli, to skandal, władzuniu...

— Dobra, dobra... — przerwał mu porucznik i odwracając się do mnie dorzucił:

— Jutro obywatelu punktualnie o pierwszej w komendzie.

Trzeba podpisać kilka koniecznych papierków.

Kiwnąłem głową i pochyliłem się nad Jasiem.

— Weź go pod lewe ramię — powiedział Guslik. Po chwili oślepieni światłami reflektorów cofającego się do tyłu samochodu, unieśliśmy Jasia do góry.

— Teraz będzie szedł — stwierdził z przekonaniem Guslik. I rzeczywiście Jasio zawieszony na naszych ramionach ruszył do przodu.

— No i jak? — wycharczał Guslik opierając się o drzewo.

— Co jak? — odpowiedziałem rozstawiając szerzej nogi.

— Czy to był Józek?

— Tak. A ty go znałeś?

— Sześć budów razem zaliczyliśmy.

— To dlaczego nic nie powiedziałeś?

— A dlaczego miałem coś mówić? Jak się milicja o coś pyta to należy milczeć — stwierdził Guslik podciągając do góry pasek od spodni padającego Jasia.

— Aha — mruknąłem.

— Wylize się?

— Chyba tak — odpowiedziałem opierając się o płot.

— To git. Lubię faceta. Pamiętam jak w 56...

— Guslik, a ty żonę jego znałeś? — przerwałem mu, lecz odpowiedzi nie usłyszałem, bo najpierw ja się potknąłem, następnie Guslik i w końcu wszyscy trzej zwaliliśmy się do rowu. Wylądowałem na korzeniach drzew i zorientowałem się, że jesteśmy w brzoźowym zagajniku. Obok mojej głowy majtały się, zaplątane w gałęzie, nogi Jasia.

— Guslik?

— Jestem — usłyszałem głos z samego dna — trzymam tego skurwysyna!

— Guslik, pytałem czy żonę jego znałeś? — powtórzyłem gramoląc się do góry.

— Co znałem?

— Żonę Józka? — odpowiedziałem siadając na trawie.

— Niech szlag trafi te koparki, mogły ten zagajnik wyrzucić gdzie indziej — jęknął Guslik i siadając koło mnie stwierdził — Józek żonaty? Czyś ty zwiariował? Wyciągamy go?

— Wyciągamy.

Podciągnęliśmy do góry chichoczącego Jasia. Bezlitosne korzenie pnące się z wysiłkiem w kierunku niewidocznego księżyca ślizgały się po jego uśmiechniętej, umorusanej ziemią twarzy.

Pisane w Paryżu w latach 1985-1989.

Piotr PIĘTAK



Wierz mi, życie bez wiary jest trudniejsze,  
 nic więcej nie mam na moją obronę.  
 Wymierz mi, Panie, sprawiedliwość:  
 ukarż mnie surowo.

Adam Tadeusz BAKOWSKI

Tadeusz CHABROWSKI

### DRUCIANE SKARPETKI

Za to że ciemno i migotliwie płonęła moja świeca  
 że w podsunętej przez Ciebie misce zupy  
 nie znalazłem dla siebie srebrnej gwiazdy przeznaczenia;  
 że szpilki strachu wbijałem w pięty teologów  
 i z małym transparentem krzyku chciałem zagłuszyć  
 wielkie morze Twojej chwały;  
 że przeciwko nadziei grzeszyłem myślą mową i uczynkiem  
 wciągnąłeś na moje bose stopy dwie druciane skarpetki  
 abym zbyt daleko nie odbiegł od Ciebie

Tadeusz CHABROWSKI

Małgorzata KOBIERSKA

### POLSKA W SIERPNIU 1989

Wygląda na to, że wojna dobiega końca  
 W każdym bądź razie ucichły strzały  
 Zawarto dziwaczny rozejm  
 Czuć śmiertelny strach przeciwnika  
 przegrali, przegrali...  
 Jednakże sprawiedliwość nie zostanie wymierzona  
 To jeden z warunków rozejmu  
**WINNI NIE BĘDĄ UKARANI**  
 Wczorajszy kat jest dzisiaj barankiem  
 Wyklóca się o dywidendy  
 Nie waha się wyciągać ręki  
 A ponad wszystko nie chce się biczować  
 Nie odczuwa więc żalu za grzechy  
 Nie widzi potrzeby pokuty  
 lecz żąda miłosierdzia

## Wiersze

Adam Tadeusz BAKOWSKI

### PSALM

Wymierz mi, Panie, sprawiedliwość.  
 Byłem chwiejny i upadałem często.  
 Wiedziałem coś niecoś o Twojej prawdzie,  
 lecz rozmyślałem się z nią codziennie.  
 Słowo „nadzieja” rozumiałem opacznie.  
 Spotykałem kłamców i obłudników,  
 złoczyńców i niegodziwców,  
 siadałem z nimi do wódki i kart,  
 wybac im moje towarzystwo.  
 Nie ufałem nawet kwilącemu dziecku.  
 Wielu nienawidziłem, pogardzałem wieloma.  
 Zabiłem, kradłem, bluźniłem,  
 być może będę zabijać, kraść, bluźnić,  
 któż to wie. Tego nie wiesz nawet Ty.  
 Słyszysz często, jak mówię „nie ma cudów”.  
 Wyrażenie potoczne, zgoda, lecz jednoznaczne.  
 Lubię wejść do Twojego domu,  
 przyklęknąć, odetchnąć,  
 przeżegnać się nieczystą dłonią.  
 Blisko wyjścia, ja przecież tylko na chwilę.  
 Wtedy moje szorstkie dzieciństwo  
 łapie głęboki haust ekstazy,  
 a moja dorosłość unosi się jak korek  
 na myślach o Tobie — i o nim, tym drugim,  
 wiesz, o kim mówię.  
 Nie widzę Ciebie, ale może jestem ślepy.  
 Nie słyszę Ciebie, ale czyż nie mogę być głuchy?  
 Być może jesteś dobrotliwy, lecz ja nic o tym nie wiem.



Czy budzi się z krzykiem w nocy?  
 Czy boi się nagłej śmierci?  
 O czym myśli zasypiając w ramionach swojej kobiety?  
 Czy z gardła przepalonego samogonem  
 potrafi wydobyć się płacz?

*Małgorzata KOBIERSKA*

Adam LIZAKOWSKI

### AMADEUSZ

W tobie grają boskie melodie  
 ptaki budzą cię porannym lotem  
 cisza przelewa się grzmiotem burz  
 ogień muzyczne nuty hartuje  
 kosmos w twych żyłach pulsuje

Amadeusz, Amadeusz, Amadeusz  
 czy to dźwięk pustyni czy fal morza  
 a może anioł stroi instrumenty  
 ziemia zwariowała w swym obrocie  
 muzyką wołając o twym losie

I wzniosła się symfonia dźwięków  
 zagrały flety, skrzypce, organy  
 fenomen nut w powietrzu trysnął  
 mistrza muzyki, geniusza tonów  
 w dali słychać było płacz dzwonów

Amadeusz, Amadeusz, Amadeusz  
 nieludzki duch lecz muzyki w tobie  
 żył, kochał, pragnął, cierpiał, umierał  
 wieczność dojrzała jak czeresnie  
 a ty zerwałeś owoc za wcześniej

Gdy w szarym worku wrzucano twe  
 ciało do dołu z białym wapnem  
 nie grano serenad ani sonaty  
 słowicze serca mdlały z żalu  
 gdy śmierć szła z twą duszą pomału

Chicago, lipiec 91

*Adam LIZAKOWSKI*

Maciej NIEMIEC

### DNI LATA

Dni lata są już nasze — są wspomnieniem,  
 w tym roku upał nie powróci. Za wzgórzem  
 ocean szłocha nad rozbitym zwierciadłem  
 niezliczonych muszelek. Powiew od skał  
 podnosi niebieską folię z zaułka,  
 przez chwilę trzyma ją nad brukiem,  
 mógłby z tego się śmiać duch lata...  
 Obrót roku nie skrzypi o tej porze.  
 Dziecko śpi dłużej, a jeśli płacze  
 to ciszej niż na wiosnę. Wrzesień  
 jeszcze otwiera oczy kwiatów —  
 widzą światło, ale nie widzą nas.  
 Gdzieś życie biegnie wciąż, jak drapieźnik  
 na tropie tego życia, do którego wrócimy.

St-Enogat, IX 1990

*Maciej NIEMIEC*

Katarzyna ZECHENTER

\* \* \*

co się dzieje z niechcianą miłością  
 zmarnowanym podziwem  
 łzami zachwytu które wyschły  
 pierwszym drżeniem  
 i pierwszym dotykiem

co się dzieje ze zmarnowaną miłością  
 z zachwytem dziewczynki  
 z przyszczoną miłością chłopaka  
 z pierwszym niecałowanym pocałunkiem  
 nocą której nie było



gdzie to zmarnowane szczęście  
którego nie można odgrzebać  
odkopać  
odać archeologom  
przywrócić do życia  
choćaby w muzeum

Z cyklu „Notatki z pierwszych dni końca świata”

Katarzyna ZECHENTER

Maciej ZIĘTARA

### GOYA — KAPRYSY

Przeładasz się w lustrze a ja widzę  
zmię owiniętą wokół złotej laski  
pysznego kota w perłowym kubraku  
potulną owcę w innym znów odbiciu.

Pokaż mi sposób w jaki wydimasz wargi  
przymykasz oczy to wystarczy  
opiszę każde zmarszczenie koronki  
każdą wstydliwą zmarszczkę nikczemności.

Lecz ty nie będziesz o tym wiedział  
próżny będziesz znów przymykał oczy.

Maciej ZIĘTARA

## Kraj

### Chaos obywatelski

1. Od czerwca 1989 do października 1991 absencja w wyborach parlamentarnych w Polsce wzrosła z 38 do 57 procent. Korzystając z chwilowego milczenia socjologów i politologów warszawskich, zapewne oszołomionych zarówno rezultatami głosowania jak własną impotencją w przewidywaniu, pozwolę sobie wyrazić opinię, że ten przyrost jest pierwszą miarą obywatelskiego chaosu w Polsce. Nazywam tu chaosem obywatelskim zespół objawów świadczących, że Polacy nie chcą lub nie umieją korzystać z wolności politycznej dla poprawy własnego losu. Absencja tych, którzy nie chcą, jest stosunkowo prostym fenomenem. Zawarta jest na ogół w owych 38 procentach, stanowi jakąś ich, zapewne znaczną, część. Jest to „stała reszta” niegłosujących, której rozmiar może niepokoić: zbyt wielu obywateli nie wierzy w skuteczność lub może nawet w sens demokratycznej procedury wyborczej. Tego nie można zmienić szybko żadną socjotechniką, żadnymi apelami, jedynie długotrwałe doświadczenie w praktykowaniu demokracji może sprawić, by absencja „stałej reszty” zmalała i zamiast wyrażać nieufność i brak wiary, okazała się w najgorszym razie przejawem nadmiernej stabilności (na ogół nie głosuje się np. na temat kalendarza, wiadomo, że po wtorku i tak będzie środa).

Pilniejszym problemem jest absencja tych, którzy z różnych względów chcieli lub mieli ochotę głosować, a jednak ostatecznie głosować nie poszli. Porównanie rubryki „niezdecydowanych” z sondaży z absencją rzeczywistą ukazuje, jak znaczna to była 27 października grupa, co najmniej 30 procent elektoratu. Co spowodowało, że w tak przeważającej mierze postanowili zostać w domu? Ci, którzy odpowiadają, że zła pogoda lub słaba kampania wyborcza, po prostu obrażają wyborców. Twierdzę stanowczo, że niezdecydowanych nie odstraszyły bynajmniej ani zła pogoda ani nawet mialkość kampanii.



Zostali oni sparaliżowani w swoim obywatelskim poczuciu przez zaserwowane im wyborcze treści i opcje. Nie przez nieudane formy, lecz przez ich niewłaściwą zawartość. Idąc jeszcze dalej twierdzę, że okres wyborczy przyczynił się poważnie do zbełtania jeszcze, a nie zaś do wyklarowania mętnej świadomości politycznej Polaków. Dokonało się to

— po pierwsze, poprzez masowe serwowanie treści zastępczych, w czym celowała cała prawica, od najpoważniejszych formacji jak ZChN, POC czy KPN aż po owe tabuny partyjek utworzonych przez frustratów, durniów i cwaniaczków wszelkiej obediencji. Termin „treści zastępczych” nie opisuje tu bynajmniej ich ważności na jakiejś obiektywnej skali wartości intelektualnych czy uczuciowych. Nikt nie może wątpić, że problematyka właściwego moralnie użytku z wolności (katolicy), samopoczucia narodowego (KPN), sprawiedliwego rozrachunku z przeszłością (POC) — jest i ważna, i prawomocna. Zastępczość polega natomiast na przenoszeniu uwagi obywateli, kreowaniu niewłaściwej skali nagłości spraw i zwłaszcza na sugerowaniu wyborcom, że niezbędną i najważniejszą kwalifikacją polityka jest nade wszystko odpowiednia opcja ideologiczna: katechizm czy konstytucja kwietniowa pełnią tu bez mała rolę czerwonej książeczki Mao.

— po drugie, poprzez kompromisowość uniemożliwiającą ukazanie wyborcom ostrego profilu, w czym z kolei celowały formacje dobrze wychowanych unionistów z UD czy liberałów z KLD (zarzut nie dotyczy, oczywiście, Unii Polityki Realnej Korwina Mikke). I znów nie o to chodzi, by w polityce można było uniknąć kompromisów, zwłaszcza w takiej kotłowni jak w obecnym polskim parlamencie, ani też o to, iżby nie należało wyborców o tej konieczności uprzedzać. Ale kompromis nie może wyprzedzać i zastępować jasnej opcji programowej. Nie należy w imię przyszłych kompromisów przemilczać już z góry lub wręcz zakłamywać przed wyborcami własnego stanowiska czy skłonności. Przykładem takiej niedobrej taktyki może być postawa Unii Demokratycznej wobec całkiem wyraźnie sformułowanych postulatów politycznych Kościoła katolickiego. UD nie była w tym względzie wyjątkiem, nawet np. Solidarność Pracy starała się „uniknąć tematu”. Nie ma oczywiście potrzeby rozwodzić się o nieskuteczności tej taktyki — Unia Demokratyczna nie uniknęła wskazywania na nią palcem z ambon jako na partię „niepewną” z katolickiego punktu widzenia — natomiast podkreślenia wymaga podejrzliwość i zniechęcenie, jakie „kręctwo” wywołuje wśród ewentualnych wyborców.

— po trzecie, wskutek niechęci niemal wszystkich formacji do autentycznej dyskusji nad proponowanymi strategiami gospodarczymi. Deklarowano, raz jeszcze, dobre intencje: żeby wyjść

z recesji, ale nie wracać do hiperinflacji. Gdzieś na marginesach kampanii niezależni ekonomiści i dziennikarze publikowali w związku z tym własne autorskie receptury (jak np. list czterech ekonomistów, m.in. Beksiaka i Winnickiego, do prezydenta), ale kandydaci i ich formacje wcale się nie kwapiły do takich konkretnych, a jeśli nawet (jak np. Solidarność Pracy), to posługiwali się językiem tak ezoterycznym, że nie mogło to trafiać do zwykłego wyborcy. Trzeba tu zresztą dodać, że sprawa wykracza daleko poza samą kampanię wyborczą, dotyczy fatalnie niskiego poziomu tematyki gospodarczej w massmediach i prasie masowej, które oscylują pomiędzy bezkrytycznym uwielbieniem dla każdego naśladownictwa rozwiązań zachodnich — tak np. nieproporcjonalnie wiele czasu i miejsca poświęca się giełdzie, na której przecież negocjowanych jest raptem 8 (osiem!) tytułów — i propagowaniem stylu życia polskich miliarderów, a tzw. czarnym reportażem z miasteczek i fabryk, po lekturze których wypada się po prostu powiesić (jeśli się akurat samemu nie jest miliarderem).

Sposobów paraliżowania wyborcy było oczywiście więcej, ale to nie jest próba typologii. Chcę wyrazić przypuszczenie, że to odpychanie wyborców od urn nie było wcale zwykłym błędem i pomyłką. Nie posunę się wprawdzie tak daleko, by twierdzić, że polskie elity polityczne „umówiły się” i działały — lub poniechały działań — świadomie, podejrzewam jednak — lub *establishment* rzeczywiście wzięły sobie do serca względ nader prosty: już na kilka miesięcy przed wyborami było jasne, że szanse ugrupowań posolidarnościowych są tym lepsze, im absencja wyższa. Wszyscy zorientowani wiedzieli, że każda redukcja absencji od jego obiektywnej trafności, dochodziła do głosu zasadnicza dla tych wyborów niewiara w możliwość pozyskania elektoratu chwelnego, niepewnego, nie naszego, a zatem świadomość pogłębiającego się rozziwienia pomiędzy elitą władzy postsolidarnościowej a społeczeństwem. Z tej właśnie zasadniczej niewiary i defetyzmu wynikała owa strategia odpychania lub przynajmniej niestrania się o rzeczywiste oświecenie wyborcy.

1. Defetystyczne przeświadczenie okazało się ostatecznie prawdziwe, ponieważ wybory przegrali politycznie wszyscy, z arytmetycznymi zwycięzcami włącznie. „Sukces” katolików z ZChN po tak zmasowanej kampanii Kościoła, to niespełna 4 (cztery) procent elektoratu w katolickim ponoć narodzie. „Sukcesy” postkomunistów, KPN, „piwoszy” i ludowców z PSL, to z kolei w znacznej mierze spadek po partii „X”. Ostatecznie, autentycznym sukcesem było tylko siedem mandatów mniejszości niemieckiej.



Oczywiście, arytmetyka też coś znaczy w demokracji i lepszy jest w niej sukces niż porażka, przynajmniej doraznie. W tym sensie Sojusz Lewicy, Wyborcza Akcja Katolicka, KPN, PPPP i PSL—Sojusz Programowy mogły triumfować. Ale przyjrzyjmy się temu układowi nieco wnikliwiej.

Zacznę od lewej.

Sojuszowi Lewicy i w nieco odmiennym sensie PSL oraz „piwoszom” odniesiony sukces arytmetyczny grozi niewolą polityczną u własnych wyborców, zupełną partykularyzacją.

Sojusz Lewicy stał się bardzo wyraźnie partią pokrzywdzonych — ludzi, zakładów, mniejszości — którzy pierwsi najwięcej płacą za ustrojową konwersję gospodarki. Ta klientela nie będzie skłonna słuchać tych polityków, którzy chcą rzeczywiście przekształcić dawną PZPR w przyzwoitą socjaldemokrację. Będzie raczej dawać posłuch spragnionym zawrócenia i odwetu. Nie jest wcale przypadkiem, że natychmiast po wyborach najgłośniejsi w SdRP byli Kwaśniewski, Miller i nawet Rakowski...

W PSL—Sojuszu Programowym odbywa się analogiczny proces, choć bez tak wyraźnej komponenty ideologicznej: nad wszystkim dominować będzie dorazny interes aktualnego układu społeczno-gospodarczego wsi, co grozi PSL, że stanie się „stronnictwem zamrażarki”.

Na podobną drogę mogą łącznie wejść „piwosze” gdzie z 16 posłów 10 to przedsiębiorcy, którzy z własnej kieszeni opłacali kabaret Janusza Rewińskiego i zapewne zamierzają na tym zarobić. W najlepszym razie grozi, że potraktują Trzecią Rzeczpospolitą jako fundację, ze sobą w roli sponsorów...

Wyborcza Akcja Katolicka, tzn. ZChN i jego akolici, będzie musiała przede wszystkim płacić długi i zobowiązania. Ich główny wyborca to nie jest — jak wmawia prasie poseł Henryk Goryszewski, zapowiadający się na rzecznika stronictwa — szeregowy wierzący lub może zbyt czasem zapalczywy wikary, ale instytucja: Kościół katolicki. Wszystko wskazuje, że instytucja ta przekroczyła 27 października *point of no return* i nie ma w przewidywalnym czasie szansy powrotu na inny kurs, to zaś właśnie dlatego, że sukces ugrupowań katolickich i przyznających się do przewodnictwa Kościoła jest tak nieprzekonujący i połowiczny. Ugrupowania te, w liczbie pięciu, wyliczane na ulotkach rozdawanych wiernym, to Akcja Katolicka, Porozumienie Obywatelskie Centrum, Partia Chrześcijańskich Demokratów (d. PAX i Stronictwo Pracy Siły-Nowickiego), Chrześcijańscy Demokraci (Łączkowski *et al.*) oraz Porozumienie Ludowe Janowskiego i Ślisza. Razem 130 mandatów w Sejmie — i z grubsza 12 procent polskiego elektoratu. Z punktu widzenia hierarchii kościelnej wynik ten nie odpowiada, oczywiście, oficjalnej wizji katolickiego narodu, ale może się całkiem nieźle nadać jako siła uderze-

niowa w „ponownej ewangelizacji” tej części Europy. Pod warunkiem, rzecz jasna, kontynuowania ofensywy, do czego jest m.in. niezbędne, by właśnie ZChN uzyskał i zachował przewodnictwo w katolickim bloku. W istocie bowiem z owych sześciu ugrupowań katolickich tylko ZChN jest z autentycznego przekonania skłonny w tej ofensywie uczestniczyć, pozostali będą się ociągać. Stąd wniosek, że arytmetyczny właśnie sukces ZChN zostanie teraz obciążony forsowną spłatą zobowiązań politycznych wobec Kościoła — i, niezależnie od rzeczywistej dobrej woli działaczy ZChN, pokrycia może nie wystarczyć. Nie będzie łatwo przekonać opinii i większości parlamentarnej, że u schyłku 1991 roku najpilniejszą sprawą w Polsce jest karalność skrobanek oraz dalsza klerykalizacja życia publicznego.

Stosunkowo najlepiej wypada w tego rodzaju analizie Konfederacja Polski Niepodległej Moczulskiego. W każdym bądź razie jej kierownictwo zachowuje relatywnie największą swobodę ruchów, co znajduje paradoksalnie wyraz w powszechnej niepewności, gdzie właściwie lokuje się ta partia w powyborczym wachlarzu: na prawo, na lewo, na uboczu czy właśnie w samym środku. Moczulskiemu przydarzył się nawet w TV zabawny lapsus: zapytany, czy KPN zalicza się do ugrupowań postsolidarnościowych, odpowiedział z rozpędu, że raczej do antysolidarnościowych, aby się od razu poprawić — *ante, antesolidarnościowych*... Jednakże za swoją swobodę ruchów (daleką pochodną zasady wodzowskiej, zresztą w KPN słabnącej) partia ta płaci coraz wyraźniejszą pustką programową: na dobrą sprawę po uchwaleniu wreszcie jakiejś konstytucji KPN powinna się rozwiązać. Chyba że znajdzie w nowej sytuacji dostatecznie wielu wrogów polskości, wewnątrz kraju i za granicą, aby móc zapełnić nimi wolne miejsca po komuchach i sowietach. Nie wątpiąc w tym względzie w pomysłowość ekipy Moczulskiego, zauważę tylko, że KPN będzie raczej musiała pozostać w opozycji, aby prowadzić te poszukiwania w sposób przekonujący, nie wiadomo zaś, czy jej nowokreowani notable parlamentarni zechcą się tym zadowolić...

Kwestionując w takim trybie autentyczność polityczną wyborczych sukcesów, nie chcę w żadnym razie przesłaniać oczywistych arytmetycznych porażek — Unii Demokratycznej, liberałów, Solidarności Pracy czy NSZZ Solidarność — które zresztą również należałoby zrelatywizować politycznie. Wyjąwszy *casus* liberałów nie jest to specjalnie trudne. Unia Demokratyczna poniosła oczywistą porażkę arytmetyczną: liczyła na 16–20 procent głosów, dostała 12, więc choć Jacek Kuroń wygrał ostatecznie swój zakład, że UD będzie pierwsza, trudno o optymizm. UD porusza się teraz między Scyllą i Charybdą, a obie one grożą tym samym: rozłamem w UD. Unia nie może wejść do rządu na warunkach ZChN nie tracąc swej lewicy i nie może



pozostać w wyraźnej opozycji do ewentualnej „centroprawicowej” koalicji nie tracąc na jej rzecz swej prawicy. Najpewniej będzie więc lawirować na pograniczu, kultywując nadal — w imię dobra ojczyzny, oczywiście — własną nijakość.

NSZZ Solidarność, mały związek zawodowy w stanie ostrej anemii, wykrwawiony przez minione dwa lata kolejnymi transfuzjami dla wszystkich swoich niedobrych i niewdzięcznych dzieci (z prezydentem na czele) nie pozostawi swojej garstce posłów żadnej swobody. Bieda jednak w tym, że nie da im też żadnego programu.

Tutaj miejsce na klęskę Solidarności Pracy. Nie tyle nawet arytmetyczną, bo obecna w 27 tylko okręgach, pozbawiona prasy i nie śmierdząca groszem, SP nie mogła właściwie liczyć na więcej niż swoje 2 procent — ile polityczną właśnie. Solidarność Pracy nie zdołała się w tych wyborach przedstawić opinii jako wiarygodny socjaldemokratyczny z ducha wariant strategii ustrojowej konwersji. W tym sensie, po wyborach sytuacja programowa jest nadal bezalternatywna i przegrywający Balcerowicz nadal zachowuje polityczną rację.

Ale jest to mimo wszystko Balcerowicz przegrywający — reformatorski program pozostaje wprawdzie w odbiorze społecznym bezalternatywny, ale po raz pierwszy od dwóch lat nie jest już tak, by również jego cele były poza dyskusją. Nie ma wprawdzie otwartego kontrprogramu, ale jest dostatecznie wiele popartych głosem wyborców zakusów i pomysłów, by wszelki program konwersji zdemontować. Innymi słowy, Balcerowicz zachowuje rację, dopóki pytamy o program, ale jest całkiem możliwe, że znajdziemy się teraz w sytuacji bez programu. Będą zachowania gospodarcze, sterowanie na wzrok, na styk, z dnia na dzień, i wobec tego swoisty czysty pragmatyzm. A zatem zwycięstwo menadżerów?

To jest ów zapowiedziany *casus* liberałów, jedynej grupy, o której jest rzeczywiście trudno orzec, czy te wybory przegrała czy wygrała. Jako odpowiedzialni za ostatni rok rządów, za coraz głębszą recesję, za korupcję i rosnące dysproporcje ekonomiczne liberałowie oczywiście przegrali i to jest arytmetycznie wyraźne i dowodliwe. Ale zarazem jako postacie polityczne, członkowie rządu, jako zatem pewien typ mentalności i zachowań publicznych — wypadli całkiem nieźle, a osobisty sukces Bieleckiego w porównaniu ze słabym rezultatem Kongresu każe się zastanowić, czy przypadkiem wyborcy nie wyprzedzili raz jeszcze polityków, stawiając właśnie na bezprogramowość, na zachowania przeciw teoriom? Czy jednak z kolei państwu polskiemu wystarczy może takie sterowanie na wzrok i na styk, o które, być może, pośrednio dopominają się wyborcy? Wypada stale pamiętać, po jak wąskich krawędziach porusza się polska

gospodarka: w ciągu trzech kwartałów 1991 produkcja przemysłowa była znowo o 12 procent niższa niż w odpowiednim okresie 1990 (o 36 procent w stosunku do 1989), podczas gdy ceny wzrosły (wrzesień 1991 do grudnia 1990) o 46 procent, przy czym pod koniec owych trzech kwartałów nasilił się zarówno spadek produkcji jak i wzrost cen. Polityka gospodarcza, nawet taka całkiem pragmatyczna, na wzrok i na styk, wymaga więc niesłychanej precyzji, na to zaś jej instrumentacja w Polsce po prostu nie pozwala, ani jako infrastruktura techniczna, ani jako kadra administracyjna, ani wreszcie jako zasób narzędzi teoretycznych. Nieuchronne więc będą duże straty i nie podobna się spodziewać efektów optymalnych. Jak na to zareaguje korpus polityczny, aktywny wyborca i jego elekcji? Czy nie jest tak, że mimo wszelkich skłonności do pragmatyzmu w wyżej podanym rozumieniu, tylko program wyraźnie rozpisany w czasie, prognozujący przyszłość, choćby nieświeatną, i podatny na kontrolę, może jakoś tam ubezpieczyć sterników państwowej nawy?...

Na koniec pozostaje zauważyć, że rozproszenie elektoratu było w tych wyborach również dobitnym przejawem chaosu obywatelskiego jak absencja. Ale to nie proporcjonalna ordynacja stanowiła przyczynę główną: wystarczy przyrzeć się składowi Senatu z ordynacją ściśle większościową. Zasadniczym powodem rozproszenia była mnogość partii i partyjek dosłownie oszołamiających wyborców jak na perskim rynku (choć moje złe skłonności podsuwają mi drastyczniejsze porównanie ze syjamskim burdelem) — oraz dwuletnia już blisko indolencja organizacyjna formacji istotnie się liczących. Dość wspomnieć, że jedynie KPN rzeczywiście starała się w tym czasie o rozbudowę własnej struktury organizacyjnej, inni zaś żyli z „oszczędności” (lewica, PSL), z „pożyczek” (ZChN wyręczający się parafią, POC — komitetami obywatelskimi i komisjami „S”) lub najzwyczajniej z pisaniami i gadaniami (UD, liberałowie), co się we wznioślejszych chwilach nazywało etosem Solidarności. W wyborach 27 października tego wszystkiego okazało się zbyt mało i zbyt krótko, dystans pomiędzy wyborcą a klasą polityczną był w istocie nie do przebycia. Trzeba stwierdzić, że w tych warunkach i tak dobrze świadczy o tym wyborcy i tym społeczeństwie, że potrafili odtrącić i odsiać najgorszą hałastrę i najbardziej nieodpowiedzialną demagogię. Wśród wybranych są lepsi i gorsi, tacy i owacy, ale nie ma, na ile można osądzić na wstępie, postaci zupełnie kompromitujących. Wobec oferty, jaką klasa polityczna przedstawiła społeczeństwu, wobec przemożnego chaosu politycznego — jest to i tak osiągnięcie. Że jednak przytomnego i trwałego rządu z tego się nie skleci, a ponowne wybory bez uprzedniej poprawy w gospodarce groziłyby polityczną katastrofą, sztukę graną obecnie w Belwederze i na Wiejskiej wypada



uznać za nader trudną, choć może obsadę za niecałkiem poważną.

Warszawa, 5 listopada 1991

Krzysztof WOLICKI

P.S.

Zazwyczaj nie prostuję zmyłek, tym razem przepraszam, ale się uzbierało. Zatem tylko najważniejsze.

W nr 7/8 str. 63 „masowa sprzedaż przedsiębiorstw w warunkach głębokiej recesji nie może nie być wyprzedząca za bezcen...”. Zabrakło „nie”.

W nr 9 str. 74 „rząd liberalów (...) wykazuje w pewnych rejestrach zdumiewającą głuchotę” (nie zaś głupotę), natomiast na str. 75 chodzi o „układ obudowany wokół koalicji liberalów i Unii Demokratycznej” (nie zaś układ odbudowy).

Wreszcie w nr 10 str. 58 Stanisław Kwiatkowski jest „całkowicie ucywilniony” nie zaś ucywilizowany, jakim, nie chcę wątpić, był zawsze...

K.W.

## Z ukosa

1 listopada. To w cieniu skrzydeł tego wielkiego mrocznego święta odbyły się w Polsce pierwsze w tej części stulecia wolne wybory do Sejmu i Senatu. Wyłoniła się z nich Polska wolna i na wolność chora. Bardzo chcę wierzyć, że jest to piękna choroba, ale na wszelki wypadek zamykam oczy.

Próbuję zobaczyć bliskich zmarłych, widzę brwi, które nie chcą się już trzymać linii czoła, oczy pełne wysiłku, by przypomnieć sobie własną barwę, słyszę echo słów, ale nie potrafię zobaczyć barwy głosu. I tak samo już nie pamiętam Polski jako części sowieckiego Imperium, ale pamiętam, że uwierała mnie nieznośnie w jakąś niezbędną do istnienia część mózgu. Tak się nie dawało żyć. Ale nad podziw dobrze pamiętam strajk w Stoczni Gdańskiej w roku 80, pamiętam łzy, które złożyły twarze stoczniowców, salę pełną przedstawicieli strajkujących zakładów pracy z całej Polski, i w gorącym powietrzu chłodne miejsce, to tam zawiązał się marmurowy węzeł historii, pamiętam zabiedzoną

kobietę w elektrycznej kolejce — gdy mijaliśmy najeżone strajkiem mury stoczni i triumfalne nieruchome dźwigi — powiedziała do siebie, ale ja usłyszałem — „Niech będzie bieda, niech będzie głód, byle nie było tego kłamstwa, z tym nie daje się już żyć”.

Nie ma jednej prawdy na temat narodu czy społeczności, ale jedna z prawd na temat Polski była i jest taka, jak te słowa. Jesteśmy krajem, gdzie niestety wszystko dobre i złe musiało być sprawdzone do końca.

Gdy zacząłem oglądać telewizyjne studio wyborcze, coś mnie chwyciło za gardło i już nie puściło. Że będzie brzydtko i smutno, wiedziałem, ale nie że aż tak. Duże połacie tego programu zdawały się fragmentami kabaretu, gdzie jacyś złośliwcy przedrzeźniają życie polityczne w Polsce, więcej, przedrzeźniają Polskę.

Oto pojawia się dwóch młodzieńców reprezentujących partię o obiecującej nazwie „Zdrowa Polska”. Stoją przed siedzibą Prymasa i meldują jak w wojsku na dwa głosy.

— Nasz Prymas stał się ostatnio celem wściekłych ataków ze strony polakożerczych środowisk w USA.

— Nic dziwnego, że ci ludzie zaatakowali Prymasa, zawsze nienawidzili Polski i Polaków. Dalej ostre słowa potępienia otrzymują wszystkie partie, bo żadna nie wzięła w obronę Prymasa. „Kiedy nasz Prymas został zaatakowany przez Żydów, ludzie ci nabrali wody w usta”. Krwiożerczy Żydzi byli wymieniani kilkakrotnie w tym przedstawieniu, ale jest nadzieja. „Zdrowa Polska wam pomoże”. Bo Polska jest chora i zagrożona przez żydostwo, Niemców, Litwinów, nawet USA. „Panowie określcie się”. I postulat „Nie głosujcie na farbowanych lisów”. Jak widać „Zdrowa Polska” zajmuje się podwójną ekologią — oczyścić Polskę z zanieczyszczeń przemysłowych i oczyścić z obcych.

Potem wystąpiła „Partia Wolności”, czyli dawna „Solidarność Walcząca”. Tu też jak mgły wieczorne snuły się spiski. Powtarzało się ważne pytanie „Kto za tym stoi?”, a powagi sytuacji dodawały słowa „To jest przerażające”. Młody robotnik, członek tej partii, niezwykle inteligentnie udowodnił, że „komunizm nadal jest, nie obalono go, a przede wszystkim zostało koryto, tylko świń przybyło”. I dalej cytuję dokładnie: „ludzie odwracają się od społeczeństwa, wbijają mu siekiere w plecy, a potem realizują swoją linię”.

„Stronictwo Narodowe” podparło się mundurem, broniło armii i też cytowało nieświadomie komunistów: „Kiedy Polacy będą gospodarzami we własnym kraju?”. (Jeszcze wczoraj byliśmy wszyscy gospodarzami we własnym kraju — to kopiowanie tylko na wywrót haseł komunistów jest zajęciem tyleż powszech-



nym, co nieświadomym). Narodowcy twierdzą, że „kiedyś byli tępieni przez Bermanów, Minców i Zambrowskich, teraz przez ich zastępców”. To bodajże ukłon w kierunku Unii, tej samej Unii, która, gdy miała premiera, nie rozliczyła tamtych, bo „kruk krukowi oka nie wykole”.

„Chrześcijańska Demokracja” wystąpiła z kupką ziemi w chusteczce. „Nie dajmy jej sprzedać”. I powtarzał się refren „Rozliczmy system i ludzi tego systemu” — mówiony przez lektora słodkim głosem, jakby chodziło o liczenie tabliczek czekolady.

„Solidarność” pytała — czy możemy sobie na to pozwolić? Na co? Na to co jest. Odpowiedź była stanowcza i negatywna.

„Wyborcza Akcja Katolicka” pokazała mężczyznę w płaszczu zapiętym wysoko pod szyją i z rękoma w kieszeniach. Ten osobnik przemieszczał się niezwykle aktywnie tam i z powrotem na tle fruujących ptaków. Męczył się, albowiem cierpiał na słowne zaparcie, które pokonywał przy pomocy wielkiego wysiłku.

„Polska Partia Przyjaciół Piwa” z żartu powstała, ale jakoś nie ma już ochoty w żart się obrócić. I tak utyla od piwa, że przestała być zabawna. Doprawdy nie pamiętam co mówili, chociaż mówili dużo. Pokazali się też rzemieślnicy, w postaci męsko-damskiej, oboje wielce spłoszeni. Tak mogą wyglądać ludzie, których wyrwano nagle z łóżka z korzeniem snu i ciśnięto na ekran. Bełkocą, bo zostawili na nocnych stolikach sztuczne szczęki.

I kiedy zdawało się, że już nic nie jest w stanie nas zaskoczyć — ukazał się nagle hipnotyzer, który wystąpił z ramienia Koalicji Polskiej Partii Ekologicznej i Polskiej Partii Zielonych. Wypełnił sobą cały ekran, wytrzeszczył oczy, wyciągnął dłonie i zaczął liczyć. Pomyślałem, że jeżeli widzę to co widzę, to ja już jestem od dawna zahipnotyzowany.

I pomyśleć, to był tylko jeden przypadkowy seans telewizyjny. Jakie musiały być atrakcje w innych, skoro np. „Stronnictwo Narodowe” ma być wiedzione do sądu za sianie nienawiści rasowej. Już widzę, jak idą do tego sądu — pierwsi chrześcijanie wiedzeni przez Nerona w objęcia lwów. I smutna też rola Kościoła, który robił, co mógł, by się nie zaangażować, ale jakoś mu to nie wyszło.

Oczywiście, partie czołowe jak „Unia”, Liberałowie czy „Centrum” na lepszym poziomie, to znaczy reklamują się jak w krajach rozwiniętych poleca się mydło lub słodycze. Nie dało się usłyszeć z niczych ust choćby zarysu programu i nigdzie nie było choćby skrawka wizji przyszłej Polski. I doprawdy coraz łatwiej uwierzyć, że w obecnej sytuacji tego po prostu zrobić się nie da. Tak program jak i wizja nie znoszą pesymizmu i braku

spójności. Obawiam się, że dzisiaj jesteśmy na te dwa elementy skazani.

Zbyt łatwo jest znęcać się nad ofiarami wyborczego studia. Wielu z tych ludzi zdawało się nie wiedzieć, co czynią. Całe to towarzystwo zostało nagle wpuszczone w kapciach i piżamach na publiczny ołtarz Ojczyzny. Wielu z nich zobaczmy i, co gorzej, usłyszmy wkrótce w Sejmie. I to jest demokracja i wolność właśnie, i Polska właśnie. I jedna z prawd na jej temat — dlaczego nie potrafimy się z tym pogodzić?

Coraz głośniejsze słychać, jak pod intelektualnymi czołami szmerzą gorzkie strumienie myśli — „ten naród się nie sprawdził, ten naród nas zawiódł”. „Naród nie zdał egzaminu z odpowiedzialności” — głosi *Gazeta Wyborcza* ustami swego redaktora naczelnego — to znaczy prawie nie zdał, ma jeszcze szansę na poprawę w najbliższych dniach i tygodniach.

A czy zdała ten egzamin nasza elita, nasi politycy, nasi ekonomiści?

Wyniki wyborów to szok dla tej części inteligencji, która tak starannie zagospodarowała podwórko naszej polityki, że doprawdy wydawało się, że nie ma już tam miejsc dla innych. I oto wdarli się jacyś inni, poburzyli babki w piaskownicy, narobili hałasu, jeszcze nikt ich nie zna, a już podejrzewani są o najgorsze. Dotychczas byli Nasi-Nasi i Nasi-Tamci, a teraz są jacyś Obcy. Co to będzie?

I z tej goryczy mało kto dostrzegł, że nasze niedojrzałe społeczeństwo jednak skreśliło w czasie wyborów wszystkie skrajności. A niska frekwencja wyborcza ma wiele przyczyn, ich splot sam odczułem boleśnie, bo przecież wlokłem się do tej urny wyborczej niechętnie, jakbym miał w niej składać własne prochy. Głosowałem, przyznając się bez bicia, na „Solidarność Pracy”, ale nie robiłbym tego, gdybym wiedział, że mają szansę zdobyć wiele głosów. To też chory wybór, ale całe te wybory były chore. Teraz szukanie przyczyn. Ludzie skupieni wokół Unii mistyfikują „wojnę na górze”, czyli marsz legionów Wałęsy na Prezydenturę. A to przecież nie była przyczyna choroby, a jeden z jej objawów.

Druga strona uważa, że powodem, iż zrobiło się tak paskudnie, były mactwa i manipulacje „tamtych”. Na wzmocnienie mają jeszcze eks-komunistów oraz ideę dekomunizacji. Obawiam się, że gdyby zmajstrować trutkę na komucha, to jej użycie w skali masowej wyłoby sporą część aktywu „Porozumienia Centrum” i jeszcze kilka innych partii, które tak głośno domagają się dekomunizacji.

Zanurzam się ponownie w ckliwych wspomnieniach z dawnych lat. Jest rok 1980. Jeżdżę wzdłuż i wszerz Polski, czasami



przystając z zapartym tchem pod bramami fabryk, czasami na miejskich placach. Ludzie mówią na początku niewyraźnie, bo zbyt nagle odzyskali głos i słuch, ogłuszył ich śpiew ptaków i donośność własnych słów. Ale te słowa pomału zaczynają układać się w przejrzysty wzór.

Najpiękniej mówili chłopcy, przekomarzali się z językiem, a nawet ryzykowali doprowadzając słowa do ich granic, ale i wśród robotników znaleźli się oratorzy. Dla mnie ten czas narodzin „Solidarności” był zejściem nie tylko w kraj wolności, ale w ukryte pokłady naszego języka.

Oczywiście były sygnały wszystkich przyszłych plag: zarodki antyinteligencji, myślenia spiskowego i pierwsze łakome pyszczki ambicji... ale jakie to wszystko wydawało się małe przy tej ścianie, w którą biliśmy solidarnie głową.

Wybory, i po wyborach. Oczywiście pomylili się wszyscy, bo zawsze jest jakoś inaczej niż przewidywano.

Próba uszycia rządu z otrzymanego materiału, to jak szycie z podartych kawałków koszuli wyjściowego garnituru. Bez względu na to jak się uszyje, będzie źle, albo nawet śmiesznie.

Dwie niespodzianki wyborcze, to sukces KPN i Sojusz Lewicy Demokratycznej. Ciekawe też, jak mało na wyborców oddziaływały zachęty Kościoła i retoryka antykomunistyczna, i potwierdzony został uwiad „Solidarności”.

Do KPN-u nie mam awersji, pewnie dzięki Leszkowi Moczulskiemu, który jest odważnym i sensownym człowiekiem, szczególnie jeśli zważy się czym był i jest KPN. Niestety, uderzającą umiejętnością KPN-u jest przyciąganie ludzi właśnie nieumiejętnych. Tak oto ojciec rodzi mało udane dzieci, a wychować ich też nie umie. Oto KPN, jego głowa i reszta żałośnie chuda.

Na KPN głosowali bezradni i rozczarowani, którym zabrano Tymińskiego, albo przejrzyli jego nędzę, których zniesmaczyły klótnie w rodzinie, a jednak nadal identyfikują się z przeciwnikami sowsocjalizmu. Został im tylko KPN. I oto teraz zaczyna się demonizować KPN. Wrzuca się ich do jednego worka z eks-komunistami, czy nawet z Tymińskim. A przecież aż ponad 7% elektoratu głosowało na nich. I jeżeli *Gazeta Wyborcza* ustami swego szefa pisze „sukces postkomunistów, postzetaselowców, czy KPN”, to już przestają wierzyć, że to pismo jest tubą Unii Demokratycznej, o co tak dziarsko oskarżają *Gazetę* jej adwersarze. Jest ona kolejnym felietonem polskiego zgorzkniałego intelektualisty, bo z polityką to nie ma nic wspólnego. (Piszę bom gorzki i sam pełen winy).

Sojusz Lewicy Demokratycznej to głównie sojusz dawnego wcielenia władców Polski Ludowej z ich wcieleniem nowym. Oni,

co za bezczelność, wpisali na sztandar — „Na interesach z nimi już wyszedłeś... spróbuj z nami”. Doprawdy, uczciwiej byłoby oświadczyć „zaraziliśmy was AIDS, teraz tylko z nami możecie się łajdaczyć, bo chory choremu już nie zaszkodzi”. Byli komuniści nie mogą odwoływać się do przeszłości. Próbuja więc odwołać się do powszechnego w Polsce westchnienia „nawet wtedy było lepiej”. To słaby, chociaż liczny płomyczek karmiony pamięcią żłudną, bo każde pobudzenie pamięci realnej jest dla tego płomyka zabójcze. Nielatwo być byłym towarzyszem. (Po roku 1981 ustawowo-cenzurowo można było nazwać „Solidarność” jedynie „byłą Solidarnością”, ale ONI nie wykończyli „Solidarności”, wykończyła się dzisiaj sama, i dzisiaj określenie „była Solidarność” brzmi całkiem naturalnie, podobnie jak właśnie „były towarzysz”). A więc „byli towarzysze” nie mają przeszłości, wątpię czy mają przyszłość. Ale czas jest przewrotny i oto nawet cienie mogą rosnąć do monstrualnych rozmiarów. Nie ma teraz co deliberować, ile głosów tym cieniom przysporzył lęk przed Kościołem, ile wyjazd Tymińskiego, a ile po prostu niesmak. Prywatnie i w konfidencji szepnę, że ich dość liczna obecność w Sejmie nie zaszkodzi mu, a może moderować narodowo-katolickie wysoki. I niepokojący znak zapytania — jak będą głosować w sprawach gospodarczych? Ale ten niepokój dotyczy wszystkich ugrupowań. Następnym problem, że ONI w Sejmie będą znakomicie karmić tak rozbudzone u nas myślenie spiskowe. Paradoxem jest, że to właśnie komuniści siali kiedyś spiskowe myślenie, a teraz zbierają burzę.

Komuniści realni przez tyle lat byli naszym wielkim wrogiem i naszą wielką nienawiścią, że jeszcze długo prześladować nas będą figury obronne, jakich uczyła nas dawna sytuacja. Teraz Porozumienie Centrum i ZChN polecają, abysmy to samo ćwiczyli z ich cieniami.

Spiskowe myślenie zaraża i nie przypadkiem pleni się w mgłach i mrokach, a więc sam nie widząc prawie nic, zacząłem pytać ludzi interesu — jak to jest, czy dawna nomenklatura naprawdę pęta naszą gospodarkę, dusi spółkami nomenklaturowymi? Pytani przeze mnie biznesmeni wzruszali ramionami, wiele dziwnych rzeczy widzieli na swoich ścieżkach, ale nie widzieli sieci nomenklaturowej.

Pamiętam zupełnie wyjątkowego łajdaka, który mnie kiedyś przesłuchiwał na Rakowieckiej. Pod koniec sesji klepnął się w udo, zapewne by obudzić swą duszę znękaną żmudną i tępą pracą, i oświadczył: — „wkrótce przejdziemy na wczesną emeryturkę i założę się interesik”. Oj wtedy wiele bym dał, aby można mu było dobrać się do tego interesiku. Teraz myślę o tym bez emocji.

Są ludzie winni zbrodni, oni powinni być osądzeni. Nie od-



był się żaden proces, który by w sposób choćby symboliczny osądził tamten czas. Wytoczono tylko procesy duchom. A te, które wszczęto przeciw żywym, zaplątały się od razu w swój ogon. Bo niełatwo jest skazać wierzchołek góry lodowej. I jak wyłapać wszystkie płotki, które grzeszyły zgodnie z ówczesnym prawem? Czy ważyć, kto wystarczająco winien, a komu można wybaczyć? Już widzę dawny Dworzec Główny pełen niespokojnego tłumu, na podwójnym tronie siedzą bracia Kaczyńscy z wagą. Posługuje im w komży poseł Niesiołowski. Ten bardzo zabiegany, bo w sąsiedniej sali sądzą winnych grzechu lubieżności.

Przywódcy byłej „Solidarności” z przywódcami byłej Polski Ludowej spotykają się dzisiaj nie tylko w gabinetach, proszę jaka ładna seria spotkań Prezydenta z generałami. Ci patrzą ze wzruszeniem na fotele, co tak długo pieściły ich siedzenia, i z drobnym lękiem na telefon, z którego niegdyś jak piorun mógł spłynąć głos gromowładnego Breżniewa. Ale najbardziej osobliwe i zbiorowe spotkanie nastąpiło w Oficynie Wydawniczej BGW. Nikt nie przeczy, że właściciele i fundusze tej firmy są więcej niż podejrzane, ale publikują książki w wielkich nakładach i tak samo płacą.

W BGW spotkali się oto Rakowski (tajemnice partyjnego sumienia), I sekretarze Gierk i Kania (tajemnice dwóch epok PRL-u), Jaruzelski (w planie), a obok podwójny były minister Kuroń (piękne życie), minister Kozłowski (tajemnice nowego MSW), minister Kuczyński (tajemnice gospodarki), Bujak (tajemnice podziemia). Oprawcy i ofiary, śledczy i przesłuchiwani, pogodziła ich historia oraz firma BGW. Dawni konspiratorzy i rozpracowujący ich SB-cy mogą czuć się jednak wystrychnięci na dudka. Nikt wtedy nie odgadł, że to jedynie szefowie zbierali materiał do sensacyjnych książek.

Z. był zawsze ogromnie zasadniczy, nasze kodeksy moralne nosił w sobie, a przy nich zawsze płonęła czujna lampka. Lęk, by nie uwikłać się w sytuację niemoralną z „nimi” spędzał mu sen z powiek. Spotykam go teraz, i oto zwierza się z na razie ukrytego romansu jego firmy z BGW. — Ratujemy się przed bankructwem, rozumiesz, takie teraz czasy, patrz tam nawet Bujak, Kuroń, zrobiła się dżungla, tylko silni przeżyją, takie czasy.

Moralność indywidualna zanurzona jest w zbiorowej, a zbiorowa jak stary schodzony garnitur, szwy trzymają, ale nie za mocno. Jak ktoś naprawdę szarpnie, wszystko się rozłazi. I rozlazło się ...

Polska lokalna, nieustannie odkrywana i znowu dokładnie zapominana. Stąd utrata oddechu z przerażenia, gdy ta Polska

ma nagle głos, jak np. w trakcie wyborów. Czyż zresztą nie ten sam opór zaskoczył komunistów, którzy przed niczym się nie zawahali, a przed naszym chłopem tak, i nie wsadzili wsi w dyby kolektywizacji. Dzisiaj nadal uparty chłop kładzie się krzyżem na drodze naszej wielkiej reformy. A ten „krzyż” jest tradycyjnie już skłócony, może na szczęście, bo solidarni chłopci załatwiliby wrogię miasto na amen.

Wiejska Apokalipsa wyrażona ustami pewnego rolnika brzmi: „Rzut węgierskiego kurczaka zabił naszego brojlera, przeterminowane niemieckie piwo truje naszego chłopca, a znakomite nasienie zwierząt wylewa się do rzek”. Szczególnie to ostatnie może pobudzać wyobraźnię. Chłopi nienawidzą rządu i nienawidzą Zachodniej Europy, która produkuje żywność taniej i w nadmiarze. Zaś premier Bielecki mówi, że go „nienawiść rolników do władzy i do EWG przeraża”. Boimy się ich tym bardziej, im bardziej ich nie rozumiemy.

Jest też świat małych miasteczek, zagłębienie frustracji i obłomowszczyzny. Stamtąd czerpał swoje siły Tymiński.

Jakiś czas temu widziałem film, gdzie pokazano stado kopytnych, które na widok kamery utworzyły mały, ale niezwykle zwarty krąg obronny. I nagle zobaczyłem w podobnej konfiguracji znajomych w małym miasteczku. I najeżoną sierść na karku Kowalskiego, gdy wyniucha obcego. By przeżyć potop zaborów, a potem komunizmu, nasza społeczność tworzyła figurę obronną i będzie powtarzać ją jeszcze długo.

Dlatego zainteresował mnie tekst w *Res Publice* (7-8, 91 r.), bo wydał się zbieżny z pewnymi intuicjami. Jest to referat Bogdana Jałowickiego, który opisuje scenę polityczną Polski lokalnej, a korzysta w swym tekście z obszernych badań naszej prowincji prowadzonych przez licznych socjologów. Autor cytuje Janusza Hryniewicza:

„Osobliwością naszego społeczeństwa jest mikrogrupa jako podstawowy element struktury społecznej (...). W małym mieście bardzo wyraźny jest układ polegający na tym, że wokół rodziny nuklearnej koncentruje się układ przyjaźni, w skład którego wchodzi ludzie pełniący role zawodowe ważne dla funkcjonowania danej rodziny. Układ ten jest zazwyczaj dość trwały, a więź rzeczową silnie wzmacnia więź emocjonalną i odwrotnie”.

I dalej:

„Grupy te spełniały ważną rolę w systemie realnego socjalizmu. Zmniejszały jego dolegliwości, a przede wszystkim zakres reglamentacji zachowań społecznych przez państwo i jego instytucje (...). Życie przeciętnego Polaka w małym mieście toczy się w zasadzie wyłącznie w małych grupach, ponieważ nadal bardzo niewielkie znaczenie ma identyfikacja z grupami typu zrzeszeniowego, w efekcie jednostka uczy się, aby w każdej aktywności publicznej oczekiwać bliskich emocjonalnych związków z instytu-



cjami lub osobami. Oparcie życia społecznego na grupach rodzinno-koleżeńskich ma bardzo poważne konsekwencje dla kształtowania się nowego ładu społecznego. Grupy te postrzegają instytucje socjalne jako nieprzyjazne. Również jako wrogów traktuje się wszystkich nie będących członkami własnej grupy. W efekcie wytwarza się relatywizm moralny usprawiedliwiający dowolne postępowanie z jednoczesnym rygoryzmem wobec zachowań członków grup obcych. Moralność Kalego jest jedną z cech charakterystycznych polskiego społeczeństwa”.

I dalej:

„W odniesieniu do problemów globalnych oczekuje się gotowych, jednorodnie emocjonalnie podbudowanych formuł. Jak się wydaje, najgroźniejszą konsekwencją tego stanu rzeczy jest intelektualna niemożność zaakceptowania wielości przyczyn różnych globalnych wydarzeń społeczno-politycznych. Społeczeństwo jest więc podatne na wyjaśnienie zjawisk i procesów społecznych w silnie zmitologizowanych kategoriach ideologicznych, stąd tendencje do spiskowej interpretacji wydarzeń i poszukiwanie wroga”.

To tylko fragmenty obszernych badań dokonanych już jakiś czas temu, ale wnioski są niestety ogromnie aktualne. Jednym z tych wniosków jest, że

„Zachowanie elektoratu Polski lokalnej, który jest w ogromnej części politycznie niezagospodarowany, może być całkowicie nieprzewidywalne. (...). A poglądy egalitarne i postawy roszczeniowe oraz znaczne upowszechnienie postaw autorytarnych jeszcze przez długi okres określać będzie zachowanie polityczne mieszkańców Polski lokalnej”.

Tej Polski, trzeba dodać, która — jak już pisałem — nieustannie nas zaskakuje, która nas przeraża i której poznać elita naszej władzy nie chce, jakby nie miała już siły na tak wielki pasztet, chociaż to właśnie jest teraz już nie jęczyczek, a wielki jęczor u naszej wagi.

Jedna z najpopularniejszych osób publicznych w oczach naszego społeczeństwa to wedle badań Rzecznik Praw Obywatelskich, prof. Ewa Łętowska. Ciekawe, co ona myśli o społeczeństwie, które ją tak wysoko ceni?

„Gdyby jakiś socjolog napisał książkę o społeczeństwie polskim na podstawie listów do rzecznika, byłaby to lektura równie fascynująca, co przerażająca. Większość listów to nieustanny krzyk: „Daj”, albo nawet jeszcze mocniej: „Zabierz innemu i daj mnie”.

A co myśli pani profesor o naszym życiu politycznym?

„Nie lubię tego naszego sposobu prowadzenia polityki i coraz częściej wydaje mi się, że człowiek, który chce się uważać za przyzwoitego, powinien się od tego wszystkiego trzymać z daleka”.

Tyle o nas najbardziej popularna i lubiana przez nas osoba.

Pytanie o wielką reformę, zwaną Planem Balcerowicza, coraz bardziej przypomina owoc dojrzający do wielkiej katastrofy, jeżeli się go nie zerwie, spadnie sam. Większość Polaków podczas wyborów powiedziała tej reformie w jej obecnym kształcie — nie! Problem, że jak się zdaje, nie ma żadnych argumentów ostatecznych tak „za” jak i „przeciw”, co się zdarza, gdy mamy do czynienia z wielkimi eksperymentami. Padliśmy ofiarą nieudanego eksperymentu socjalizmu, a teraz jest eksperyment następny. Mówią „nie” również wybitni nasi politycy, Karol Modzelewski ma niezwykle długi staż w tej branży, wielkie zasługi a przede wszystkim sprawdzoną polityczną inteligencję. Jako, że wraca właśnie z powrotem w mroki Średniowiecza, bo to jego pierwszy zawód, trudno posądzić go o uwikłanie w doraźne spory. Cytuję:

„Obdarzony zawierzeniem rząd Mazowieckiego nie był w swoich poczynaniach ograniczony przez aktywność własnej bazy, nie był kontrolowany lub kontrowany przez związki zawodowe, nie miał w parlamencie opozycji i początkowo nie natrafił na żaden opór w kraju. Mógł robić co chciał, ale nie wiedział co robić. W tej sytuacji zapożyczono z renomowanych uniwersytetów amerykańskich i z okręgów bliskich MFW receptę zalecaną krajom Ameryki Łacińskiej, która do warunków postsocjalistycznych nie pasuje”. I dalej: „Panowie pytacie, dlaczego rząd głoszący pluralizm nie sięgnął po pluralizm? Otóż po pierwsze rząd Mazowieckiego cierpiał na wywodzący się ze stanu wojennego i z konspiracji uwiad demokratycznej atmosfery i obyczajowości” (*Życie Gospodarcze*, 19.X.1991 r.).

Podarte zostały nieomal wszystkie zasłony, obalone niemal wszystkie mury dzielące nas od PRL-owskiej przeszłości. Czuć smutek tamtego czasu, zapach zatęchłego gabinetu, gdzie nawet szyby porosły pleśnią, a wielkie tajemnice okazały się kartami.

Oto *Polityka* ujawnia z tajnych archiwów notatkę z dyskusji posiedzenia Biura Politycznego z dnia 8.IV.68 roku. Magiczna pałeczka przenosi nas na górę, gdzie odbywa się sabat czerwonych czarownic. W kotle smażą się zjadliwe trucizny, prapoczątki kampanii antyinteligencyjnej i antysemitkiej, która spustyniła nasz krajobraz i wyrzuciła za burtę Polski tysiące ludzi pochodzenia żydowskiego. Oto tow. Wiesław ze swoim aeropagiem godzinami deliberyje, głowiąc się, jak odróżnić Żyda od syjonisty.

Już sama lektura stenogramu przyprawia o ból głowy, podobnie wycieńczający jest wysiłek zrozumienia i nawiązania kontaktu z pacjentem chorym na psychozę maniakkalną. Smutne potwierdzenie podejrzeń, że rządziły nami belkot i szaleństwo. Byliśmy świadkami eksperymentu przełożenia tej językowej miazgi na język faktów i przeniesienia tego do fabryk i na ulicę. Niestety opiłki tego tkwią nadal na naszej tęczęwce.



Na scenę w blask reflektorów wychodzi znowu Stanisław Kania, poczciwy Kania, który sekretarzował przez czas jakiś w doprawdy kłopotliwym dla PZPR okresie szalejącej w PRL kontrrewolucji. Krzątał się po publicznym ołtarzu jak korpu-lentny poczciwy proboszcz w świątyni, gdzie diabeł zamieszkał nawet w święconej wodzie. Dzisiaj tow. Kania też stał się pisarzem i jest z dawnymi towarzyszami oraz Kuroniem i Bujakiem klasykiem Oficyny BGW. On ma też swoje wielkie pięć minut, może zdradzić wielką tajemnicę, jakie było tło upiornej zabawy w „wejdą nie wejdą”. Szczerze mówiąc tak długo ona trwała, że znieczuliśmy się niemal zupełnie, i jak wszedł w nas generał Jaruzelski ze swoją armią, prawie tego nie poczuliśmy. Oto tow. Kania jest w Moskwie, gdzie jechał zapewne żegnając się z życiem. W dali Polska, gdzie szaleje kontrrewolucja, a tu Leonid Breżniew i I sekretarze wszystkich bratnich partii z nożami w zębach. Kadar, wedle Kani, miał łzy w oczach, gdy mówił o możliwości interwencji: te łzy można by wsadzić do gabloty w muzeum osobliwości. I oto nadchodzi moment szczytowy — Kania jest sam na sam z Nim. Niedźwiedź mówi powoli, właściwie ledwie mówi, jak się zdaje mózg mu już nie bardzo chce pracować, i pomyśleć mózg Imperium. Zresztą mówi głównie tow. Kania, jak na Sądzie Ostatecznym tłumaczy się z Polski. Jeśli obleje ten egzamin, pancerna lawina runie na kraj. Taka rozmowa to mógłby być dramat, który przygniótłby wszystkie dramaty Szekspira, no ale tow. Kania nie pisarz, on aparatczyk, wierzę nawet, że dość poczciwy. I oto Niedźwiedź otwiera usta i mówi — *No charaszo, nie wajdiom* i po pauzie — *a budiet usłażniatsja — wajdiom, wajdiom*. I wreszcie po pauzie — *No biez tiebia — nie wajdiom*.

Mrówki powinny teraz pójść po plecach, a nie chcą iść, te mrówki są już martwe.

Albo taka przebitka z ostatnich lat — wszystko znowu dzięki niezastąpionej BGW, która skusiła również marszałka Sejmu, Mikołaja Kozakiewicza. On też będzie miał książkę, gdzie opíše zdarzenia ostatnie. Oto scena spotkania u Prymasa, gdzie jest Wałęsa i cały areopag, i wielkie pytanie, co robić, bo jest coraz gorzej. Kardynał Glomp „mówi o rosnącej w kraju gorączce dążenia do władzy”. Po czym, jak wspomina marszałek (niegdyś znany seksuolog) — „w sposób dość zaskakujący Prymas mówi, iż niepokój polityczny trzeba rozpatrywać w związku z niepokojem na tle erotycznym”.

Wiadomość z piwnic MSW. Oto nowy wiceminister tego resortu, Jan Widacki, przechadzając się mrocznymi podziemnymi korytarzami, potknął się o jakieś paczki. Było w nich 200 egzemplarzy „Gwałtu na Melpomenie” Antoniego Słonimskiego,

tylko to ocalało z nakładu, który w 1959 roku poszedł na przemiał. Teraz ten niedogwałcony „Gwałt” będzie sprzedany na licytacji.

Jeden z ostatnich numerów *Res Publici* niesie tajne materiały archiwalne. Rzecz dotyczy naszej elity. Jest rok 1966, więc idea już leżała w gruzach, ale nasza elita jest w tej idei może nie po uszy, ale po... kostki. Oto nasi czołowi pisarze, przez młodszych pamiętani jedynie jako ekstrema opozycji antysocjalistycznej, w roku 1966 — nie do wiary — są jeszcze towarzyszami, a jako członkowie partii odpytywani są przez surowe sumienie tej partii w sprawie wielkiego grzesznika, Leszka Kołakowskiego, za te grzechy z partii właśnie usuniętego. I oto stała się rzecz niebywała — grupa pisarzy członków Organizacji Partyjnej przy Związku Literatów Polskich ujęła się za Kołakowskim w liście, który kończy się słowami: „Pozostawienie go poza partią przyniosłoby jej uszczerbek zbyt wielki, aby można było przejść nad tym do porządku dziennego”. Wśród podpisanych są m.in. Tadeusz Konwicki, Jacek Bocheński, Julian Strykowski, Wiktor Woroszyński...

Krnąbrnych towarzyszy przesłuchuje komisja partyjna, na czele której stoi Kliszko. Czołówka naszych pisarzy jest nagle w szkole i przy tablicy. Sprawa jest poważna, ucieczka z lekcji. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, ale to przecież jest 1966 rok. I jak w koszmarnym śnie nasi wybitni pisarze, sumienie narodu w krótkich spodenkach, stoją przed kłapouchym wielkim belfrem Zenonem Kliszką, niby hardzi uczniowie, ale jednak spłoszeni, tłumaczą się, kręcą, mówią niby „nie”, „ale”, „sprawa jest złożona”, „nasza partia”. Najbardziej dramatyczny fragment i najbardziej heroiczny to finał przesłuchania Konwickiego. Pisarz długo starał się palić Bogu świeczkę i diabłu ogarek, ale diabeł przyciskał, a Bóg zdawał się być daleko, i na samym końcu doszło do nieszczęścia.

Tow. R. Nowak: — Czy wam zależy na partii?

Tow. Konwicki: — Szczerze mówiąc — nie.

Ale położmy miłosiernie zasłonę na nazwiskach i cytatach, piszę o tym nie by się nad wybitnymi znęcać. Połączyły mi się nagle te stenogramy z kasą pancerną pułkownika Bednarza (*Rzeczpospolita* z IV 91). Żółkną tam plany ewakuacji warszawskiej dzielnicy Żoliborz w razie wojny i nuklearnego ataku. I oto jest instrukcja, która nakazuje — „w pierwszej kolejności wywieźć należy i zapewnić bezpieczne miejsce pracy 26 żoliborskim wybitnym twórcom kultury i sztuki”. Niestety dziennikarz nie podał nazwisk tych 26 godnych ocalenia z Apokalipsy i jak weryfikowano listę. W końcu znając pokretnie biografie niektórych twórców z Żoliborza, rzecz nie była łatwa.



Ta lista to jeden z przykładów niezwykle zagmatwanego stosunku partii do artystów, czyli najpierw do inżynierów ludzkich dusz, potem inżynierów zakładających minę pod socjalistyczny dom. I czyż nie do wczoraj, mimo wojny, która zaczęła się właściwie w roku 56, a kulminowała w roku 68, zaś w stanie wojennym doszło prawie do podrywania gardel — mimo to wszystko wielu z pisarzy „wścieklej ekstremy” miało przez cały czas do dyspozycji szpital rządowy na Hożej. Nawet wypuszczeni dopiero co z interny przybywali tam na leczenie, by na korytarzach lub w szpitalnych salach spotykać tych, którzy kazali ich więzić, internować, wymazywać ich imiona z prasy. A igły rządowych strzykawek o dziwo równie gładko wchodziły w aureole co w czarcie zady. Nie wymawiam nikomu tej lecznicy, ukazują tylko pewną figurę.

Bo partia do swego końca, gdy w Sali Kongresowej sama się kładła do trumny śpiewając „bój to był nasz ostatni”, niosła w duszy strzępki miłości do artysty, o tak, te proste komuchowskie dusze mieszały miłość z nienawiścią prostaka do nosiciela spraw niepojętych i magiczny lęk przed słowem, lęk, który doprowadził działalność cenzury do granic obłędu. Był to lęk przed prawdą, która w świecie kłamstwa rzeczywiście uzyskała niestychaną siłę.

A nasi intelektualści noszą w sobie do dziś roztrzaskane fragmenty dworu, na którym tak długo tańczyli, potem już niby obrażeni, potem zbuntowani, ale tańczyli podjadając torty, popijając wina, zamieniając mieszkania na większe.

Tyle pośpiesznych i powierzchownych refleksji z lektury naszej wolnej prasy, która metodą odkrywczą, też szybko i powierzchownie, odkopuje przeszłość. Podglądanie przeszłości po tylu latach jest niestety namiastką spodziewanych rozkoszy. Mamy bowiem pamięć dziewiętych wdzięków, a uchylona zasłona obnaża starcze członki.

SMECZ

## Miasteczko, które nie widzi nadziei

1.

Miasteczko nie ma nawet dziesięciu tysięcy mieszkańców. Ma fabrykę obuwia i odlewnię metalu. Jest centrum rolniczego okręgu. Wybory prezydenckie wygrał tu Stan Tymiński. (On reprezentuje nasze nadzieje — mówili ludzie przed wyborami. — Tamtych dwóch walczy między sobą, a Tymiński walczy o ojczyznę — do dziś uważa tak kioskarka z dworca PKS).

2.

W miasteczku zjawili się socjologowie, aby dowiedzieć się, czy mieszkańcy są już społeczeństwem obywatelskim. Pytali, jak żyje społeczeństwo lokalne, które ma swój demokratycznie wybrany samorząd.

Przewodniczący rady miejskiej zwierzył się socjologom, że na pierwsze posiedzenie rady, które było otwarte dla wszystkich — nikt, poza radnymi, nie przyszedł. Jako publiczność ściągnięto więc dwie klasy szkolne. Uczniowie, którzy wytrwali dwie godziny, otrzymali oceny bardzo dobre.

Samorząd gminy zawiesił dyżury radnych na jakiś czas, nigdy bowiem żaden mieszkaniec na taki dyżur się nie zgłosił.

(Po wyjeździe z miasta socjologowie napisali referat o braku opiniotwórczych autorytetów, o zawiedzionych nadziejach i o frustracji. „W miasteczku w ogóle nie istnieje życie polityczne” — zanotowali).

3.

Cholewkarkom z państwowej fabryki butów jeszcze nigdy nie było tak źle, jak za Solidarności.

Załą się, że ostatnio dzień w dzień dają dzieciom kaszanke na obiad. Niektóre zarabiają nawet 473 tysiące złotych miesięcznie. Janina G. daje córce śniadanie do szkoły co drugi dzień.

Podczas pracy wchłaniają toksyczny klej. Maszyny z nożami do cięcia skóry są rozregulowane, łatwo można stracić palec. Mistrz utrzymania ruchu uważa, że maszyn nie da się już właściwie ustawić — są zbyt zużyte. Na nowe nie ma pieniędzy.

Szefowi dozoru technicznego nie mogą się poskarżyć, bo jest żoną kierownika.



Fabryka od roku produkuje mokasyny męskie, których nikt nie chce kupować. Dobrze sprzedawałyby się buty dla dzieci, ale kierownictwu nie zależy na zmianie asortymentu.

Ostatnio dowiedziały się, że fabryka nie nadaje się nawet do tego, by utworzyć z niej jednoosobową spółkę skarbu państwa.

Ogłoszono przetarg na jej dzierżawę, lecz nikt się nie zgłosił.

W tym czasie ogłoszono podwyżkę cen energii elektrycznej i gazu. Brygadzistka powiedziała: „Dziewuchy, jesteście oszukane i niepotrzebne nikomu”. Rozpoczęły jednogodzinny strajk ostrzegawczy. Był to pierwszy strajk, kiedy wszystkie, co do jednej, solidarnie przerwały pracę.

Okazało się, że kierownictwu fabryki butów strajk jest na rękę — ponieważ mokasynów męskich jest tak dużo, że nie ma ich już gdzie składować — im mniej cholewkarki produkują, tym lepiej.

Gdy pracownice dowiedziały się o tym, prawie wszystkie płakały.

— Przecież Wałęsa mówił, że będzie prywatyzacja i każdy dostanie po sto milionów — twierdzi brygadzistka. — Dlaczego nikt nam nie wyjaśnia przez telewizor, na czym ta prywatyzacja polega? — pyta koleżanka brygadzistki.

— My nic nie rozumiemy z tego, co się do nas mówi w telewizji — żali się brakarka.

4.

Mieszkańców miasteczka spytano, jak rozumieją zwroty, użyte przez polityków i dziennikarzy w telewizyjnym „Studio Wyborczym” 23 września 1991. Mieszkańcy, którzy nie są nauczycielami, adwokatami, lekarzami, księżmi ani też wyższymi urzędnikami — uskarżają się, że prawie wszystkie wyrażenia nie rozumieją.

„Korektę ustawodawstwa” murarz rozumie jako „coś, co ustawia”, posadzkarz jako „błąd jakiś”. „Partia stanowa” — to zdaniem cholewkarki — „partia Tymińskiego”, a według monterów urzędów centralnego ogrzewania „stara i nowa partia”. „Animację sektora usług” urzędniczka Zespołu Opieki Zdrowotnej wyjaśnia: „Na przykład jak się usługi pogarszają”, zaś „stawianie społeczeństwu alternatywy” znaczy, że „będzie jeszcze gorzej” (ślusarz).

Zupełnie niezrozumiałe jest słowo „elektorat” — najczęściej chyba używane w kampanii wyborczej. „Elektorat — to coś z rządu chyba” (kioskarka), „jakaś maszyna” (murarz na rencie), „elektorat to musi być coś elektrycznego” (sprzedawca jabłek na targu).

Z pięćdziesięciu mieszkańców dwie osoby twierdzą, że różnią partie polityczne. Słabo rozróżnia — trzynastu osób. Nie rozróżnia reszta.

— Gdy słyszę samo słowo partia, to mnie zaraz szlag trafia — mówi ślusarz.

5.

Pierwszym posunięciem rady miasta było zlikwidowanie relikwów komunizmu: „Nowotki” przemianowano na „Piłsudskiego”, „Lenina” na „Miłą”, a „Plac Wolności” na „Plac Niepodległości” (mimo weta radnej B., która stwierdziła, że w nazwie „Plac Wolności” nie zawiera się komunizm; radnej B. przypomniano więc zaraz: „Wszyscy pamiętamy, że do 80 roku była pani w PZPR”, radna dowiedziała się też, że nie pojmuje zachodzących przemian).

6.

Gdy rada uporała się już z „Placem Wolności” — najbardziej zauważalnym relikwem komunizmu — zaczęła zastanawiać się, jak podratować budżet miejski.

Dwóch radnych zaproponowało, by zlikwidować filie biblioteczne w okolicznych wsiach. (Radny Z., który ma 70-hektarowe gospodarstwo, argumentował nawet: — Jak ja skończył szkołę, to żadnej książki do dziś nie przeczytał i żyję).

Na jedno z posiedzeń rady zaproszono dyrektora Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, aby mu dowieść, że najważniejsze dla gminy są drogi, na które nie ma pieniędzy, zaś likwidacja bibliotek przyniesie oszczędności.

Dyrektor musiał tłumaczyć radnym, że za jedną zlikwidowaną bibliotekę można wybudować raptem pół kilometra drogi.

7.

„Drogę ku kapitalizmowi radni utożsamiają z czerpaniem przez miasto coraz większych profitów” — stwierdzili socjologowie i dodali: „Zainteresowanie sprawami gospodarki przez radę miasta sprowadza się do ustalenia kwot czynszów dla osób podejmujących działalność gospodarczą”.

— Naprawdę nie myślałem, że będzie tak ciężko — mówi radny G., z zawodu zootechnik. — Dawniej jak ktoś miał taki urząd, to był figurą, nic go nie obchodziło. Teraz trzeba ciężko pracować i stale są jakieś problemy.

„Poczucie bezradności i zawodu obserwuje się wśród wielu członków rady” — oceniali naukowcy.



8.

Ksiądz poświęcił aptekę już w tamtym roku. Ponoć wcześniej sugerował właścicielce, że jeśli nie wycofa z niej wszystkich środków antykoncepcyjnych, apteka może być zamknięta. (Aptekarka nie potwierdza tego, ale i nie zaprzecza. Proboszcz nie godzi się na rozmowę).

Nauczycielka licealnego przedmiotu „Przysposobienie do życia w rodzinie” opowiada, że jedna z jej uczennic głośno spytała w aptece o spirale antykoncepcyjne. Usłyszała: „Ciszej dziecko! Ksiądz poświęcił tę aptekę”.

Nauczycielka twierdzi, że na dwadzieścia jeden aptek w województwie — poświęcono już połowę.

9.

O religijności mieszkańców miasteczka może opowiedzieć Jerzy T., ordynator wydziału ginekologicznego w miejskim szpitalu. Od dwudziestu sześciu lat miejscowe kobiety przychodzą do niego ze swoim nieszczęściem.

Gdy pacjentce, która ma czworo dzieci i męża alkoholika, ordynator proponuje założenie spirali, ona protestuje: „Przez pana, panie doktorze, ksiądz mi grzechów nie odpuści”. Woli usunąć ciążę.

Ginekolog twierdzi, że dla wielu kobiet jedynym środkiem antykoncepcyjnym jest aborcja.

Pewnej kobiecie, która usunęła ciążę, mąż nie pozwala na środki antykoncepcyjne. „Bo — wyjaśniła — mąż jest katolikiem”.

Ostatnio coraz więcej ciężarnych pacjentek z miasteczka przyznaje, że nie będą miały za co utrzymać dziecka.

Ordynator T. boi się chwili, gdy parlament uchwali ustawę antyaborcyjną. Jego zdaniem, kobiety, aby poronić, będą wstrzykiwać sobie denaturat, jodynę i mydło. Bywało tak przed laty, kiedy obowiązywał zakaz przerywania ciąży.

Ordynator T. prosi o nieujawnianie jego nazwiska.

10.

Podziemny *Wolny Głos Nauczycielski*, Wrocław ogłosił w stanie wojennym, że Bogdan Ł., dyrektor liceum ogólnokształcącego, ma pseudonim „Gnida”. „Dyrektor zmuszał uczennice do udziału w zabawie w roli fordanserek pododdziału ZOMO; odporne próbował karać” — doniósł *Wolny Głos* w 83 roku.

Ideą dyrektora było wystawienie w szkole pomnika patrona — komunistycznego generała. Pod pozorem akcji „Narodowy Czyn Pomocy Szkole” w sekretariacie pobierano od uczniów pie-

niądze za załatwienie najdrobniejszej sprawy. Z powodu pomnika obowiązywał cennik na wydanie szkolnych legitymacji, świadectw i wszelkich zaświadczeń.

Pod koniec roku szkolnego 1989/90 rady pedagogiczne mogły pozbyć się dyrektorów partyjnych lub niekompetentnych. Bogdan Ł., przez wiele lat partyjny — na ścianie swego gabinetu powiesił własne zdjęcie od pierwszej komunii świętej i otrzymał od nauczycieli votum zaufania.

Także uczniowie wypowiedzieli się, czy chcą zmiany dyrektora. W anonimowej ankiecie niemal wszyscy napisali, że dyrektor jest dobry.

— Nasze liceum jest małe, toteż dyrektor i profesorowie znają charakter pisma każdego z nas. Gdyby ktoś napisał coś wbrew dyrektorowi, oni by go znaleźli — mówi uczeń, który był za tym, by stary dyrektor pozostał.

11.

W dwóch trzecich klas liceum, spośród pięćdziesięciu osiemnastolatków tylko dziewięcioro ma swoje książki.

Osiemnastolatki zwierzyły się reporterowi, co chciałyby mieć. Połowa chciałyby mieć swój samochód. Jedna trzecia — lepsze ubranie.

66% pytanym osiemnastolatków z miasteczka boi się przyszłości. (Przyszłości — „czyli tego, że nie zdamy matury, że nie dostaniemy się na studia, że nie będziemy mieli mieszkania”).

Żadne z nich nie sądzi, że mogłoby mieć „wpływ na rzeczywistość” czy też na losy kraju. Arek, który maluje sprayem na murach uważa, że jedyny wpływ, jaki posiada, to wpływ na mury. Jego ulubiony napis brzmi: CHCESZ MIEĆ KOŁOROWE SNY — WYPIJ LOTOSY 3!\*

Co drugi trzecioklasista mówi: „Nie mam pojęcia, co dalej robić”, „Boję się, że nie dojdę do niczego”, „Widzę wszystko szaro” itp.

12.

Starszy inspektor rejonowy do spraw bezrobocia, Janina K., wybrała się do liceum, aby dowiedzieć się, co młodzież myśli. Była zaskoczona: większość młodzieży myśli, że dostanie pracę etatową w państwowym zakładzie pracy i to z korzystną umową na czas nieokreślony. Janina K. namawiała więc młodych, by wyzwalali w sobie pozytywną agresję: aby chodzili na dodatkowe języki albo zapisali się na kurs maszynopisania. — Nie dajcie się wyrzucić poza nawias — mówiła.

\* „Lotos” popularne polskie wino, jedno z najtańszych.



13.

W odlewni tryska na robotników rozżarzone żeliwo. Czasem wpadnie do buta, czasem za kołnierz. (Najbardziej tryska wtedy, gdy w nocy zaczyna się rozruch i metal wlewany jest do zimnych form).

Metalowcy z odlewni nie wiedzą, że w ich zakładzie zdarza się najwięcej wypadków. (Dyrektor twierdzi, że oparzenia są nieodłącznie związane z tym zawodem i nic się na to nie poradzi).

Odlewnia zatrudnia 517 ludzi. Miasteczko jest małe, więc gdyby się zwolnili, nie mieliby dokąd pójść.

— U nas można wyciągnąć nawet do miliona stu miesięcznie — mówią metalowcy. — Metal sobie tutaj tryska, ale nikogo nie zabija.

14.

Przez dziewięć kolejnych sobót od 19 do 19.10 część mieszkańców łączy się z Sergio Ramirezem, zamieszkałym w dorzeczu Amazonki.

Sergio Ramirez jest „księciem cudotwórców”, a fotografię jego dłoni wydrukowało pismo *Skandale*. (Tani dwutygodnik o najwyższym w Polsce nakładzie — 1 mln 100 tys. egzemplarzy; według badań prasoznawców z Uniwersytetu Jagiellońskiego — najlepiej sprzedaje się w małych miasteczkach).

— Ze *Skandalami* jest szal — opowiadają kioskarki. Na dwa wydania „dłoni” chętnych było tak dużo, że musiały robić zapisy.

Schorowani, cierpiący i nieszczęśliwi powinni położyć swoje dłonie na dłoniach cudotwórcy i przez dziesięć minut każdej soboty patrzeć w jego oczy, których fotografię zamieszczono między dłońmi.

Elżbieta K. mówi, że wśród jej znajomych uzdrawiała się trzy osoby, każda na swojej gazecie.

Niektórzy mówią, że zmniejszyły im się guzy na różnych częściach ciała; inni, że wskutek połączenia z Ramirezem czytają i piszą bez okularów. Ci, którym guzy się nie zmniejszyły mówią, że dzięki *Skandalom* żyje im się lepiej.

Stefania S., praczka na rencie, uważa: — To wspaniałe, że z takiego małego miasteczka można połączyć się z cudotwórcą.

Mariusz SZCZYGIEL

*Post scriptum.* Przedstawione w reportażu wydarzenia miały miejsce w Koluszkach, Lęborku, Łukowie, Przemkowie, Proboszczowie, Ostrołęce, Świebodzinie, Bolesławcu i Złotorzy, dokąd autor podróżował w 1991 r. (wykorzystano też fragment pracy Joanny Śmigielskiej, socjologa z Uniwersytetu Warszawskiego, pt. „Demokratyczny labirynt małego miasta”).

## Sprawy i troski

### Prezydent pochylił głowę\*

21 maja 1991 roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Wałęsa, pochylając głowę, powiedział w izraelskim Knesecie:

„...Ale byli też wśród nas złoczyńcy. Jestem chrześcijaninem i nie wolno mi ludzką miarą mierzyć dwudziestowiecznych rachunków krzywd obydwu narodów. Tu, w Izraelu, kraju Waszych narodzin i odrodzenia, proszę Was o wybaczenie”.

To oświadczenie Prezydenta Wałęsy zostało przyjęte przez Polaków z ogromną i wyjątkową powagą. Ich reakcje na nie były w większości krytyczne, a nawet protestujące. W tych reakcjach na oświadczenie Prezydenta w izraelskim parlamencie dominującym pytaniem było: „Kogo mamy przepraszać i za co?”

Poniżej spróbujemy pokazać, że chyba jest za co przeproszać, a także, iż należało to uczynić.

Wyjdźmy z akceptacji faktu, że wśród Polaków istnieje antysemityzm, a wśród Żydów istnieje antypolonizm. Często podsycają się one wzajemnie, „na zasadzie zakłętego koła”, jak to nazywa Gustaw Herling-Grudziński.

Na utrzymujący się dotąd antysemityzm Polaków dowodów jest wiele. Wśród nich pogardliwy stosunek do Żydów, nawet pod-

\* Dlaczego dwaj autorzy: Kobos i Krzystek? Otóż dzieli nas prawie pełna szerokość kontynentu północnoamerykańskiego, ale obaj bierzemy od dłuższego czasu żywy udział w dyskusjach, m.in. na tematy polsko-żydowskie, prowadzonych na sieci poczty elektronicznej Poland-L, a to co przedstawiamy poniżej stanowi wynik naszych wspólnych przemyśleń. Dyskusje te i towarzyszące im lektury nauczyły nas bardzo wiele i u obu doprowadziły do rewizji stereotypowych poglądów na sprawy polsko-żydowskie.



świadomy. Jakże częste są reakcje typu „ah, to Żyd”, lub silniej „ah, ten Żyd”. Lub antysemityzm „ludzi dobrych”: „Uczciwy, chociaż Żyd”. W Polsce zostało już bardzo niewiele Żydów, podobno nie więcej niż 5000, ale od dwóch lat rozbrzmiewają pogłoski o Żydach utrudniających odbudowę kraju z totalitarnego zniszczenia. Niedawno nabrał ten antysemityzm pewnej „nobilicacji” na poziomie kampanii prezydenckiej. Może te Gwiazdy Dawida na szubienicach, malowane na plakatach na czole jednego z kandydatów były dziełem wyrostków, ale było ich zbyt wiele i nieomal nikomu nie przeszkadzały, dopóki nie zostały sfotografowane przez zachodnich reporterów. Sam fakt, że owemu kandydatowi biskupi Kościoła katolickiego sprawdzili metrykę pochodzenia od XVI w., podczas gdy drugi kandydat szczylił się „czystym” pochodzeniem, świadczy o nastrojach społecznych i o tym, co było argumentem w Polsce roku 1990.

Nie roztrząsamy już nawet objawów niedawnego, powojennego „bestialskiego” antysemityzmu polskiego. Wspomnijmy tylko, że niezależnie od prowokacji UB i jej tła w 1946 roku w Kielcach, nie mogło być 10 tysięcy prowokatorów, oblegających z tragicznymi skutkami dom żydowski. A i czystki po Marcu w 1968 roku spotkały się z milczącą (nawet nie zawsze) aprobatą wielu ludzi.

Jest historyczną prawdą udział bardzo licznych Żydów polskich, przybyłych z Armią Czerwoną, w utrwalaniu systemu komunistycznego w Polsce, w organizowaniu UB i kierowaniu nim przez wiele lat. Jest prawdą bestialstwo wielu z nich. Mogło to nawet w pewnym stopniu tłumaczyć źródła powojennego antysemityzmu Polaków, ale trudno uznać to za usprawiedliwienie dla polskiego antysemityzmu w roku 1990.

Na antypolonizm Żydów dowodów jest również wiele. Każdy z nas zapewne odbył chociażby jedną z takich rozmów jak np. jeden z nas (AMK) podczas Expo-86 w Vancouver. „Wy, Polacy, wszyscy jesteście tacy sami, wy pomagaliście wymordować Żydów, cała moja rodzina zginęła przez Polaków”. Oczywiście, to mogło być prawdą, ale takie uogólnienie jest dla nas bardzo bolesne. Były wszakże tysiące Polaków, którzy pomagali Żydom i ratowali ich w czasie okupacji. Wielu z nich przypląciło to życiem swoim i swoich bliskich. Tych Żydzi doceniają, nie tylko przez Drzewka Pamięci w Jerozolimie i medale „Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata”. To uznanie, jednakże, nie zawsze jest tak jednoznaczne i częste jak być powinno, zaś niektóre twierdzenia czołowych polityków izraelskich ranią nas bardzo dotkliwie. Niektóre filmy, jak np.

„Shoah”, dotkliwie przemilczają reakcje ówczesnych Polaków na Holocaust i uogólniają je niesprawiedliwie i krzywdząco.

Było jednak w czasie okupacji także i wielu Polaków, którzy denuncjowali Żydów, szmalcowników, którzy ich szantażowali, a w końcu wydawali Niemcom. Jeszcze liczniejsi Polacy byli po prostu obojętni na los Żydów.

Wrócimy za chwilę do tego zagadnienia, kluczowego dla całego współczesnego problemu polsko-żydowskiego. Tutaj stwierdzimy tylko, że nie jest możliwe skonstruowanie jakiegoś pełnego i prawdziwego obrazu tych strasznych lat, jako że taki obraz tragedii narodu musiałby być sumą milionów obrazów cząstkowych, zbudowanych na podstawie losów i często sprzecznych doświadczeń tych niewielu Żydów, którzy przetrwali (zwykle dzięki pomocy Polaków, choć nie zawsze bezinteresownej), jak i tych niezliczonych, którzy zginęli i zamilkli na zawsze.

Często przeciwstawia się antypolonizm Żydów ich pewnemu pogodzeniu się ze straszliwym, z niczym nieporównywalnym złem, jakie spotkało ich ze strony Niemców. Dlaczego? Jak mogą zdobyć się na to?

Pewnej odpowiedzi na to ważne pytanie może dostarczyć np. Jerzy Giedroyc, który kiedyś powiedział: „przy ogromnym terrorze człowiek czuje się całkowicie bezbronny. Śmierć milionów zaczyna być abstrakcją. Jak powiada Miłosz: człowiek czuje się jak robak pod czołgiem historii. Natomiast gdy się jest kopniętym przez kogoś, kto jest silniejszy, ale nie za bardzo, to odczuwa się to znacznie boleśniej”. I znowu jak powiedział Miłosz: „antysemityzm małostkowy, rzekłbym *petty*, — może zależeć za skórę nie mniej niż zbrodnie, bo jest czymś na co dzień”.

Jest coś zgoła sztychliwego i bezwstydniejszego w tym, że ktoś trzeci — Niemcy — zdołał tak straszliwie zwaśnić dwa narody — Polaków i Żydów, żyjące przez stulecia w koegzystencji i niezłej harmonii obok siebie, na dobre i na złe, w kontekście dwóch religii i dwóch różnych, aczkolwiek przenikających się kultur. Ale nie jesteśmy pewni, czy zwalając całą winę na Niemców, mogą Polacy pozostać beztroscy.

Jest jeszcze inny aspekt powojennych emocji niemiecko-żydowskich. Chociaż można twierdzić, że symbolika „kajania” się Wałęsy w Knesecie była być może silniejsza niż symbolika ukłęknięcia Brandta przed pomnikiem Getta Warszawskiego w 1970 r., to w Niemczech (zachodnich) nastąpiło pewne przeoranie świadomości społeczeństwa wobec Żydów, szczególnie wśród młodzieży. Przypomnijmy tylko liczne pokutne grupy młodzieży niemieckiej w Oświęcimiu. Mogli przecież owi młodzi ludzie powiedzieć: „to nie my zrobiliśmy”. Natomiast co najmniej dwóm pokoleniom młodych Polaków niestety nikt nie przedstawił w pełni tragedii żydowskiej, włączając polski jej aspekt.



Rozpisał się o polskim antysemityzmie i żydowskim antypolonizmie aby pokazać, iż obraz wzajemnej interakcji polsko-żydowskiej w kilku ostatnich dziesięcioleciach nie jest ani biały ani czarny — jest on szary. O stopień tej szarości możemy się spierać. Rzeczywiście, najłatwiej byłoby powiedzieć: „wy Żydzi także zawiniлиście wobec nas, więc nie macie prawa nic nam zarzucać”.

Przywiódło nas to także do problemu odpowiedzialności zbiorowej. Zachodzi tutaj olbrzymie nieporozumienie. Nie może być mowy o odpowiedzialności zbiorowej, bowiem takiej nie można rozważać i zaakceptować w kategoriach moralnych i cywilizacyjnych.

W szlachetnym akcie, powiedzmy, ekspiacji Wałęsy, nie chodziło wszakże o akceptację jakiejś odpowiedzialności zbiorowej Polaków (jak to wielu usiłuje postrzegać), ale o przyzwoite przyznanie się do niebłahego i niezupełnie odosobnionego zła Polaków wobec Żydów. Przyznanie się do tego zła niezależnie od tego, że było i zło (i to również niebagatelne) wśród Żydów wobec Polaków, szczególnie po wojnie. Możemy spierać się o to, że to byli głównie nikczemni Polacy, którzy szmalcowali podczas gdy UB organizowali i prowadzili bynajmniej nie prostacky Żydzi, a to UB (choć w ogromnej mierze już bezpośrednio polskimi rękami) prowadziło ludobójstwo wobec Polaków. To wszystko nie zwalnia jednakże od rozważania „polskiego zła” w kategoriach moralnych i od, w pewnym sensie, zbiorowego aktu skrucy.

Niestety, szmalcowników i denuncjatorów bynajmniej nie było tak niewielu. Sam (AMK) znam historię powszechnie szanowanego lekarza-Żyda i jego rodziny z Wadowic, wydanego Niemcom przez młodą dziewczynę od ogrodnika. Sądzimy, że bardzo wielu zna podobne historie. Istnieją liczne publikacje na ten temat. Znane są także wspomnienia oficerów Gestapo, „doceniające” wkład Polaków do ich działalności, od „wielkich” polskich konfidentów, jak Świerczewski i Kaczorowscy (którzy wydali gen. Grota-Roweckiego) — do szmalcowników czy nawet bezinteresownych tropicieli Żydów. Prawdą jest, że część konfidentów i szmalcowników padła z wyroku Polski Podziemnej, ale nie wszystkich ukarano. Zresztą tutaj nie rozpatrujemy problemu kary. Rozpatrujemy problem zbrodni. Byli w końcu i tacy, zgoda że męty, (szczególnie w małych miasteczkach) którzy w momencie wywózki Żydów do gett rozpoczynali rabunek ich mienia.

Oczywiście nikt z nas nie ma z tymi złoczyńcami nic wspólnego, poza tym że byli oni także Polakami. A to jest już bardzo wiele. I dlatego powinno być nam przykro.

Zacytujmy jeszcze List Pastorski Episkopatu Polski z 20 stycznia 1991 roku: „Choćby tylko jeden chrześcijanin mógł po-

móc, a nie podał pomocnej ręki Żydowi w czasie zagrożenia, lub przyczynił się do jego śmierci, każe to prosić nasze Siostry i Braci Żydów o przebaczenie...”

Będzie również właściwym przypomnieć w tym miejscu, że w 1965 r. Episkopat Polski wydał orędzie do biskupów niemieckich, w którym padły pamiętne słowa: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Te słowa biskupów wywołały bardzo mieszane reakcje w społeczeństwie polskim, z których najczęstsza brzmiała: „A co to mianowicie mają nam Niemcy przebaczać?”.

Okazuje się, że jednak były jakieś nieprawości Polaków wobec Niemców — minimalne oczywiście wobec ogromu przewinień Niemców wobec Polaków. Czyli biskupi polscy zdawali sobie sprawę, że było o co prosić ich niemieckich braci o przebaczenie. Wymieńmy tylko np. obóz koncentracyjny dla ludności niemieckiej w Łambinowicach lub gwałty dokonywane na ludności niemieckiej wysiedlanej ze swych rodzinnych stron.

Analogia między słowami biskupów polskich a wypowiedzią Prezydenta Wałęsy nasuwa się więc wyraźnie.

Wspomnieliśmy już wcześniej obojętność Polaków wobec zagłady Żydów dokonującej się na ich oczach. Tak, jak nie jest prawdą, że większość Polaków denuncjowała Żydów, tak nie jest prawdą, że większość im pomagała. Większość Polaków była po prostu obojętna. I na tle tej obojętności dochodziło do czynów zarówno heroicznych, jak i podłych.

Dla większości Polaków, chociaż, jak pisze Andrzej Szcypiorski („Początek”), „wiedzieli, że dzieje się straszna niesprawiedliwość, że Żydzi cierpią, umierają, giną, a to była kara za ich grzechy ponad wyobrażenia ludzkie”, tragedia Żydów pozostawała poza ich codziennymi troskami i walką o przetrwanie pod okupacją. Nie jest zupełnie oczywiste, że tak być musiało, chociaż z drugiej strony wielką niesprawiedliwością jest zarzut, że „Polacy zębami nie rwali szyn”.

Czy od tej obojętności daleko do „grzechu zaniechania” — nie nam tutaj dochodzić. Zagłada Żydów była bowiem tragedią zbyt wielką i nastąpiła w zbyt złożonych i wieloznacznych okolicznościach. Trzeba by znaleźć się bezpośrednio w sytuacji ówczesnych Polaków — sytuacji śmiertelnego zagrożenia. Ale jeżeli nawet jest daleko, to jest owa obojętność czymś, co także należy włączyć do rachunku skrucy.

Nie możemy oprzeć się zacytowaniu tutaj fragmentu wiersza Czesława Miłosza z roku 1943, „Campo di Fiori”:



Wspomniałem Campo di Fiori  
 W Warszawie przy karuzeli  
 W pogodny wieczór wiosenny  
 Przy dźwiękach skocznej muzyki  
 Salwy za murem getta  
 Głuszyła skoczna melodia  
 I wlatywały pary  
 Wysoko w pogodne niebo.  
 [...]

I ci ginący, samotni,  
 Już zapomnieni od świata,  
 Język ich stał się nam obcy  
 Jak język dawnej planety.

Żydzi (prawie wszyscy) uważają obecnie, że nie uzyskali od Polaków takiej pomocy, na którą powinni byli liczyć; Polacy (prawie wszyscy) — podkreślają pomoc, jakiej właśnie udzielili Żydom — w miarę swoich skromnych możliwości i w obliczu śmiertelnego ryzyka.

Jednakże nieudzielenie pomocy, obojętnie czy leżało ono w granicach możliwości, czy poza nimi, zwykle powoduje (u jednostek wrażliwych) silne uczucie niepokoju moralnego, nawet jeśli podświadomie. W pewien naturalny sposób rodzi się wtedy postawa obronna, polegająca na twierdzeniu, że właśnie udzieliło się pomocy, lub na przeczeniu, iż jakakolwiek pomoc była możliwa, albo w ogóle na kierowaniu uwagi na zupełnie inne tematy. Wszystkie te trzy postawy spotyka się często wśród Polaków. Postawy takie zostały chyba wręcz w wielu z nas ugruntowane przez wojenne pokolenie, przy czym łatwo nie dostrzegamy ich przyczyn. Tym można tłumaczyć reakcje wielu ludzi dobrej woli, wypowiadających się na te tematy.

Być może wątpliwości moralne mają raczej nieliczni, a ich głosem był esej Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto”, który ukazał się w *Tygodniku Powszechnym* nr 2/1987. Jest to głos kogoś, kto ma wątpliwości moralne i próbuje się z nich rozliczyć metodą inną niż przemilczanie czy samo-ułuda. Błoński wyszedł z innego wiersza Miłosza, także z 1943 roku, *Biedny chrześcijanin patrzy na getto*, z którego znowu zacytujemy końcowy fragment:

Boję się, tak się boję strażnika-kreta,  
 jego powieka olbrzymia jak u patriarchy,  
 Który siadywał dużo w blasku świece  
 Czytając wielką księgę gatunku.

Cóż powiem mu, ja, Żyd Nowego Testamentu,  
 Czekający od dwóch tysięcy lat na powrót Jezusa?  
 Moje rozbite ciało wyda mnie jego spojrzeniu  
 I policzy mnie między pomocników śmierci:  
 Nieobrzezanych.

Przytoczmy jeszcze Jerzego Turowicza:

„Skoro na naszej ziemi, na naszych oczach, wymordowano parę milionów niewinnych i bezbronnych ludzi, w tym kobiety, starców i niemowlęta, ludzi, którzy byli naszymi współobywatelami, którzy żyli koło nas, a my byliśmy tego bezradnymi świadkami i na ogół nie mogliśmy im pomóc ani uratować, to jest to fakt tak straszliwy, że nie możemy przechodzić nad nim do porządku, że nie wolno nam nie stawiać sobie pytania, czy nie ma w tym dla naszego sumienia jakiegoś wyzwania”.

Czy mimo wszystko powinniśmy robić ten zbiorowy, „narodowy” rachunek sumienia i dać wyraz wynikającej z niego skrusze? Tak, powinniśmy. Istotę tego dobrze pokazał Ryszard Legutko, pisząc:

„Jakie może być realne oddziaływanie wydarzeń sprzed dziesięcioleci na to, co dzieje się obecnie? Po co angażować się uczuciowo w spory, które powinny być przedmiotem beznamiętnych analiz historyków? Dlaczego ktoś z nas ma się czuć dotknięty faktem, że istnieli kiedyś Polacy-szmalcownicy, bądź, że inni Polacy zakładali getto ławkowe? Przecież nie istnieje odpowiedzialność zbiorowa.

Dokonanie rachunku sumienia wobec przeszłości wydaje się jednak uprawnione i nie należy jego potrzeby kwestionować. Nie jest bowiem rzeczą obojętną, jaki potencjał tkwi w narodowym dziedzictwie i w jakich praktycznych formach, nawet marginalnych, znajdował on ujście”.

Rozbudujmy to ostatnie twierdzenie dodając, że taki rachunek sumienia dopomoże w zrozumieniu ludzkich i polskich wartości i motywów postępowania, dopomoże, poprzez ukazanie zła, w pogłębieniu naszej wrażliwości moralnej i zapobiegnie powtórzeniu się zła. Żaden naród nie ucierpiał na dłuższą metę od własnego, nawet pełnego zakłopotania, *soul searching*. Zaciemnianie faktów, po obu zresztą stronach, nie rozwiąże niczego i nie przyczyni się do wyrugowania dwóch bolesnych zjawisk: polskiego antysemityzmu i żydowskiego antypolonizmu.

Polska bez Żydów. Zostali oni doszczętnie wymazani z krajobrazu polskiego. Zginęli w Holocaulście zgotowanym przez pie-



kielną ideologię. Zginęli, jak żadna inna nacja, tylko i wyłącznie dlatego, że byli Żydami. Nieomal tysiącletnia historia Żydów w Polsce skończyła się i nie odżyje. Polacy bez Żydów są już innymi Polakami, a i Żydzi bez Polaków są już innymi Żydami. Napisał kiedyś Zew Szeps:

*Zaprzestań, zaprzestań,  
nie roztaczaj obrazów.  
Już dawno, jak to się stało,  
już dawno, jak to się działo  
w mrocznej, głębokiej dolinie.  
Było to dawno temu,  
w jakiejś krainie,  
bardzo dawno temu —  
kiedyś w Polsce.*

Pięćdziesiąt lat temu tamta Polska poszła z dymem krematoriów na polskiej ziemi, na oczach w większości bezsilnych, ale i bezwolnych Polaków. I o tej Polsce, która zniknęła, nie powinniśmy zapominać, zarówno my Polacy jak i Żydzi. I powinniśmy, Polacy i Żydzi, wspominać ją bez wzajemnych oskarżeń.

Być może, kiedy już my Polacy odrzucimy przekonanie, że skoro sami także byliśmy ofiarami, to jesteśmy zupełnie niewinni, kiedy już wyznamy z żalem, że zło wobec Żydów było i wśród nas, a nawet jeszcze w nas drzemie w postaci antysemityzmu, kiedy już stwierdzimy, że nie jesteśmy zupełnie bez winy, to wtedy i tylko wtedy będziemy mieli prawo oczekiwać podobnej reakcji ze strony Żydów, mających, poprzez fakt swojej zagłady, zagłady zgotowanej im na polskiej ziemi przez Niemców tylko dlatego, że byli Żydami, prawo do olbrzymiego rozgoryczenia. My byliśmy świadkami tej największej w dziejach ludzkości zbrodni i równocześnie sami staliśmy się w znacznym stopniu ofiarami hitleryzmu. Nie można więc teraz spierać się o to, kto powinien uczynić pierwszy krok, wyliczać okoliczności łagodzące, jakkolwiek słuszne mogą one być. Pokora jest dowodem siły ducha, a nie jego słabości.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej uczynił takie wyznanie w pokorze. Pochylił głowę. Symbolicznie w imieniu wszystkich Polaków. Dokonał tego, co należało zrobić ze względów zarówno moralnych jak i historycznych. Przyjmijmy to z ulgą. Należy Mu się za to uznanie i szacunek.

Czerwiec 1991

*Andrzej M. KOBOS i Jerzy KRZYSZEK*

**U.L.B.**

## Po dwóch latach

W lecie 1989 roku odwiedziłem Litwę po raz pierwszy po czterdziestu pięciu latach i napisałem wówczas sprawozdanie zatytułowane „Lithuania Revisited” (*Kultura*, kwiecień 1990 r.). Dużo wody upłynęło w Wilii od tego czasu: ogłoszenie niepodległości (11 marca 1990 r.), ofiary poniesione 13 stycznia 1991 w czasie ataku wojsk sowieckich na stację telewizji wileńskiej, morderstwa na posterunku granicznym (sierpień 1991) i wreszcie uznanie niepodległości państwa litewskiego przez większość państw zachodnich i przez Związek Sowiecki.

Do jakiego stopnia wypadki potoczyły się prędzej niż się spodziewano i niż ktokolwiek mógł przypuszczać, może świadczyć moja rozmowa z prezydentem Vytautasem Landsbergisem w czerwcu bieżącego roku, w czasie jego wizyty w Brukseli. Spytałem go wówczas, mówiąc, że mamy z żoną litewskie paszporty zagraniczne, wydane przez zawsze istniejące Litewskie Poselstwo przy Watykanie, kiedy myślisz, że będziemy mogli z tymi paszportami pojechać na Litwę? Prezydent odpowiedział mi wówczas, że na „przyszły rok to chyba jeszcze nie, ale za dwa lata na pewno tak”. W trzy miesiące później, w dniu 24 września, przekroczyliśmy granicę Litwy na Porubanku w Wilnie, legitymując się właśnie tymi paszportami.

Wtorek, 24 września 1991

Lecimy Tupolewem 134 Aeroflotu z Warszawy do Wilna. Najpierw awaria. Po dwugodzinnym spóźnieniu wylatujemy. Po 40 minutach lotu lądujemy w Wilnie, gdzie jest piękny jesienny dzień, 15°C. Długa kolejka po wizy litewskie, które wydają na lotnisku. My omijamy kolejkę i podajemy nasze paszporty wprost urzędnikom kontroli granicznej. Siedzi ich dwóch w bud-



ce: jeden Rosjanin, który sprawdza obywateli ZSSR (jako że jeszcze nie ma granicy między Litwą i Związkiem), a drugi Litwin, który sprawdza osoby przyjeżdżające do Litwy. Ten ostatni przerzuca książeczki naszych paszportów i pyta „a gdzie wiza?”. Okazuje się, że jeszcze takich paszportów nie widział, ale zgadza się ze mną, że wiz nie potrzebujemy i stawia stempel (jeszcze sowiecki „wjazd”). Długie czekanie na bagaż przypomina mi raczej Kennedy Airport w Nowym Jorku. Duża grupa Litwinów ze Stanów głośno utyskuje. Przed nami, w kolejce do kontroli celnej, hrabia T. z Landwarowa ze swą amerykańską małżonką, która wygląda troszkę przerażona tym wszystkim. Nic nie sprawdzają.

Wrażenia tak jak w Polsce przed laty: każdego przyjeżdżającego spotyka przynajmniej pięć osób, każda z kwiatkiem. Nas spotykają HP z Editą, jak również Andrius T. z żoną. Poznaje i witam się z deputowanym, panem Cz. O., i umawiam się z nim na spotkanie.

Jedziemy do hotelu Neringa na ulicy Gedymina (dawniej Mickiewicza), położonego mniej więcej w pół drogi między Placem Lukiskim i hotelem Georga (dziś „Vilnius”), po drugiej stronie ulicy. Hotel wygodny, nieduży, gmach przedwojenny, modernizowany przed 16 laty. Korytarze szerokie, sufity wysokie.

Po zarejestrowaniu się i rozpakowaniu bagaży jedziemy do HP na kolację. Jesteśmy już głodni, jako że od pierwszego śniadania nic nie jedliśmy, a już jest blisko ósma wieczorem. U pp. HP, litewskim zwyczajem, stół zastawiony jak na Wielkanoc: przede wszystkim świetny czarny litewski chleb, boczek, ryba wędzona, grzyby marynowane itp. Do stołu siada 12 osób, gdyż poza nami są goście z Kanady, Andrius z żoną no i rodzina gospodarza. Kiedy już myślimy, że to koniec jedzenia, wjeżdża dobra gorąca kartoflanka z mięsem — zupa, którą możemy jedynie już tylko spróbować. Na deser jest *Baumkuchen* (sękacz) przywieziony z Kielm ze Żmudzi.

Środa, 25 września

Piękny, słoneczny, jesienny dzień. Śniadanie w hotelu: kawa, herbata, chleb, masło, marmelada, jajka sadzone. Za wszystko razem płacimy 6 i pół rubla, czyli po oficjalnej wymianie około 17 centów USA. Czarnego rynku nie ma — za dolara dostaje się oficjalnie przeszło 40 rubli. Jak się porówna to z przeciętną pensją około 400 rubli miesięcznie, przy cenie cukru 5 rubli za kilo lub np. uczesania u fryzjera 8 rubli, obiadu 6 rubli etc., do tego ostrą inflację, to widać, jak jest ludziom ciężko.

O 11-tej przyjeżdża do nas HP. Mamy załatwione przepustki na sesję w Parlamencie. Gmach Parlamentu znajduje się na samym końcu ulicy Gedymina, przed mostem na Zwierzyniec, po tej samej stronie co kościół św. Jakuba. Przejedźdżamy przez szereg zasieków przeciwczołgowych, wory z piaskiem wszędzie, i zewnątrz i wewnątrz budynku, na klatkach schodowych. Nawet na dachach zwoje drutu kolczastego przeciwko ewentualnym desantom z helikopterów. Wszędzie młodzi chłopcy w mundurach bez odznak, z gołymi głowami, ale uzbrojeni już w ręczne karabinki automatyczne. Mówią nam, że w krytycznych dniach stycznia i sierpnia przeważnie były to jeszcze strzelby myśliwskie. Teraz oddano Litwinom część arsenału. Te środki ostrożności pozostaną chyba tak długo, jak długo wojska sowieckie będą na terenie Litwy.

W holu Parlamentu samotny poster z wizerunkiem Jana Pawła II i napisem *Dievas su mumis* (Bóg z nami). Na sesji poświęconej sprawom zagranicznym właśnie przemawia Saudargas, minister Spraw Zagranicznych. Robi przegląd rozwijających się stosunków dyplomatycznych, zaznaczając, że w pierwszym rządzie będzie Litwie zależało na przyjęciu do międzynarodowych organizacji, jak UNESCO itp. Również na unormowaniu stosunków ze Związkiem sowieckim. Przemawia też Landsbergis o konieczności zajęcia pozycji w sprawie poszczególnych Republik Związkowych jak Białoruś, Ukraina, Gruzja itd. Dużą część przemówienia poświęca Polsce, mówiąc, że destrukcyjne siły chciałyby, żeby nasze stosunki z Polską były równie złe jak w 1919 roku, lecz wyraża nadzieję, że zdrowy rozsądek zwycięży. Przemawia również młody Justas Paleckis, syn pierwszego komunistycznego prezydenta Litwy, ostrzega posłów, by tak ciężko wywalczonej niepodległości spod wschodniego sąsiada nie zaprzędać w jeszcze gorsze wpływy Zachodniej Europy, czy też Wspólnocie Europejskiej.

Następuje przerwa. W kularach witam się z dr. Egidijusem Kłumbysem, prezesem Litewskiej Partii Chrześcijańskiej Demokracji i wiceprzewodniczącym Komisji Spraw Zagranicznych. Również przedstawiają mi pana Smetonę, bratanka ostatniego prezydenta Litwy, dziś prezesa Partii Narodowców. Zwiedzamy salę Rady Ministrów, gdzie się również odbywają konferencje prasowe, jak również gabinet prezydenta Landsbergisa, znany dobrze z reportaży zachodniej telewizji. Wychodząc, na schodach spotykamy się z panem Landsbergisem. Poznaje mnie, przedstawiam mu Renię i przypominam rozmowę sprzed trzech miesięcy. Śmieje się.

Z parlamentu jedziemy do Muzeum Państwa Litewskiego. Ogromny gmach, po drugiej stronie Wilii, do niedawna Muzeum Rewolucji, w czerwcu przeistoczone na Muzeum Litwy.



Nasz przyjaciel jest tu dyrektorem. Na parterze jest wystawa deportacji i prześladowań Litwinów. Są spisy, mapy, zdjęcia. Znajduję gablotkę z Cytowaniami i fotografiami nie tylko moich rodziców, ale i swoją. Renia śmieje się i mówi, że mnie już też do muzeum jako eksponat wpakowano. Spisy robione w czasie wojny pod okupacją niemiecką są po niemiecku. Przy nazwisku rodziców napisane: *Nationalität: Polnische; Beruf: Bauer* — czyli chłop.

Na pierwszym piętrze tego muzeum są wspaniałe zbiory sztuki ludowej, nigdzie indziej w Europie nie spotykanej: kolekcje krzyży i kapliczek przydrożnych ze statuetkami tradycyjnego, zamysłonego Chrystusa (*Smutkelis*), lub św. Jerzego na koniu, zabijającego smoka. Są tam krzyże z kutego żelaza, jak również kapliczki rzeźbione z jednego pnia dębowego.

Na obiad jesteśmy zaproszeni do pierwszej prywatnej restauracji w Wilnie przy ulicy Szklanej, która nazywa się „Szkła” (*Stiklai*). Stary dom odnowiony, kelnerzy — młodzi chłopcy we fraku. Dużo potraw z grzybami, jako, że to teraz sezon, ceny — na nasze przeliczenia — śmiesznie niskie. Dobre piwo z Birż. Na podstawkach tekturowych z Pogonią i herbami Radziwiłłów i Tyszkiewiczów napisane, że piwo to jest robione „domowym sposobem” w browarze założonym przez „Grafa J. Tyszkiewicza w roku 1858, dziś kołchoz Wolna Ziemia”. Mówią mi, że głównym właścicielem tego nowego lokalu jest jakiś muzyk, skrzypek.

Po obiedzie jedziemy na Antokol. Tam zwiedzamy przepiękny kościół św. Piotra i Pawła, stawiany przez Paca i jedziemy dalej na cmentarz Antokolski (dawniej chyba cmentarz wojskowy na Antokolu), gdzie znajdują się groby ofiar ataku sowieckiego na wieżę telewizyjną 13 stycznia 1991 r. i ofiar zamordowanych na punkcie przejścia granicznego w Medininkach w sierpniu br. Wszystkie groby zasłane kwiatami, otoczone palącymi się świeczkami. Najwięcej kwiatów na grobie dziewczyny zgniecionej przez czołg sowiecki w styczniu. Cisza na cmentarzu i zapach spadających jesiennych liści.

Czwartek, 26 września

Z rana idziemy piechotą na spacer. Ulica Gedymina do Placu Orzeszkowej (dziś Plac Samorządu). Ładny park z drzewami i ławkami. Pełno ludzi i młodych i starych. Siedzą, czytają gazety, jedzą lody, które są sprzedawane w kioskach. W dawnym gmachu gimnazjum Orzeszkowej dziś samorząd miasta Wilna. Na środku placu nadal jeszcze stoi pomnik sowieckiego generała Czerniachowskiego. W głębi nowozbudowany pałac,

gdzie mieścił się do niedawna sekretariat partii. Podobno w bliższej przyszłości ma się tam przenieść Rada Ministrów. Kościół św. Jerzego nadal jest składem książek. Wejścia doń od strony placu nie ma. Z zewnątrz jest ładnie odnowiony. Mówią, że odnowią go wewnątrz i zwrócą Kościołowi. Po drugiej stronie ulicy, na rogu Jagiellońskiej (*Jogailos*) dawny hotel Georga. Z zewnątrz odnowiony, ale mówią mi, że wewnątrz dużo mu brakuje do dawnej „świątyni”. Poza tym tam się głównie zatrzymują „handlarze” ze wschodu i ma to być niezbyt bezpieczne miejsce. Na ogół ulice są czyste, ludzie są ubrani porządnie, wystarczy jednak spojrzeć na buty, by zdać sobie sprawę z pewnych trudności zaopatrzenia. Mimo ciepłych dni, wszystkie kobiety chodzą w ponczochach, których na rynku nie ma i nawet w tzw. dolarowych sklepach trudno je dostać.

Z jedzeniem nie jest źle: produkty mleczne jak masło, sery, mleko oraz jajka zawsze można dostać. Mięso nie jest na kartki, ale dobry kawałek bez kości jest trudny do zdobycia. Przetwory mięsne (które pojawiały się na stole gdzie byśmy nie byli) — tylko „po znajomości”. Kartki są na cukier (1 kg miesięcznie), sól (też 1 kg) i mąkę (2 kg miesięcznie).

Po południu jedziemy z Andriusem i Gintare na Rossę. Piękny, jesienny dzień. Robię zdjęcia i szukam grobu dziadka. Znajduję go w spisie pod nr. 75 i adnotację po litewsku, że był lekarzem, chirurgiem, miał własną klinikę i pierwszy na Litwie zakupił aparat Roentgena. Zaznaczone, że tablica z grobu zginęła.

Wracając z Rossy zatrzymujemy się w Ostrej Bramie i jedziemy do Trok. Po Farze Witoldowej oprowadza nas ksiądz proboszcz, który właśnie wrócił z Münster w Niemczech, wraz z restauratorem, który już od kilku lat pracuje nad odnawianiem kościoła. Główny ołtarz jest już skończony, jak również niektóre z bocznych ołtarzy. Do kaplicy Romerowskiej jeszcze nie doszedł, ale będzie ona również odnawiana. Proboszcz opowiada o swojej podróży do Niemiec: otrzymał od Episkopatu w Münster obietnicę pomocy w wysokości 10.000 DM na odnowienie plebanii i domów należących do kościoła. Jest to dziś znaczna kwota (ćwierć miliona rubli). Problemem jest, że w domach parafialnych są dziś osiedlone rodziny i nie ma jak ich przekwaterować. Renia jest przerażona kiedy tłumaczę proboszczowi, że Michał Romer tam pochowany był wielkim mistrzem Łoży Gorliwego Litwina.

Wyjeżdżając zatrzymujemy się w karaimskiej restauracji: są tam tylko dwa dania: pierożki z bardzo tłustym mięsem (powinno być baranina, jako że Karaimowie świniny nie jedzą, ale „kto ich tam wie”, jak mówią nasi przyjaciele). Jest również gorąca kartoflanka. Karaimów zostało w Trokach zaledwie 180-ciu.



Wieczorem jesteśmy zaproszeni na operę „Grażyna” według poematu Mickiewicza, muzyka z lat trzydziestych Jurgisa Karnaviciusa. Gmach opery wspaniały, zbudowany może 20 lat temu, mówią nam, że ma wiele technicznych niedociągnięć, ale tego się nie widzi. Scenografia, dekoracje itp. zupełnie wagnerowskie Nibelungen. Krzyżacy z mieczami, pogańscy wajdelokci, palenie Grażyny na stosie, Litauer rzucający się w ogień...

#### Piątek 27 września

W naszym hotelu mamy apartament: pokój sypialny, salon z telewizorem (nie działającym), łazienkę z wanną i gorącą wodą oraz „buduarek” czyli ubieralnię. Gorzej jest, że jak w wielu krajach, gdzie miasta są ogrzewane z centralnych ciepłowni, ogrzewania nie włączają przed 15 października. Często jest więc cieplej na zewnątrz niż w naszym pokoju. Ale nie ma co się skarżyć — za dwa tygodnie zapłaciłem mniej niż za jedną noc w Warszawie.

Również winda ma swoje lokalne zwyczaje: pamiętam windy z Jerozolimy, które na sabat zatrzymywały się na każdym piętrze, by zaoszczędzić wysiłku klientowi. W naszym hotelu winda przestała działać na „przerwę obiadową”, to jest od 3 p.m. do 5.30 p.m.

Zajężdżamy do sklepu dolarowego, by się zaopatrzyć w prezenty. Wielki popyt mają tu pończochy — cóż, kiedy ich nie ma. Wobec tego kupujemy kawę, whisky i różne głupstwa.

Dwie historyczki sztuki, Ruta J. i Jolanta S., oprowadzają nas po galerii obrazów mieszczącej się w Starym Ratuszu. Jest tam obecnie wystawa Eidukiewicza i z żalem stwierdzam, że z braku miejsca czasowo zdjęto wspaniałe zbiory obrazów Ruszczyca.

Przechodzimy przez dziedziniec Uniwersytetu. Kościół św. Jana jest już prawie cały odnowiony, ale nadal jeszcze jest tam galeria obrazów, głównie byłych rektorów Uniwersytetu Wileńskiego. Mówią nam, że już tej jesieni ma ten kościół być oddany na kościół uniwersytecki.

Na obiad jesteśmy zaproszeni do Janiny S. Jest ona dentystką i pierwsza otworzyła na Litwie prywatny gabinet dentystryczny. Pokazuje go nam z dumą, ma szybką turbinę do wiercenia jak również większość materiałów zachodnich. Jednorazowe igły do zastrzyków produkcji sowieckiej. Jej syn jest technikiem dentystrycznym, pracują zespołowo.

#### Sobota, 28 września

Z rana wyjeżdżamy autostradą przez Kowno dalej na Żmudź. O kilka kilometrów od Wilna, w miejscowości Gari-

niai, jest olbrzymi targ. Można tam podobno kupić wszystko, ale nie „wprowadzonym” lepiej się tam nie zapuszczać. Nawet policja trzyma się z dala. Są tam gangi, które najspokojniej obrabowują tych, którzy się tam zapuścili, nie znając zwyczajów. W pewnym znaczeniu jest to powrót do prastarych czasów wymiany handlowej między Europą i Azją. Z jednej strony różni Kirgizi, Uzbeki, Turkmeni przywożą swoje produkty, z drugiej Litwini, Polacy sprzedają im towary Zachodu.

Dalej w Grygizkach jeszcze przedwojenna fabryka papieru. Dziś fabrykują tam głównie kartony i papier toaletowy (którego zawsze brak). Od czasu mojej wizyty przed dwoma laty spostrzegam pewne zmiany. Nie tylko już w Wilnie znikły wszystkie napisy z nazwami ulic w języku rosyjskim. Na szosach idących w kierunku zachodnim również wszystkie napisy po rosyjsku są zamalowane. (Jadąc na wschód, nadal je pozostawiono, żeby wojska sowieckie nie potrzebowały się pytać kędy droga do domu).

Przy drodze widać ludzi kopiących kartofle, a tu i ówdzie buraki cukrowe. W tym zakresie technika niewiele się zmieniła. Nowy element, że gdzieś indziej widzi się konie, których dwa lata temu nie było. Widocznie czteromiesięczna blokada zesłoroczna nauczyła przezornych Litwinów, że nie można na sto procent polegać na traktorach jako sile roboczej. Podobno koń dziś kosztuje na Litwie około 6.000 rubli. Również, poza wielkimi gospodarstwami państwowymi, czy też kołchozami, dziś widzi się pojedyncze krowy uwiązane na sznurze. W ciągu ostatnich dwóch lat pojawiło się wiele nowych przydrożnych krzyży, przeważnie dobrze rzeźbionych w drzewie. Nowych kościołów nie widziałem, ale wiele starych jest odnawianych.

W Żyżmorach jest jedyna stacja benzynowa między Kownem i Wilnem. W przeciwieństwie do Wilna, tutaj kolejek nie ma. W Wilnie, w czasie naszego pobytu, można było stać do sześciu godzin w kolejce. Benzyna kosztuje pół rubla za litr, co w przeliczeniu wynosi niecałe półtora centa US.

Z Kowna jedziemy przez Rosienie i Lale do Kielm. W Lalach stary kościółek drewniany, jeszcze z początku XVI wieku. Charakterystyczna podłoga ze ściętych pni. W Kielmach zajężdżamy do Urzędu Naczelnika Powiatu. Jest nim obecnie pan Pikturna, który gościł mnie przed dwoma laty. Był wówczas redaktorem lokalnego pisma *Bičiulis* („Przyjaciół”). Teraz w wolnych wyborach został obrany naczelnikiem powiatu. Pytam go, czy jest zadowolony ze zmiany. Mówi mi, że teraz ma więcej roboty i trudniejszą pracę, ale ciekawszą. Naczelnicy powiatów obecnie podlegają bezpośrednio ministrowi Spraw Wewnętrznych. Pan Pikturna wyciąga z szafy książkę wydaną w 1912 roku w Warszawie nakładem rodziny: o rodzinie Grużewskich i



historia Kielm i Zboru kalwińskiego. Biały kruki.

W Cytowianach kolacja u państwa T. Nocujemy obok, w ładnej, jednorodzinnej willi, własności doktora weterynarii i jego żony, dentystki. Zbudowali tę willę sami własnym przemysłem, ale zajęło im to około 10 lat. Jeszcze czeka mnie jedna niespodzianka: pan T. wybudował obok swego domu łaźnię (*pirtis*): podobna do fińskiej sauny, różgi brzozone moczone w zimnej wodzie dla wzbudzenia krążenia krwi...

### Niedziela, 29 września

Zmiana czasu. Żeby nie tracić światła dziennego, decydujemy jeszcze nie przestawiać zegarków.

Przechodzimy najpierw przez dawny klasztor Bernardyński, bardzo ładnie odnowiony kilka lat temu. Potem przez Pogryżów jedziemy do dawnego dworu Cytowiańskiego. Tutaj wielką stodołę już rozebrano i stary dąb stoi samotnie. Trochę liści już spadło i łatwiej jest przejść starą aleją kasztanową. Na miejscu dawnego krzyża wzniesiono już ładną kapliczkę, wyrzeźbioną z potężnego dębu z napisem, że „tu mieszkała i tworzyła od 14 czerwca 1941 roku artystka Zofia Romerowa”. Obchodzimy miejsca, gdzie musiały być fundamenty dworu, niedużo z tego zostało. Idziemy aż do kolei żelaznej, po drodze w ogrodzie zbierając antonówki. Stare topole zostały wycięte, ale poza tym większość drzew jest nietkniętych.

Zatrzymujemy się w miasteczku u państwa D., gdzie Renia jest wystawiona na żelazną próbę jedzenia „cepelinów” (niezupełnie prawdziwych, gdyż wewnątrz wypełnionych twarogiem).

Wracamy do Kowna piękną drogą nadniemeńską. Mijamy najpierw zamek Giełgudowski, wzniesiony ongiś w XIV wieku przez Krzyżaków, a zwany tak później od nazwiska znakomitej rodziny litewskiej Giełgudów, którzy tam zamieszkiwali aż do połowy zeszłego stulecia. Zamek jest dziś odnawiany. Dalej, w górę rzeki, mijamy zamek Raudań (Raudone) również pierwotnie wzniesiony w XIV wieku przez Krzyżaków. W roku 1339, przy szturmie tego zamku, Gedymin był śmiertelnie ranny. Zamek później zburzono, odbudowany został dopiero za czasów Zygmunta Augusta przez Krzypina Kirszensteina, wielkiego kupca lasów litewskich, któremu król polski te posiadłości nadał prawem dziedzicznym. Jego to tarcza herbowa do dziś dnia znajduje się nad głównym wejściem do zamku. W XIX wieku zamek należał do rodziny faworyta carycy, hrabiego Zubowa, którego prawnuczka wyszła za mąż za ostatniego właściciela, Portugalczyka, pana Feria e Castro. W okresie międzywojennym był już własnością państwa litewskiego. Dziś mieści się tam szkoła i pałac jest nawet niezłe utrzymany.

Z drugiej strony Niemna, od południa, znajduje się stary dworek Iłgów. Od 1640 roku gniazdo rodziny Hryncewiczów. Ostatnią właścicielką Iłgowa była Anna Młynarska z domu Hryncewicz, żona Emila Młynarskiego i teściowa Artura Rubinsteina. Dziś dwór ten ma być restaurowany wspólnym kosztem i staraniami Litewskiej Fundacji Kulturalnej i Polskiej Fundacji Kulturalnej.

Wreszcie ostatnia piękna rezydencja przy ujściu Niewiaży do Niemna, Czerwony Dwór. Częściowo zniszczony w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej, zawsze pieczołowicie odbudowywany. Wprawdzie nie ma tam już słynnych zbiorów i boazerii z czarnego dębu, ale dwór czy pałac w którym mieści się szkoła rolnicza, oranżeria i budynki gospodarcze są w dobrym stanie. Ostatnim właścicielem był tutaj Benedykt Tyszkiewicz.

Wracamy do Kowna i nocujemy u rodziców naszego przyjaciela.

Prawie wszyscy Litwini i Polacy, u których byliśmy, mają działki miejskie, na których uprawiają dosłownie wszystko: sałatę, ogórki, rzodkiewki, kapustę, drzewa owocowe, maliny, porzeczki, agrest etc. Uniezależnia to ich w dużej mierze od braków w aprowizacji.

### Poniedziałek, 30 września

Spędzamy rano na pisaniu listów i kartek, jako że nasz gospodarz miał jakieś oficjalne spotkania. Właśnie od dwu tygodni wprowadzono nowe litewskie znaczki pocztowe, które naklejamy na naszych listach. Kartek tutaj nie ma, a w każdym razie trudno je dostać i trzeba mieć znajomości.

Potem krótkie zwiedzanie starego miasta Kowna, ratusz, katedra, kościół Witolda, dom Perkuna. Jedziemy też do galerii Ciurlionisa. Zwiedzamy część poświęconą jego pracom jak również sale malarstwa litewskiego sprzed 1939 roku. Bardzo ładna sala z pracami Skleriusa. Portret jego żony Leny w dużym kapeluszu.

Rozmowy z dyrektorem na temat organizowanej wystawy prac mojej matki. Również, jako ciekawostkę, dyrektor pokazuje mi indeks wileńskiego uniwersytetu, wystawiony dla Celiny Wielhorskiej, z domu Lewoniewskiej, córki Władysława, lata 1931/32, gdzie zamiast normalnego zdjęcia jest zdjęcie portretu pani Celiny, robionego przez moją matkę w 1927 r. W indeksie podpisy takich ludzi jak Ruszczyc, Bułhak, Kłos...

Następnego ranka wracamy do Wilna. Po drodze przejeżdżamy przez Rumszyski — litewski skansen. W naszym hotelu w Wilnie czujemy się jak w domu. Dużo jest miejsca, trochę chłodno, ale w łaźnicy gorąca woda.



Z hotelami różnie tu bywa. „*Draugiste*” (Przyjaźń) na Zakręcie jest hotelem należącym do Rady Ministrów i jedynie goście rządu mogą się tam zatrzymać. „*Lietuva*” po drugiej stronie Wilii, niedaleko od dawnego mostu Zielonego, jest dużym brzydkim hotelem Inturistu, gdzie pokoje są bardzo drogie i gdzie gości obrabowują w pokojach. Nasza Neringa uchodzi za cichy i spokojny i najwygodniej położony.

Sprawy bandytyzmu w większych miastach jak Wilno i Kowno stanowią pewien problem. W czasie naszego pobytu, tylko jednej nocy w Wilnie ukradziono 7 samochodów i obrabowano na ulicach 4 zagranicznych turystów. Trudno się temu dziwić, gdy stosunek tutejszych zarobków do zagranicznych jest jeszcze gorszy niż to było przed laty w Polsce.

Większość dnia spędzam w „Centrine Biblioteka”, czyli dawnej Bibliotece Wróblewskich. Najpierw rozmawiam z dyrektorem, panem J.M., a potem z kierowniczką działu rękopisów, panią Danutą L. Jest bardzo pomocna, pokazuje wszystkie kartki katalogowe, o które proszę i robi kopie tego, co chcę zabrać ze sobą. Ustalamy pewne zasady współpracy z działem rękopisów Biblioteki Narodowej w Warszawie. Dziś w Wilnie nie ma trudności z materiałem do filmowania rękopisów.

#### Czwartek, 3 października

Wreszcie dochodzimy do najtrudniejszego tematu, o którym dotąd nie wspominałem, ale który co dzień w ten czy inny sposób, czy w rozmowach, czy w prasie codziennej dochodził do naszej świadomości: stosunki polsko-litewskie.

Nim cośkolwiek na ten temat powiem, trzeba sobie uświadomić, że z jednej strony, od czasów pierwszej wojny światowej miłości między Litwinami i Polakami nie było. Z drugiej strony, przyczyny do antagonizmu na płaszczyźnie międzypaństwowej, które istniały wtedy, dziś już znikły. Mianowicie polska inteligencja na Litwie, którą Litwini czuli się zagrożeni, jak również stan posiadania Polaków dziś już nie istnieją. Również Wilno dziś jest już bezspornie stolicą Litwy.

Jest około 280 tysięcy Polaków na Litwie (głównie okręgi Wileński i Solecznikowski) i około 20 tysięcy Litwinów w okolicach Sejny i Puńska w Polsce. Na nic się zda tutaj przytaczanie wniosków hasła umów międzynarodowych, że prawodawstwo dotyczące mniejszości narodowych powinno między innymi zawierać umowy na temat opieki nad mniejszościami według gwarancji zawartych w prawach człowieka i obywatela i możliwość aplikowania specjalnego statutu dla poszczególnych regionów. To wszystko ładnie brzmi, ale wymaga od obu stron bar-

dzo wysokiego stopnia dojrzałości, czego się nie widzi.

Po obu stronach zostały popełnione błędy. Najważniejszym jest chyba jednak cicha ingerencja sąsiadów, którym bardzo zależy, żeby poróżnić Litwinów z Polakami i nie dopuścić do dobrych sąsiedzkich stosunków. *Divide et impera* znalazło i tutaj swe zastosowanie. I tak, pod wpływem presji i antylitewskiej propagandy w polskich okręgach, na przywódców Rad zostali wybrani wierni Moskwie komuniści. W Parlamencie, na 10 posłów polskiej frakcji, tylko trzech było za niepodległość Litwy, a siedmiu za Moskwę. W czasie puczu w Moskwie, to przywódca polskiego okręgu posłał pierwszy depezę gratulacyjną do Moskwy... Cóż się dziwić.

Ale Litwini też nie zostali bez grzechu: zamiast przeczekać parę tygodni i dać Polakom samym uporządkować swoje bagienko, strona litewska rozwiązała Polskie Rady Samorządowe i wprowadziła rządy administracyjne przez wyznaczonych przez siebie komisarzy, nawet nie znających polskiego języka. Czyżbyśmy zamiast porozumienia mieli wrócić do rządów wojewody Bocińskiego i szaulisów?

Moim zdaniem, sytuacja nie jest bez wyjścia, gdyż na kierowniczych stanowiskach po obu stronach nie ma wzajemnej niechęci, wręcz przeciwnie, jest chęć współpracy. Polska jest dla Litwy najkrótszą drogą na Zachód. Tak jak to Miłosz powiedział niedawno na falach Radia Wolnej Europy: zawsze trzeba patrzeć, kto słabszy i kto mocniejszy. Myślę, że zawsze trzeba podtrzymać stronę słabszego... myślę, że Litwa powinna brać przykład z Finlandii: tam się mówi po fińsku i po szwedzku. Lecz Finowie mówiący po szwedzku nigdy się za Szwedów nie uważali...

Najgorzej, że w opinii światowej, gdzie ludzie czytają zaledwie tytuły i nie wglębiają się w treść artykułów, takie nieporozumienia mniejszościowe robią dużą szkodę i Litwie i Polsce. Nikogo nie obchodzi, kto ma rację. Wie się, że narody od wieków żyjące razem, nagle zaczynają się bić, choćby jak Chorwaci i Serbowie.

Wieczorem schodzimy do małej, hotelowej kawiarenki by zjeść kolację. Nie ma światła. Pytamy w recepcji co się stało, mówią, że „mieli jakąś awarię”, ale że będzie dla nas stolik na dole. Następnego ranka pytam kelnerki o wczorajszą „awarię”. Mówi mi: „tak co to za awaria, kucharka napiwszy się poszła do domu”. Tak to bywa.

#### Sobota, 5 października

Wyjeżdżamy z rana nową „Żygli” (rosyjska wersja Łady Henryka na ostatni nasz daleki wypad. Jedziemy we czwórkę: Henryk, moja daleka kuzynka Stenia, Renia i ja. Jedziemy zupeł-



nie nową, dobrą szosą na Molety i Uciagę, dalej kawałek starym Katarzyńskim traktem do Daugelów, gdzie skręcamy na północ na Dusiaty w stronę Abel. Droga prowadzi wzdłuż pięknego długiego jeziora Serty. Wreszcie skręcamy na żwirowy gościniec prowadzący do Krewna. Tam mały kościółek, w dużej mierze fundowany przez moją rodzinę. Zachodzimy do środka i w starej szafie odkrywamy kilimek ręcznie robiony przez moją prababkę około 1850 roku, z wyraźnym napisem z drugiej strony przez kogo zrobiony i że „nie ma być używany do pogrzebów”. Zachodzimy na plebanie. Bieda z nędzą, ale proboszcz strasznie gościnny, ledwo udaje nam się uciec bez posiłku. Obdarowuje nas za to stosem literatury katolickiej.

O 6 km dalej jest stary dworek drewniany Bogdaniszki, gdzie się Stenia urodziła. Obok willa rektora Michała Romera. Z zewnątrz właściwie w zupełnie dobrym stanie, ale córka rektora mówiła mi, że wewnątrz zostało przebudowane.

Jedziemy dalej. O 2 km od Abel, nad jeziorem Nasze, leży dwór Antonosz. Chyba najstarsze gniazdo naszej rodziny na Litwie. Jest tam dziś biuro gospodarstwa kolektywnego. Pałac zniszczony, ale prowadzone są prace odbudowy i to zachowując ten sam styl co dawniej. Byłem tu po raz ostatni w 1938 roku. W Abelach w kościele parafialnym, w bocznym ołtarzu po lewej stronie, jest kopia obrazu św. Anny, robionego przez Alfreda Romera. Również jest nad nim obraz św. Jerzego, malowany przez Słędzińskiego na zamówienie Edwarda Romera. Starym zwyczajem odwiedzamy cmentarz, panie obskrobują mchem zarosłe litery i zostawiamy wiązkę kwiatów na grobie mego pradziadka.

Z Abel kierujemy się na zachód w stronę Rakiszek. Tam pałac pięknie utrzymany. Jest tam muzeum obrazów, nie tylko ze zbiorów Przeździeckich, ale i pozwożonych z wielu sąsiednich dworów. Pamiętam dobrze pana Jana Przeździeckiego, który czasami przyjeżdżał do moich rodziców.

Zapada zmierzch, więc jedziemy dalej. Mamy nocleg zarezerwowany w hotelu „Kupa” w Kupiszkach. Kupiszki to miasteczko mające około 8 tysięcy mieszkańców. Ogromny kościół, budowany już w tym stuleciu. Przed wojną było tu sporo Żydów. Były aż trzy synagogi. Nic dziś z tego nie zostało. Nasz apartament składa się tu również z salonu i sypialnego. Jest ogromny telewizor, który działa. Program litewski i rosyjski. Łazienka z troszkę ograniczonymi możliwościami. HP zamówił doskonałą kolację, którą nam podano w „gabiniecie”, zapewne za dawnych czasów zarezerwowanym dla wyższych urzędników partyjnych. Ciekawy mural *à la* Podkowiński: naga postać na rozszalałym koniu.

Następnego dnia, po równie dobrym śniadaniu, wyruszamy w dalszą drogę.

*Niedziela, 6 października*

Jedziemy na Poniewież. Miasto się bardzo zmieniło od moich czasów (1940). Ale gmach polskiego gimnazjum na ulicy Kranto, w którym przeszło pięćdziesiąt lat temu otrzymałem świadectwo dojrzałości, wygląda jakby to było wczoraj. Również kilka innych budynków jak bank, poczta, więzienie, teatr, są takie jak były. Jest jednak mnóstwo nowych, okazałych budowli, jak nowy dworzec kolejowy. Jedziemy ulicą Mariańską, później Prezydenta Smetony, a dziś Domaszewicza — tam gdzie mieszkałem. I domy pani Pietrkiewiczowej i Domaszewiczowej, parterowe małe domki, nadal stoją. Wchodzę w dziedziniec tego ostatniego. Pełno kwiatów. Jest i okno saleczki, w której przez trzy lata mieszkałem.

Przejeżdżamy koło dawnej apteki Ławrynowicza, ojca mego kolegi z gimnazjum. Nadal jest tam apteka. Dalej jedziemy już szosą na Wiłkomierz. Zbaczamy z drogi do Towian Radziwiłłów. Przed wojną była to siedziba Totka Radziwiłła i jego siostry Ryty. Pamiętam w latach trzydziestych sensację w Kownie, jak Totek na polowaniu zastrzelił wilka (wówczas rzadkość na Litwie) i przywiózł go triumfalnie do Kowna. Pałac jest porządnie utrzymany. Jest tam jakaś szkoła. Robię zdjęcia i wracamy do Wilna.

Warto zwrócić uwagę, gdy się przejeżdża przez miasteczka, czy też głuche wsie, na ilość kwiatów otaczających każdy domek. Również ulice są schludne i przeważnie wysadzone drzewami.

*Poniedziałek, 7 października*

Ostatni dzień przed odlotem. Zawsze są jeszcze jakieś zapomniane sprawy do załatwienia. W końcu, kiedy już nic nam nie zostaje, jedziemy na ładny spacer do Werek (pałac Maślaskich) i do Zielonych Stawów. Na pożegnalny obiad rodzina HP przygotowała dla nas kołduny. Następnego dnia, odprowadzani przez wszystkich przyjaciół, odlatujemy Antonowem 24 do Warszawy.

Dopiero jadąc ulicami Warszawy i patrząc na wystawy sklepowe, światła i reklamy, zdajemy sobie sprawę, jak daleko Polska już odeszła od „szarzyzny socjalistycznej”.

*Andrzej ROMER*



## Kacap i chachol

Na sportowych boiskach świata kipi dusza ludu. A na kijowskim stadionie „Dynamo” podczas meczów z drużynami moskiewskimi raz po raz zrywa się hasło dnia: „bij kacapów”. Dla równości to samo na stadionach moskiewskich. Podczas gry z Ukraincami ludek moskiewski ryczy: „Biej chachłów”. Obydwa przezwiska, podobne do rzędu znanych w Polsce określeń „moskal”, „szkop”, „hajdamaka”, są stare jak świat. Przeżyły cara, Stalina i Gorbaczowa i sekundują nadal poczynaniom na wyboistej drodze do układów Kijowa z Moskwą. Nie trzeba być prorokiem, by rzec, że od tego, jak się ułożą stosunki Ukrainy z Rosją, zależeć będzie przyszłość nie tylko wschodniej części Europy. Gdyby doszło do powtórzenia syndromu serbsko-chorwackiego w wydaniu rosyjsko-ukraińskim, to nie wiadomo, co by w końcu pozostało na ruinach ginącego imperium. W Rosji nie ma chleba i mięsa, ale jest w bród żołnierzy i broni, od zwykłego kałasznikowa do największych rakiet atomowych i nieprzebranych zapasów broni chemiczno-biologicznej, zdolnej do wytrucia całych ludów. Broń atomowa jest rozlokowana w czterech państwach: Rosji, Białorusi, Kazachstanie i na Ukrainie. Zachód żąda, aby cały asortyment rakiet z głowicami jądrowymi został skoncentrowany we władaniu Rosji. Państwa nierosyjskie wzdragają się przed taką koncentracją, bojąc się, że Moskwa pewnego dnia mogłaby użyć tego potencjału w dosłownym znaczeniu lub tylko jako szantażu.

Niedawno doszło na tym tle do incydentu o niebłahej wymowie. Oto skądinąd znana z liberalnych poglądów gazeta *Moskowskije Nowosti* piórem redaktora Kiselowa wysunęła przypuszczenie, że Rosja mogłaby w sporach z Ukrainą zagrozić użyciem broni atomowej. Zaraz potem inny dziennik podobnego pokroju, *Niezawisimaja Gazeta*, wydrukował niedyskretnie na temat rzekomej wypowiedzi Jelcyna, że przeciwko niesformnym Ukraincom trzeba będzie użyć uderzenia atomowego. W Kijowie nazajutrz zawrzało. A w *Izwiestiach* ukazała się notatka, że Jelcyn zdementował swe plany, bo z praktycznych względów są niewykonalne. Nazajutrz rząd rosyjski zagroził gazetom, że za takie wiadomości pismo może być zamknięte. W Kijowie pokazano palcem na północ: „oto prawdziwa demokracja po rosyjsku”.

W przykrym położeniu znaleźli się ci politycy ukraińscy, którzy lansowali Jelcyna jako solidnego partnera przy likwidacji imperium. Z niepokojem rejestrują, jak szybko zmienia się naj-

bliższe otoczenie przywódcy Rosji. Większość zastępców Jelcyna nie ukrywa wrogich lub nieprzyjaznych postaw wobec Ukrainy. Dzieje się to pomimo pozostawania w mocy układu o przyjaźni i współpracy z 19 listopada 1990 roku i komunikatu o normalizacji stosunków z 29 sierpnia 1991 roku. Nie ma dziś żadnego moralnego autorytetu, jakim wśród Rosjan był Andriej Sacharow. Wykrusza się wpływ demokratów na politykę swego rządu. W przeciwieństwie do Ukrainy, gdzie na czele partii i rozmaitych instytucji parlamentarnych i administracyjnych stoją byli dysydenci i więźniowie Gulagu, jak np. szef rządu regionalnego we Lwowie, Czornowił, lub przewodniczący partii republikańskiej, Lawko Łukjanenko, w instytucjach rosyjskich nie ma byłych dysydentów czy działaczy akcji helsińskiej.

Zapytany o stanowisko w kwestii stosunków Ukrainy z Rosją, Zbigniew Brzeziński, podczas pobytu w Kijowie pod koniec października, wysunął propozycję, że stosunki powinny się ułożyć tak, jak pomiędzy Kanadą i Ameryką. Strasznie to się moim ziomkom spodobało, tylko nie widzą, jak to zrobić. Rosjanie też nie bardzo mogą zapomnieć o dawnym imperiaлизmie. Anglikom, Francuzom czy Holendrom było może łatwiej odzegnać się od kolonii, bo te były za morzami, a rosyjskie istniały pod nosem, chociaż mimo różnic w czasie i w geografii zasadnicza treść umierania imperium jest ta sama, a zaczęła się od imperium rzymskiego i otomańskiego: upadek tych dwóch jest bliższy dzisiejszej zagładzie imperium moskiewskiego niż zanik wladztw kolonialnych państw zachodnioeuropejskich.

Idea Brzezińskiego bardzo dobra, ale na jej ziszczenie trzeba będzie nieco poczekać, jeżeli w ogóle współzycie byłej macierzy z koloniami, czy w ograniczonym zasięgu z ukraińską kolonią, znajdzie przyzwoitą formę realizacji.

Wielu Rosjanom trudno pogodzić się z myślą, że Ukraina przestała być domeną polityki moskiewskiej. Także wielu Ukraincom nie podobna oswoić się z możliwością wspólnego istnienia w jakichś ponadpaństwowych, ale mimo to wspólnych, związkach. Apelowanie pewnej grupy Rosjan do wspólnych rzekomo korzeni wywołuje na Ukrainie wręcz odwrotny od zamysłów skutek. Za dużo krzywd i goryczy uzbierało się w ciągu trzystu lat niewoli i za mało słychać słów uznania winy i przeproszenia za rabunek tradycji, historii, języka i istnień ludzkich, nie mówiąc o ruinie materialnej bogatego niegdyś kraju. Najtrudniejszy obrachunek dotyczy nie tyle ekonomicznej strony zagadnienia, chociaż wprowadzenie pańszczyzny i zniszczenie duchowstwa ukraińskiego to nie czcza zabawa — ile kwestii duchowych. Rosjanie zafałszowali gruntownie historię swojego kolonializmu, a w wypadku Ukrainy również historyczne fakty



zapożyczenia kultury i cywilizacji właśnie z Kijowa i Halicza. Ukraina otrzymała w zamian za eksport literatury, teologii, sztuki drukarskiej, znajomości innych światów kultury i sztuki system knuta i poniżenie godności ludzkiej w imię omnipotencji państwa i policji.

Podstawą nieporozumień w obecnym układzie jest brak wszelkiej poważnej dyskusji na temat obciążeń historycznych. Zasadniczo do dialogu rosyjsko-ukraińskiego w podstawowych kwestiach winy i kary, lub przeproszenia i wybaczenia, jak to się stało na przykład *grosso modo* w stosunkach polsko-niemieckich, a nawet częściowo dzięki *Kulturze* i kilku ośrodkom czy osobom z Ukrainy w dziedzinie polsko-ukraińskiej, czy choćby tylko w przedstawieniu przeciwstawnych poglądów i postulatów, nigdy dotąd nie doszło. I stąd trwałość wzajemnych oskarżeń, uprzedzeń i fobii.

Dopóki się to nie zmieni, dopóty Kijów i Moskwa będą na siebie spoglądały spode łba, bez najmniejszego cienia zaufania. Wystarczy przejrzeć stos gazet w Moskwie i Kijowie, aby zrozumieć ów wysoki mur ignorancji i nieuznawania walorów sąsiada, który w dalszym ciągu, obecnie już bez manipulacji i kierowania z góry, istnieje i działa. Można to oczywiście zepchnąć na karb wszędzie wojującego nacjonalizmu, ale w danym wypadku mechanizmy i zasady imperializmu mają dodatkowy, bardziej niebezpieczny wymiar. Obraz Ukrainy serwowany niemalże codziennie w centralnych gazetach moskiewskich i w telewizji — poza nielicznymi wyjątkami, jak *Niezawisimaja Gazeta* i *Dielowej Mir*, jest groteskowy. Ukraina jawi się w krzywym zwierciadle jako kraj uzbrojonych po zęby dzikusów, prześladowanych stale Rosjan i wszystkie mniejszości narodowe. Tylko rzadko ukazują się takie głosy jak publicyści Mojsiejewa. Pozwolę sobie przytoczyć ten niestety chyba niereprezentatywny pogląd:

„Rozmaite kraje i narody zawiniły wobec siebie a nam też przystoi przyznać się do winy i uczynić wszystko, aby wyrównać grzechy przeszłości, o których nikt nie zapomina. Mnie szczególnie boli dola Rosji i Ukrainy. Tak nad tym boleję, że postanowiłem moje stanowisko przedstawić czytelnikom. My, Rosjanie, dziedziczymy umiłowanie Ukrainy od kołyski. Za każdym razem, kiedy bywałem na Połtawszczyźnie czy na Czernihowszczyźnie, zawsze byłem oczarowany przyrodą i ludźmi. Ale my, Rosjanie, narobiliśmy im wiele zła. Do tego należą i pochody carskich żołdaków na ukraińskie sioła i wprowadzenie pańszczyzny i ignorowanie języka i obyczajów, i przede wszystkim zabranie im w ciągu trzystu lat prawa do samoistnego bytu i wielu innych rzeczy. I niech wam Bóg pomoże, byćście wreszcie teraz urządzili swój kraj jak trzeba. My nie śmiemy ani wam radzić, ani się mieszać do waszych spraw. My możemy wam tylko pomagać”.

Na razie nie zauważyłem, aby głos ten znalazł uznanie na Ukrainie. Natomiast poglądy Sołżenicyna o plebiscycie spotkały się z powszechnym protestem. Politycy a z nimi też pisarze i naukowcy zarzucili pisarzowi, że stanął po stronie wrogów Ukrainy. Najostrzej zareagowali dawni więźniowie GUŁagu, Lewko Łukjanenko, który wycierpiał 27 lat łagrów i więzień, Wiaczesław Czornowił, który odsiedział „tylko” 15 lat, a wraz z nimi Bohdan Cebryk, Michajło Horyń, Irena Kałyneć, Henrich Altunian, Stepan Chmara, Ołeś Szewczenko, Lewko Horochiwszkyj i Bohdan Horyń. W liście otwartym do Sołżenicyna wyrażają się z goryczą o jego interwencji i zapytują pisarza, czy orientuje się, jakie wolności mają Rosjanie na Ukrainie i jak on godzi swe postawy antyukraińskie z wiarą chrześcijańską.

Zresztą żadna z istniejących rosyjskich organizacji demokratycznych na Ukrainie nie poparła inicjatywy pisarza. Odezwali się z uznaniem tylko czarnosecińcy na Krymie i Ługańsku. Jednak według dotychczasowych ankiet większość Rosjan opowie się w referendum 1 grudnia za niepodległością Ukrainy.

Kijów, 10 listopada 1991

Bohdan OSADCZUK

## WAWEL

### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.



## Sąsiedzi

### W sowieckiej prasie

Korespondencja z konferencji na temat Bliskiego Wschodu nosiła w *Izwiestiach* tytuł „Ostatnie tango w Madrycie”. Tytuł ordynarny, zwłaszcza jak na *Izwestia*, ale nietrafny. Reagan lubił mówić, że tango tańczy się we dwoje. W stolicy Hiszpanii prezydent Bush nie miał z kim tańczyć. Podrygi Gorbaczowa nawet jemu samemu nie sprawiały przyjemności. „Centrum” wielkiego mocarstwa atomowego, które jeszcze wczoraj nazywało się super-mocarstwem (w co wszyscy wierzyli) — przepadło jak mara. Co zostało? Kto sprawuje władzę? Co to za władza? Są to poważne pytania, które najżywiej interesują obywateli sowieckich, ale nie tylko ich.

Pojawienie się w Moskwie dwóch ośrodków władzy — związkowego i rosyjskiego — nie może nie doprowadzić do wchłonięcia jednego przez drugi. To wchłonięcie może przybrać różne formy. Wszyscy mają w oczach model berliński. Model moskiewski prawdopodobnie będzie podobny. Najbardziej sensacyjną wiadomość ubiegłego miesiąca wyłożył spokojnie i rzeczowo S. Talbott w *Time*'ie z 11.XI.1991. Cytuję: „Dwa tygodnie temu wiceprezydent Federacji Rosyjskiej, Aleksander Ruckoj, potajemnie poinformował ambasadora Stanów Zjednoczonych w Moskwie, Roberta Straussa, o treści pierwszej wersji przemówienia, które przygotowano dla Borysa Jelcyna i które miał on wygłosić w przeddzień odlotu Gorbaczowa do Madrytu. Projekt przemówienia zawierał deklarację o rozwiązaniu Związku Sowieckiego i przejściu przez rząd Jelcyna opieki nad 25 milionami Rosjan, żyjących poza granicami republiki”. Ambasador przekazał tekst swojemu prezydentowi, a Bush natychmiast wysłał instrukcję, aby przekazać wiceprezydentowi i ministrowi spraw zagranicznych Rosji, że Stany Zjednoczone są zaniepokojone i proszą, aby przemówienie było „mniej prowokacyjne”.

Prezydent Rosji zastosował się do życzenia prezydenta Stanów Zjednoczonych. Na posiedzeniu Rady Najwyższej Rosji Borys Jelcyn zapowiedział radykalną reformę ekonomiczną, która ma stać się „terapią szokową” dla chorej gospodarki, zamknięcie większości związkowych ministerstw (pod warunkiem, że znajdują się w Moskwie, tzn. na terytorium Rosji) i swój zamiar zostania premierem. Podkreślił też konieczność jedności Federacji Rosyjskiej.

Sprawa przemówienia Jelcyna — pierwszego i drugiego, poprawionego wariantu — może służyć jako przykład postępowania najpopularniejszego przywódcy rosyjskiego, na którego ludzie sowieccy przenieśli nadzieje, które kilka lat temu pokładali w Gorbaczowie. Minęło zaledwie kilka dni i Jelcyn od słów przeszedł do czynów. O ile oczywiście można nazwać „czynami” dekrety i ustawy, których nie wspiera żadna instancja władzy. Zaczniemy od początku. Wezwany przez Gorbaczowa na początku 1986 r. do Moskwy Jelcyn zaczyna piąć się w górę. Przez pięć lat wspinaczka przebiegała zrywkami — jako sojusznik i rywal generalnego sekretarza Borys zdobywa popularność, krytykując Michaiła przy każdym zakręcie politycznej linii twórcy *perestrojki*. Borys Jelcyn — dziś weszło to już do historii — jest pierwszym w dziejach Rosji prezydentem, wybranym w wolnych wyborach przez wszystkich obywateli. 19 sierpnia cały świat widzi go na czołgu (Lenin w kwietniu 1917 roku stał na małym wozie pancernym), broniącego wolności i demokracji. Oto bohater i zbawca, człowiek, który wszystko może. Los kraju, Rosji i świata spoczywa w jego rękach. Po czym Borys Jelcyn udaje się na dwutygodniowy odpoczynek. Niektórzy uważają, że wyjechał pisać wspomnienia o puczu. Po powrocie nie robi niczego, aby zaprowadzić spokój wśród doradców, którzy żrą się jak psy.

Wreszcie po dwóch miesiącach letargu bohater się budzi. Przedstawia program reform, żąda nadzwyczajnych pełnomocnictw, mianuje się premierem. Rosyjska historia zna podobny przypadek: w 1916 r. Mikołaj II objął funkcję naczelnego wodza. Był to jeden z powodów upadku monarchii: winę za porażki na froncie ponosił od tej chwili car. Ale historia, jak wiadomo, nikogo jeszcze niczego nie nauczyła.

Istnieje choroba zwana bulimią. Słownik definiuje ją następująco: niernormalny wzrost apetytu, któremu towarzyszy uczucie głodu. Bulimia władzy to nowa postać choroby, która najpierw zmogła prezydenta ZSSR, a teraz zaatakowała prezydenta Rosji. Borys Jelcyn najwidoczniej postanowił, że teraz on przejdzie przez wszystkie stadia zarazy, znane z działalności Gorbaczowa. Sprawowanie władzy jako takie może dawać i pozytywne, i negatywne wyniki. Natomiast zawsze daje negatywne, je-



żeli towarzyszy mu niezdecydowanie, chwiejność, słabość. Słaba władza która udaje silną jest zawsze nieszczęściem dla kraju.

Borys Jelcyn oświadczył zdecydowanie, że zaczyna się terapia szokowa. Za miesiąc zostaną zwolnione ceny, zlikwidowane dotacje dla wszystkich towarów, poza nielicznymi produktami żywnościowymi, sprywatyzowane małe i średnie przedsiębiorstwa itd., itp. Ekonomiczny doradca Jelcyna prof. Jegor Gajdar wytłumaczył angielskim telewizjom, że ceny wzrosną trzykrotnie, ludność będzie bardzo cierpiała, ale za to po dwóch latach naród rosyjski zdobędzie prawdziwy mechanizm rynkowy i wyzwoli się od inflacji.

Upłynęły mniej więcej dwa tygodnie od rozpoczęcia marszu do rynku. Jegor Gajdar został ministrem gospodarki w rządzie Jelcyna i zaczął wprowadzać poprawki do planu — Francuzi mawiają w takich przypadkach, że zaczął dolewać wody do wina. Przede wszystkim oświadczył, że zwolnienie cen potrwa nie kilka tygodni, lecz kilka miesięcy. Po drugie, wydłużył znacznie listę towarów i usług, które nadal będą subsydiowane. Jelcyn jeszcze nie zdążył zrobić kroku w przód, a już robi dwa do tyłu.

Reforma ekonomiczna była tylko jednym z zamiarów wszechmocnego prezydenta i premiera. Drugim głównym zmartwieniem nowej władzy było zachowanie „jednej i niepodzielnej Rosji”. Niektórzy przypominają sobie dzisiaj, że w ubiegłym roku Jelcyn, nie będący jeszcze prezydentem, tylko przewodniczącym Rady Najwyższej Rosji, objeżdżał terytorium republiki i we wszystkich autonomicznych obwodach mówił: bierzcie tyle suwerenności, ile możecie przelknąć. Teraz, w nowej funkcji, zaczął od podpisania 8 listopada dekretu o stanie wyjątkowym na terenie republiki czeczeno-inguskiej. Zrelacjonować sytuację na Kaukazie po puczu nie jest łatwo — jak zwykle działały złożone sploty stosunków narodowych i prywatnych, które dodatkowo komplikowały właśnie między demokratami, nacjonalistami, skrajnymi nacjonalistami, zwolennikami wyjścia ze Związku, jego obrońcami itd. Nacjonalistyczna partia emerytowanego generał-majora Dżochara Dudajewa skorzystała z faktu, że miejscowe władze stanęły po stronie puczystów, i wymusiła zorganizowanie wyborów prezydenckich. Zwyciężył Dudajew, który ogłosił powstanie niezależnej republiki Czeczeńców (Ingusze, którzy stanowią ok. 40% ludności Czeczeno-Inguszzii, odmówili udziału w wyborach).

Niejedno dałoby się oczywiście powiedzieć na temat demokracji w nowej niezależnej republice. Ale jeszcze więcej można na ten sam temat powiedzieć w odniesieniu do innych republik — na przykład Gruzji, Azerbejdżanu, Kazachstanu i innych. Różnica między wymienionymi wyżej republikami a Cze-

czenią polega na tym, że tamte są republikami związkowymi, a Czeczeno-Inguszzia stanowi autonomiczną republikę wchodzącą w skład Federacji Rosyjskiej.

Jelcyn zareagował błyskawicznie. Wprowadził własne rządy i godzinę policyjną na terenie zbuntowanej kaukaskiej republiki, uzasadniając te nadzwyczajne środki „zagrożeniem dla ładu konstytucyjnego Rosji” i dla miejscowej ludności. 11 listopada, trzy dni po podpisaniu dekretu prezydenta, Rada Najwyższa Rosji odmówiła zatwierdzenia go. Stan wyjątkowy w Czeczenii został zniesiony. Michaił Gorbaczow nie ukrywał, że jest przeciwny dekretowi i wolałby „polityczne rozwiązanie”. W swoim czasie Jelcyn przeszkadzał Gorbaczowowi w prowadzeniu jego polityki — teraz role się zmieniły.

Postępowanie Jelcyna nasuwa pytania: dlaczego zwrócił się do parlamentu, skoro ma nadzwyczajne pełnomocnictwa oraz stanowisko prezydenta i premiera? A jeśli jest takim zagorzałym demokratą, to dlaczego najpierw podpisał dekret, a dopiero potem zwrócił się do parlamentu o zatwierdzenie go? Postawa parlamentu jest jaśniejsza. Deputowani prawdopodobnie zrozumieli, że Czeczenia może się okazać dla Rosji taką samą ropięjącą raną, jaką Górny Karabach był dla Związku. Poza tym mogli pamiętać, że w XIX wieku carska Rosja przez sześćdziesiąt lat prowadziła wojnę z Kaukazem, a w szczególności z Czeczeńcami. W „Kołybielnoji” Lermontowa, uczestnika wojny kaukaskiej, widnieją słowa: zły Czeczeniec pełźnie na brzeg, kindżał przed się toczy. Czeczenii nie udało się uśmierzyć aż do rewolucji. Potem też wielokrotnie górale powstawali przeciwko władzy sowieckiej. Na początku wojny wszystkich Czeczeńców i Ingusów — od najmłodszych do najstarszych, starców, kobiety i dzieci (mężczyźni byli na froncie) załadowano do wagonów i wywieziono do Kazachstanu. Nie mniej niż połowa deportowanych zmarła w czasie transportu.

Dopiero pod koniec lat 50-tych pozwolono im wrócić na swoje ziemie. Ten krótki rys historyczny — dobrze znany deputowanym — zawiera jedną naukę: z Czeczeńcami lepiej nie zadzierać. Co więcej, ci górcy wojownicy na wygnaniu nabrali nowych cech, w tym smykałki do handlu. W Moskwie i Petersburgu bardzo się dziś na nich skarżą, twierdząc, że stanowią najpotężniejszą mafię.

Dwie decyzje Jelcyna równają się dwóm porażkom. Sowieccy dziennikarze bardzo lubią używać jako metafory tytułu amerykańskiej powieści „Schody na górę prowadzą na dół”. Pewne znaki wskazują, że tytuł ten może symbolizować dzisiejszy los Jelcyna, tak jak wczoraj symbolizował los Gorbaczowa.

A zaczynało się tak pięknie. Pucz dał Jelcynowi niezwykłą okazję do skupienia władzy w swym ręku. 22 sierpnia 1991 pod-



piisał prezydencki dekret „O niektórych zagadnieniach działalności organów władzy wykonawczej w RSFSR”. Pod tym niejasnym tytułem kryło się otwarcie specjalnego instytutu osobistych przedstawicieli prezydenta. Pierwsze nominacje miały miejsce 24 sierpnia. Na początku listopada wysłannicy prezydenta działali już we wszystkich sześciu krajach i czterdziestu dziewięciu obwodach Rosji. Przez dwa miesiące stworzono nową instancję władzy państwowej, objęto nią wszystkie regiony Rosji nie cieszące się autonomią. Namiestnicy prezydenta stanowią najwyższą władzę terenową — wybrani osobiście przez Jelcyna, odpowiadają tylko przed nim. Pięćdziesięciu pięciu „gubernatorów” wybrano spośród deputowanych ludowych i zwyczajnie znanych prezydenta. Ludzie różnych zawodów — od uczonych do oficerów — przez ostatnie lata wyrażali z reguły poglądy demokratyczne. Ale już dziś obserwatorzy odnotowują nieuchronne zjawisko: po przyjeździe do swojego rejonu z nadzwyczajnymi pełnomocnictwami, namiestnicy prezydenta muszą oprzeć się na istniejącej władzy wykonawczej. Najrozmaitsi obserwatorzy opowiadający o sytuacji w byłym Związku Sowieckim przede wszystkim zwracają uwagę na walkę o władzę w Moskwie oraz między centrum i republikami. Jak wygląda władza w terenie, pozostaje tajemnicą. W czerwcu 1989 r. Gorbaczow oznajmił na konferencji partyjnej, że należy rozdzielić funkcje aparatu partyjnego i administracyjno-państwowego, a w tym celu — zgodnie z leninowską dialektyką — zjednoczyć je w jednej osobie sekretarza partii i przewodniczącego sovietu (zaczął od siebie — wtedy właśnie uchwalono, że generalny sekretarz będzie prezydentem ZSSR). Zaczął się najważniejszy element *pieriestrojki* — przemieszczanie punktu ciężkości władzy. Proces ten przyspieszał się w miarę jak upadał autorytet partii. Jego istota polegała na tym, że funkcjonariusze partyjni obejmowali kluczowe stanowiska w aparacie państwowym. Partia zawsze rządziła sowietami, ale po 1989 r. zaczęła rządzić nie w trybie dyrektyw napływających z komitetów partyjnych, ale wprost, zasiadając w fotelach przewodniczących sovietów. Odbywało się to — zgodnie z duchem czasów — trybem demokratycznym, tzn. w drodze wolnych wyborów między kilkoma kandydatami. Wykorzystano bogate doświadczenie zachodnich demokracji: okręgi wyborcze przykrawano w taki sposób, aby zapewnić wybór odpowiednich funkcjonariuszy partyjnych. Na przykład w obwodzie tomskim (Syberia) okręg wiejski liczył 1500 wyborców, a miejski — 4.000. Na wsi łatwiej było w ten lub w inny sposób zdobyć potrzebne głosy.

W miastach też nie brak możliwości. 2 października ukazał się w *Literaturnoj gazecie* najbardziej chyba sensacyjny materiał na temat puczu. Był to wywiad z człowiekiem, którego nazwisko

i funkcja stanowiły do niedawna jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic wojskowych ZSSR. Piotr Korotkiewicz — gdyż tak on się nazywa — przez długie lata kierował sowieckim programem „wojny gwiazdnej” i budował, jak napisano w gazecie, „nuklearną tarczę kraju”. Sam przyznaje, że budował i tarczę, i miecz, tzn. obronę i atak. W wywiadzie Piotr Korotkiewicz opisał nieograniczoną władzę, jaką cieszy się w ZSSR „kompleks wojskowo-przemysłowy” i powiadomił, że głównym inicjatorem i dowódcą sierpniowego puczu był Oleg Baklanow, wiceprzewodniczący Rady Obrony Kraju, członek Biura Politycznego, sekretarz KC, innymi słowami pan całego przemysłu wojskowego, głównej części gospodarki sowieckiej. Wyznania Korotkiewicza są ważne nie tyle z uwagi na szczegóły (często bardzo ciekawe), ile dlatego, że pokazują fundamenty władzy sowieckiej. Tysiące fabryk wojskowych, zbudowanych we wszystkich zakątkach byłego Związku, zapewniają pracę i chleb milionom ludzi. Dyrektor fabryki jest razem z sekretarzem komitetu partyjnego królem miasta. On sprawuje władzę, bo w jego rękach spoczywają jej prawdziwe instrumenty — praca, pieniądze, produkty, wyroby przemysłowe.

Pod koniec października stała się publicznie znana analiza postawy władz rosyjskich podczas puczu. Analiza ta, sporządzona przez urząd kontroli administracji prezydenta Jelcyna, pokazała, że 70,5% organów władzy wykonawczej republiki „faktycznie nie poparło kierownictwa rosyjskiego”. Poza tym analiści mają poważne wątpliwości co do lojalności pozostałych 29,5% władz terenowych. Dokument stwierdza przede wszystkim, że były aparat KPZS „zawczasu przesunął funkcjonariuszy partyjnych na kierownicze stanowiska w terenowych sowietach i ich organach wykonawczych”. W terenowych sowietach — stwierdza dalej analiza — „byli funkcjonariusze partyjni zajmują praktycznie wszystkie kluczowe stanowiska”. Innymi słowami — niezależnie od delegalizacji partii komunistycznej — sowiecka struktura władzy jeszcze bardziej niż dawniej znajduje się w rękach komunistów. Fakt, że zniknęła KPZS — „partia nowego typu”, armia, którą Lenin stworzył celem zdobycia władzy — ma duże znaczenie. Nie mniejsze jednak znaczenie ma fakt, że — jak stwierdza w podsumowaniu cytowany wyżej dokument — „drogi realizacji przeobrażeń społeczno-ekonomicznych są faktycznie zablokowane”.

Zatem „przedstawiciel prezydenta Rosji”, którego można nazwać gubernatorem (wczoraj nazywał się komisarzem) po przybyciu w teren musi współpracować z miejscową władzą, która genetycznie odrzuca demokrację. W efekcie pod obłóczkiem reform odtwarza się obecnie stary system.



Ignazio Silone przepowiedział pół wieku temu, że „ostatni, decydujący bój” rozegra się między komunistami i antykomunistami. Miał rację, ale też się mylił. Przez „antykomunistów” rozumiał takich byłych komunistów, jak on sam, jak Borys Suwarin, Arthur Koestler. Dziś „ostatni bój” o władzę toczy się między komunistą Gorbaczowem i antykomunistą Jelcynem, między komunistami wczorajszymi i przedwczorajszymi. Kto zwycięży?

13.11.1991

Adam KRUCZEK

## Ukraina: fakty i prognozy

Ukraina nie została 19 sierpnia objęta rygorami stanu wyjątkowego, jaki obowiązywał w „niektórych regionach Związku Sowieckiego”. Niespodziewanie stan wyjątkowy — a wprowadzenia go na samej Ukrainie oczekiwano już od roku; miał on sparaliżować działalność ukraińskiej demokratycznej opozycji — stał się wydarzeniem zwiększającym szansę uzyskania przez Ukrainę pełnej niepodległości.

16 lipca 1990 roku zatwierdzono w zdominowanym przez komunistów parlamencie ukraińskim „Deklarację suwerenności”. Fakt ten interpretowany był przez działaczy opozycji bardzo różnie. Przypuszczano, że dopiero co powołany na stanowisko przewodniczącego parlamentu (Rady Najwyższej Ukrainy) Leonid Krawczuk chce uwiarygodnić się w oczach radykalizującego się społeczeństwa. Późniejsze wydarzenia, zwłaszcza zachowanie Krawczuka podczas podpisywania nowej umowy gospodarczej (jeśli można użyć takiego terminu), hipotezę tę w pełni potwierdziły. „Deklarację” traktowano też jako podstawę do dalszych, energiczniejszych działań opozycji na rzecz prawdziwej niepodległości Ukrainy. Wydarzenia, które zwieńczone zostały przyjęciem przez tę samą Radę Najwyższą „Aktu państwowej niezależności” 24 sierpnia 1991 roku dowiodły, że Krawczuk osiągnął dużo więcej niż wiarygodność oraz że opozycja ukraińska mogła lepiej wykorzystać ostatnie dwanaście miesięcy.

Przypomnijmy, że działalność demokratycznej opozycji na skalę ogólnoukraińską rozpoczęła się w połowie 1989 roku utworzeniem „Ruchu na rzecz Przebudowy” — „przebudowy” Gorbaczowa. Od chwili zarejestrowania w marcu 1990 roku, już

po wyborach do władz wszystkich szczebli, „Ruch” był jednym z głównych motorów niezależnych inicjatyw gospodarczych i politycznych. Do czasu jego II zjazdu w październiku 1990 roku na Ukrainie, zwłaszcza zachodniej, powstało wiele partii i organizacji politycznych. Na zjeździe tym przytknięto (nie — zamknięto) wstęp do „Ruchu” komunistom oraz wyrzucono z nazwy „przebudowę”. Zgłoszono też pomysł stworzenia w ramach „Ruchu” platformy porozumienia wszystkich tych, licznych już, inicjatyw. Do „Ruchu” miałyby wstępować całe partie i organizacje. Dałoby im to możliwość zjednoczenia sił w sytuacjach nadzwyczajnych, takich jak stan wyjątkowy. Idea ta, odrzucona w odniesieniu do „Ruchu”, przetrwała i wkrótce zaczęły na Zachodniej Ukrainie, przyłączonej do ZSSR w końcu 1939 roku, to znaczy prawie 20 lat później niż reszta kraju, powstawać struktury polityczne zwane często Radami Koordynacyjnymi. Lokalne ośrodki niezależnych partii i organizacji zgłaszały swój udział w radach.

Plan ten powiódł się na przykład w Kołomyi, siedemdziesięciotysięcznym mieście położonym w Zachodniej Ukrainie, 60 kilometrów na południe od Stanisławowa (dzisiejszego Iwanofrankiwska).

Tak jak na całej Ukrainie, odbyły się tam w marcu 1990 roku wybory do władz wszystkich szczebli. Działacze niezależnych reprezentowali przedstawiciele bloku sił demokratycznych, na który w tym czasie składał się „Ruch”, Ukraiński Związek Helsiński i Towarzystwo Języka Ukraińskiego im. Tarasa Szewczenki. W kontrolowanych w większości okręgów wyborach uzyskali oni miejsce w Radzie Najwyższej Ukrainy, 70 % miejsc we władzach wojewódzkich (*oblast*), 30 % na szczeblu powiatu (*rajon*) i 85 % w Radzie Miejskiej. Konsekwencją takiego rozkładu sił, zwłaszcza zdominowania przez komunistów najwyższego organu Ukrainy — czyli parlamentu — była dająca o sobie ciągle znać rozbieżność interesów ludzi sprawujących władzę na różnych jej poziomach. Z jednej strony poczucie praworządności każe na przykład Radzie Miejskiej wypełniać polecenia „góry”, z drugiej — nakazuje też szukać sposobów sprawowania rzeczywistej władzy. W Kołomyi władze miasta podjęły wiele praktycznych działań gospodarczych, które nie mogły podobać się partyjnym ideologom, ale jednocześnie nie stały w sprzeczności z prawem. Wypracowano też *modus vivendi* z wojskiem i milicją.

Do tak skomplikowanej mozaiki politycznej zaczęło jeszcze przybywać niezależnych partii i organizacji. W Kołomyi działa ich 12, z czego najpoważniejszymi i najliczniejszymi są: „Ruch”, Ukraińska Partia Republikańska, Partia Demokratyczna, Partia Zielonych Ukrainy, Towarzystwo Języka Ukraińskiego, Zrzeszenie Niezależnej Młodzieży Ukraińskiej. Są one włączone do Rady



Sił Demokratycznych (RDS), której celem jest koordynacja akcji politycznych i współdziałanie w sytuacjach nadzwyczajnych. Organizacje lub partie przystępują dobrowolnie do RDS i zobowiązane są do uczestniczenia w akcjach organizowanych przez Radę oraz odbywania raz w tygodniu spotkań. Członkowie Rady mogą odmówić udziału we wspólnych działaniach w wypadku, gdy ich cel stoi w sprzeczności z zasadami statutowymi partii lub organizacji, zobowiązują się jednak nie przeszkadzać. W sytuacjach nadzwyczajnych władzę obejmuje przewodniczący Rady Miejskiej.

W Kołomyi działa jeszcze jedna, niedawno powstała instytucja. Jest nią plac wiecowy. Tłumy mieszkańców miasta przybyły spontanicznie na plac po tragicznej styczniowej nocy w Wilnie. Podobnie jak 14 stycznia, tak i 19 sierpnia plac wiecowy wypełnił się mieszkańcami miasta, których sprowadziły wydarzenia ostatnich godzin. Na nie planowanym wcześniej posiedzeniu zebrała się Rada Sił Demokratycznych.

Podobne zebrania zwołane zostały tego dnia wszędzie tam, gdzie zdążyły się przyjąć pierwsze instytucje demokratycznego państwa. Najlepiej zorganizowane jest pod tym względem województwo lwowskie. Działający tam Komitet Porozumienia Obywatelskiego Lwowszczyzny, któremu przewodniczy Władysław Czornowił, natychmiast wystąpił do parlamentu Ukrainy z żądaniem sprzeciwienia się moskiewskiemu Komitetowi Stanu Wyjątkowego.

Tego samego dnia w Kijowie na nadzwyczajną naradę, zwołaną z inicjatywy opozycyjnej mniejszości parlamentarnej — Rady Narodowej — przybyły władze „Ruchu”, władze przeważającej większości demokratycznych organizacji i politycznych partii Ukrainy. Decyzję, które zapadły na naradzie, ukazały atuty, jakimi dysponowała opozycja, ale i obnażyły jej słabe punkty.

Wprowadzenie stanu wyjątkowego wydawało się najbliższe najpierw w październiku 1990 roku, podczas strajku głodowego kijowskich studentów, a potem po 17 listopada, kiedy to aresztowany został delegat opozycji do Rady Najwyższej Ukrainy, zastępca przewodniczącego Ukraińskiej Partii Republikańskiej, a przy tym długoletni więzień polityczny, Stepan Chmara. Wraz z osadzeniem go w więzieniu rozpoczęły się w środkach masowego przekazu systematyczne ataki na niezależnych działaczy, a ulicami Kijowa coraz częściej przejeżdżały kolumny wojskowe. Na zachodniej Ukrainie niszczone nowopostawione pomniki Bandery i Konowalca. Zdarzały się pobicia działaczy niezależnych. Gdy w pierwszych dniach września 1991 roku na polecenie władz miasta zajęto we Lwowie lokale tymczasowo zawieszonyj Komunistycznej Partii Ukrainy, odnaleziono tam ulotki sprzed roku, jednoznacznie nawołujące do wystąpień przeciwko grekokatolikom. By-

ły one rzekomo podpisane przez prawosławnych. 29 listopada zatwierdzona została przez ukraiński parlament ustawa o szczególnych uprawnieniach dla milicji, zakazie przeprowadzania strajków i manifestacji.

Słowo „suwerenność” w nazwie deklaracji z 16 lipca 1990 roku budziło w działaczach demokratycznej opozycji Ukrainy nadzieję na poszerzenie sfery wolności obywatelskich. Jednak bardzo szybko zaczęło się ono ukazywać jako pojęcie o niezna-nej wcześniej definicji — definicji stworzonej przez ukraińskich komunistów. Republika ukraińska miała być „suwerenna”, ale w ramach statusu określonego w „nowej umowie związkowej”. „Umowa związkowa — tłumaczył Krawczuk na konferencji prasowej w Kijowie w czasie gdy trwały obrady II zjazdu „Ruchu” — ma formułę polityczną i jako taka powinna wyrosnąć z sojuszu ekonomicznego. Ludzie mają się przekonać i odczuć wygodę tego związku opartego na zasadach dobrowolności, sprawiedliwości i wzajemnego szacunku stron”. Użycie słowa „suwerenność”, wbrew temu, że w praktyce nie oznaczało ono niepodległości państwa i wolności jego obywateli, pozwoliło Krawczukowi budować własny *image* poza granicami ZSSR. Przede wszystkim w zachodniej prasie, reagującej mechanicznie na każdy dźwięk zbliżony do pojęcia „demokracja”, mówienie o suwerenności Ukrainy przyjęte zostało z sympatią. Część tego uznania dostała się Krawczukowi. Dla potwierdzenia swych szczyrych intencji przekazał on w listopadzie 1990 roku przez grupę nieoficjalnych delegatów ukraińskiego parlamentu list do szefów państw-uczestników Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, która odbywała się w Paryżu. Domagał się w nim prawa Ukrainy do samodzielnego uczestniczenia w europejskich konferencjach i strukturach międzypaństwowych. Powoli Krawczuk zaczął dążyć do politycznego rozluźnienia więzów z Moskwą, dbając przy tym, by władza nie wymknęła mu się z rąk. Niezwykle umiejętnie zastosował tu sprawdzoną zwłaszcza dobrze w Związku Sowieckim zasadę: „dziel i rządź”. Wykorzystał ją w odniesieniu do Rady Narodowej, na rękę było mu także duże różnicowanie polityczne społeczeństwa Ukrainy.

Rada Narodowa, z jej przewodniczącym Ihorem Juchnowskim, jest grupą około 120 (co stanowi 1/3 głosów) niezależnych posłów do Rady Najwyższej Ukrainy. Zaraz po wybraniu ich do parlamentu w marcu 1990 roku utworzyli oni wspólny blok polityczny. Dzięki ich jednomyślnemu działaniu demokraci zaczęli odnosić większe sukcesy. Z czasem zarysowały się podziały.

Mimo obecności w Radzie Narodowej wielu (zbyt wielu?) indywidualności politycznych, nie wyróżniła ona niestety jednoznacznego przywódcy. Gdyby się pojawił — a ostatnie wydarzenia wskazują, że mógłby nim być Władysław Czornowił, szcze-



gólnie popierany na zachodniej Ukrainie i przez górników Zagłębia Donieckiego — opóźniłoby to zapewne podział Rady na zwolenników i przeciwników polityki Krawczuka. Liberalny w oczach Zachodu, manifestujący swą autonomię wobec Kremła, sprzyjający narodowym aspiracjom Ukraińców z zachodniej części kraju, starający się o polepszenie sytuacji gospodarczej Ukrainy — stawał się Krawczuk w coraz większym stopniu akceptowany przez społeczeństwo. Więcej — zaczął być gwarantem spokoju. Bezkompromisowy Stepan Chmara posłużył mu w odpowiednim momencie jako jeden z klinów, którymi postanowił rozdzielić swoich politycznych przeciwników, tworząc dodatkowe napięcie.

Krawczuk pozbawił Chmarę immunitetu, a potem zaaranżował incydent, który stał się podstawą do aresztowania. Sprawa Chmary stała się głośna i początkowo zdawała się szkodzić przewodniczącemu parlamentu. Krawczuk jednak rozumiał, że o ile Chmara ma wielu sympatyków na Zachodniej Ukrainie, o tyle jego radykalna postawa nie zjednuje mu zwolenników zwłaszcza w centralnej części kraju. Opozycyjni politycy, w tym także członkowie Rady Narodowej, zdawali sobie sprawę ze strat, jakie ponoszą opowiadając się za bezkompromisowością. Widzieli, że pozbawiają się poparcia tych grup, o które rozpoczynała się właśnie walka. Część Rady opowiedziała się za współpracą z komunistami-reformatorami, część — odrzuciła tę możliwość.

Szansę na ponowne zjednoczenie sił dało wprowadzenie stanu wyjątkowego 19 sierpnia. Szczególnie sprzyjające okazały się okoliczności, które na Ukrainie towarzyszyły kremłowskiemu przewrotowi. Przypominał on próbę generalną lub ćwiczenia wojskowe z ostrą bronią, dające doskonałą okazję do sprawdzenia się w sytuacjach nadzwyczajnych. Przekonano się, że przy sprawnie działającej łączności, przy obecności wszystkich przywódców opozycji i działaniu istniejących rad koordynacyjnych, rozproszone siły demokratyczne są w stanie się zjednoczyć, choćby tylko dla wydania wspólnie kilku komunikatów. W taki sposób skrytykowano powściągliwość Krawczuka w potępieniu puczu oraz określono, w jakiej sytuacji cała ludność Ukrainy zostanie wezwana do rozpoczęcia strajku. Zajęcie takiego stanowiska nastąpiło pośrednio — paradoksalnie — dzięki działaniu wyczekującego Krawczuka, który między innymi do Rady zwrócił się z prośbą o opinię o stanie wyjątkowym uzyskując odpowiedź jednoznacznie potępiającą zamach.

Krawczuk starał się jednak za wszelką cenę utrzymać władzę. Już 24 sierpnia przegłosowano w Radzie Najwyższej, przy dużym udziale komunistów, wniosek o uznanie niepodległości Ukrainy (gdy piszę te słowa, nie wiem jeszcze, czy wynik ten na

pewno zostanie potwierdzony 1 grudnia w ogólnonarodowym referendum), a następnego dnia zapadła na tym samym forum decyzja o przejęciu przez państwo całego znajdującego się w kraju majątku Partii Komunistycznej i Komsomołu. Niezwłocznie podjęto działania zapobiegające niszczeniu kompromitujących dokumentów. 26 sierpnia rozpoczęto we Lwowie pobór ochotników do nowo powstającej ukraińskiej gwardii narodowej. Dzień później uznana została niepodległość Litwy, Łotwy i Estonii, a ministerstwo spraw zagranicznych zobowiązano do rozpoczęcia oficjalnych rozmów, które doprowadzić mają do ustanowienia stosunków dyplomatycznych między Ukrainą a państwami bałtyckimi. Dyplomaci zachodni wyrazili niepokój, że powstające państwo będzie dysponować bronią nuklearną. Natychmiast ogłoszono, iż Ukraina chce znaleźć się w sferze bezatomowej, a cały swój arsenał przekazać Rosji — po czym w październiku z deklaracji tej wycofano się.

28 sierpnia zjawiła się w Kijowie oficjalna delegacja rosyjska. Podpisano komunikat potwierdzający zawartą w listopadzie ubiegłego roku przez Jelcyna i Krawczuka umowę o nienaruszalności granicy między Rosją i Ukrainą. Wyrażono też opinię, że w obu państwach nie mogą już działać struktury sowieckie; po raz pierwszy chyba użyto wtedy określenia „dawny ZSSR”. Ustalone zostały zasady wspólnego działania w wypadku gdyby rozpad Związku Sowieckiego przybrał charakter niekontrolowany.

Najbliższe wybory, jakie odbędą się na Ukrainie w grudniu, to wybory na utworzony w czerwcu tego roku urząd prezydenta. Leonid Krawczuk jest pewnym kandydatem. Obecnie to on przede wszystkim realizuje na Ukrainie program przemian dokonujących się tak nagle w rozpadającym się Kraju Rad. Zmierzają one oczywiście w kierunku uznawanym przez demokratów za słuszny, wcześniej jednak nie akceptowanym, a teraz przechwyconym przez grupę przewodniczącego parlamentu. Zachodzi więc obawa, że wybrany w grudniu prezydent nie będzie prezydentem inicjatorów tych przemian. Umiejętnie unikając firmowania kontrowersyjnych decyzji — tu zamienna jest jego nieobecność przy wstępnym podpisywaniu umowy nowego Związku Sowieckiego w Moskwie 18 października tego roku — Krawczuk nie traci społecznego *image*, które po wyborach będzie mógł wykorzystać dla krzewienia nowych, niekoniecznie bezpiecznych ideologii. Co więcej, jeśli okaże się, że jego liberalizm był wyłącznie grą, demokracja może zawitać do niepodległej Ukrainy dopiero w przyszłości.

Monika AGOPSOWICZ



## ROSYJSKI KURIER WARSZAWSKI

*Warszawski sąd zarejestrował niezależny tygodnik, adresowany do czytelników rosyjskojęzycznych. Oto, co mówi jego redaktor naczelny, Władimir Kirianow:*

— Pomysł rosyjskojęzycznej publikacji dawno wisiał w powietrzu. Tylko w bieżącym roku przebywało w Polsce 6 milionów sowieckich obywateli, tymczasem w sprzedaży znajdowały się pisma w dowolnym języku, tylko nie w rosyjskim. A ludzie, którzy tu przyjeżdżają, mają niezliczoną ilość pytań. Gdzie się pożywić? Jak wymienić pieniądze? Co ile kosztuje? Co przywieźć do Polski i co z niej wywieźć? Czy istnieje realna szansa znalezienia pracy w miejscowej firmie albo w chłopa? Czy można w aptece zamówić lekarstwo na sowiecką receptę? Czy zaryzykować grę w kasynie? Jak należy zwracać się do Polaków? Co musi wiedzieć turysta zmotoryzowany?

— *Innymi słowy, będziecie informowali sowieckiego turystę?*

— To niewątpliwie będzie naszym głównym zadaniem. Będziemy jednak również zaznajamiać czytelników z historią Polski, stanem jej gospodarki, finansów, życia politycznego, tradycjami. Będziemy pomagać w nawiązywaniu kontaktów między przedsiębiorcami z obu krajów — zamieszczać reklamy, pośredniczyć w stosunkach handlowych. Przecież każdy porządny partner zza granicy to prawdziwy skarb. I na odwrót — bynajmniej nie każda firma godna jest uwagi przybyłego ze wschodu przedsiębiorcy. Ekspersi gazety pomogą mu się zorientować także w tej dziedzinie.

— *To brzmi już jak propozycja współpracy pod adresem sowieckich przedsiębiorców.*

— Bo też liczymy na nią. Uważamy, że zamieszczanie reklam w *RKW* leży w ich interesie, bo zaznajamia polskich przedsiębiorców z ich handlowymi propozycjami. Nawiasem mówiąc możemy rozprzeżnić reklamy po całej Polsce w dowolnym języku.

*Moskowskije nowosti* nr 42, 20.10.1991

Rozmawiał Walerij MASTIEROW

## RATUJMY CERKWIE

Przed ponad rokiem, w związku z podpaleniem osiemnastowiecznej cerkwi prawosławnej na Świętej Górze Grabarce, Społeczna Komisja Opieki nad Zabytkami Sztuki Cerkiewnej Towarzystwa Opieki nad Zabytkami wystąpiła z apelem do społeczeństwa o podjęcie solidarnej zbiórki funduszy na jej rekonstrukcję.

W związku z sytuacją gospodarczą kraju gwałtownie zmniejszyły się wydatki państwa na rzecz kultury, w tym — na ochronę zabytków. W szczególnie trudnym położeniu znalazły się zabytki sztuki cerkiewnej. Wkrótce mimo wstępnego zabezpieczenia może ulec zniszczeniu unikalna drewniana cerkiew w Korczminie z 1658 r. (woj. zamojskie), nie ma funduszy na kontynuowanie remontu pięknej drewnianej cerkwi w Łukowcu z 1701 r. (woj. przemyskie). W cerkwiach w Posadzie Rybotyckiej (z XV w.) i Szczebrzeszynie (z XII/XVI w.) giną odsłonięte i nie poddane konserwacji bezcenne malowidła ścienne. Tylko na terenie czterech województw pld.-wsch. Polski ponad 80 zabytków budownictwa cerkiewnego (cerkwie, kaplice, dzwonnice) wymaga pilnego podjęcia remontów lub prac konserwatorskich (w ok. 30 powinny one być rozpoczęte natychmiast).

Społeczna Komisja Opieki nad Zabytkami Sztuki Cerkiewnej opracowała program ratowania zabytków najcenniejszych, najbardziej zagrożonych, lecz na jego realizację nie ma funduszy. Ministerstwo Kultury i Sztuki cofnęło dotacje, wycofują się z finansowania prac władze terenowe.

W tej dramatycznej sytuacji zwracamy się z gorącym apelem o pomoc i wsparcie do wszystkich, którym nie jest obojętny los cennych zabytków, które są świadectwem różnorodności i bogactwa dziejów i kultury Polski.

**SPOŁECZNY KOMITET OPIEKI NAD  
ZABYTKAMI SZTUKI CERKIEWNEJ**

ZG TOnZ. Kom. Cerkiewna, 00-672 Warszawa, ul. Piękna 44a

PBK III Oddz. w W-wie nr 370015-9700-189-856 (krajowe)  
nr 370015-9700-151-6787 (dewizowe)

Solidaryzujemy się z tym apelem. *Kultura* przekazuje Komisji 5 mln złotych.



## Kronika kulturalna

### Jesienne granie w Warszawie

Zaledwie we wtorek 24 września tego roku w sali Filharmonii Narodowej w Warszawie usłyszeliśmy koncert fortepianowy Stefana Kisielewskiego (grał Marek Drewnowski, Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Śląskiej dyrygował Jerzy Swoboda), a już trzy dni później, w piątek, spadła na nas wiadomość o śmierci twórcy koncertu. W sali warszawskiej Filharmonii tysiąc ludzi powstaniem i minutą ciszy uczciło odejście Kisielewskiego. Potem, na Cmentarzu Powązkowskim, liczba żegnających Go powiększyła się wielokrotnie. Zнали Go wszyscy, był bowiem Kisiel — przede wszystkim — wszystkim innym niż kompozytorem: działaczem politycznym, pisarzem, felietonistą, sumieniem Polaków, narodowym Stańczykiem. Ale kompozytorem też był.

Umierał powoli. Najpierw w wypadku samochodowym zginął Jego syn, Wacek, pianista, partner Marka Tomaszewskiego w słynnym duecie fortepianowym „Marek i Wacek”. Potem odeszła Jego żona Lidia. W szpitalu warszawskim, kiedy już wiadomo było, że nie da rady przyjść do Filharmonii, żeby posłuchać prawykonania swojego własnego koncertu (ale przecież dotrwał do tego dnia, wszyscyśmy tego chcieli; a Telewizja Polska transmisją z sali koncertowej umożliwiła Mu zdalne uczestniczenie w tym wydarzeniu), Marta Ługowska z redakcji *Ruchu Muzycznego* — pisma, które Stefan Kisielewski w 1945 r. założył i którego przez trzy następne lata był redaktorem naczelnym — przeprowadziła z Nim ostatnią rozmowę. Oto jej fragment:

KISIEL: — ... Ravel napisał: „Jakaż to wielka przyjemność poświęcić życie czemuś bezużytecznemu”.

Marta Ługowska: — *Więc muzyka jest bezużyteczna?*

KISIEL: — Tak.

Marta Ługowska: — *A co na przykład z łagodzeniem obyczajów?*

KISIEL: — To bzdury Waldorffa. Muzyka za Hitlera jakoś nie łagodziła obyczajów...

Żeby coś takiego usłyszeć, trzeba się znaleźć nad Wisłą w 1991 roku. Jest w tym Kisielu i echo greckiej postawy wobec sztuki (zajęcie dla ludzi wolnych, nie uprawiających sztuki za pieniądze; praca jest rzeczą niewolników), i francuska *non-chalance* hasła „sztuki dla sztuki” (a jednak mowa jest o „poświęceniu dla niej życia”), i etyczny „łwi pazur” (kto dziś jeszcze argumentuje Hitlerem? — w Europie środkowo-wschodniej może należałoby raczej zapytać, czy za Stalina muzyka „łagodziła obyczaje”), i wyraźne, przedśmiertne, określenie swojego stosunku do Waldorffa („bzdury”), no, może tylko do jednego z jego pomysłów (ale przecież tryb zdania „muzyka łagodzi obyczaje” jest życzący, nie twierdzący; o co więc mogło chodzić Kisielowi naprawdę?).

Ta „bezużyteczna muzyka” (dlaczego wizerunek Chopina umieszczony jest na banknotach Narodowego Banku Polskiego?) może być również na sprzedaż (jak wszystko, po przekroczeniu pewnej bariery wartości, wysokości?). W każdym razie w dobie *high technology* to nie gotowe produkty, lecz raczej myśl techniczna, nie polskie płyty gramofonowe, lecz polscy kompozytorzy okazują się bardziej niezawodnym wytworem *made in Poland*. A w dziedzinie sztuki łatwiej zbyć dzieła pozasłowne — plastyczne, muzyczne — niż wymagające przekładu.

Ale pozostajmy przy formule „bezużyteczności” muzyki, niewątpliwie wygodniejszej od formuły odpowiedzialności za losy Polski i świata. Kierkegaard rozważał kwestię znaczenia estetycznego tego, co etyczne i etyczne tego, co tylko estetyczne. Odwagę cywilną określił Hemingway jako *grace under pressure* — elegancję zachowywaną w sytuacjach trudnych. Kisiel, jak wiadomo, i tak jedno mówił, a swoje myślał. Gombrowicz też.

Ostatni koncert Stefana Kisielewskiego miał miejsce jesienią tego roku w Warszawie podczas Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień”, odbywającego się już po raz 34-ty. Śmierć, przeciw niespodziewana, 80-letniego Kisielewskiego miała swoją godną, od dawna planowaną oprawę. Przygotowanie festiwalu tej miary — 10 dni, 28 koncertów, 121 utworów 85 kompozytorów — trwa rok, a nawet dłużej. Tymczasem była Kostucha obecna w tekście lub w kontekście wielu utworów prezentowanych na tegorocznej „Warszawskiej Jesieni”.

(Świętowanie umarłych? Czy to polska barwa narodowa w dolinie Jozafata, czy smutny nawyk nabyty w czas niewoli? Karol Szymanowski mawiał, iż u nas trzeba najpierw spocząć na Skalce, żeby zauważono, że ktoś był godzien uwagi.)

W piątkowy wieczór 20 września 1991 r. Krzysztof Pende-



recki na zakończenie koncertu inauguracyjnego festiwalu poprowadził wykonanie XIV Symfonii Dymitra Szostakowicza, 11-to częściowej. Część pierwsza i druga do słów Frederico Garcii Lorki: DE PROFUNDIS; część druga: MALAGUENA („Cień śmierci wchodzi, pierzcha...” — przekład polski Janusza Strassburgera); części od trzeciej do ósmej do słów Guillaume Apollinaire'a: LORELEI; część czwarta: SAMOBÓJCA; część piąta: OCZEKUJĄCE; część szósta: OCZEKUJĄCE II; część siódma: W WIĘZIENIU SANTE; część ósma: ODPOWIEDŹ KOZAKÓW ZAPOROSKICH SUŁTANOWI W KONSTANTYNOPOLU; część dziewiąta do słów Wilhelma Küchelbeckera, rosyjskiego poety-dekabrysty („O, cóż, Delwigu, cóż nagrodą / Szlachetnych czynów, wierszy dumnych? / O, cóż talentu jest osłoda / wśród łotrów i wśród bezrozumnych...” — przekład Adama Pomorskiego); część dziesiąta i jedenasta do słów Rainera Marii Rilkego: ŚMIERĆ POETY; część jedenasta: ZAKOŃCZENIE („Dojrzała śmierć / My to jej krzywe / w uśmiechu wargi...” — przekład A. Pomorskiego).

Wszystkie te wiersze śpiewali w Warszawie pięknie po rosyjsku Makwała Kasraszwiłi, sopran (Gruzinka, solistka moskiewskiego Teatru „Bolszoj”) i nasz Romuald Tesarowicz (wychowanek szkoły muzycznej w Zielonej Górze). Prawykonanie XIV Symfonii Szostakowicza odbyło się w 1969 r. prawie równocześnie w Leningradzie i Moskwie. Śmierć jako taka — a nie „Śmierć pod Stalingradem” — nie była dotychczas tematem, któremu twórcy w Rosji sowieckiej poświęcali swe dzieła. Urzędowo nakazany był optymizm i wiara w „lepsze jutro”.

6 października 1969 r. „cała Moskwa” przyszła posłuchać XIV Symfonii Szostakowicza, o której niosła już wieść gminna (publiczne wykonanie poprzedziło 60 prób!). Na koncercie obecni byli (jak podaje Krzysztof Meyer w omówieniu tego utworu, zamieszczonym w książce programowej „Warszawskiej Jesieni”): Aram Chaczaturian i Dymitr Kabalewski, Edison Denisow i Sergiusz Słonimski, Kirył Kondraszyn i Mściśław Rostropowicz, Aleksander Sołżenicyn, Eugeniusz Jewtuszenko i Lili Brik.

Muzycy, jak widać, czytają poetów. By ograniczyć się do wymienienia tylko kilku utworów wokalnie-instrumentalnych spośród zaprezentowanych na tegorocznym festiwalu: Schönberg czytał Alberta Giraud w niemieckim przekładzie Otto Ericha Hartlebena i powstał z tego cykl „Pierrot lunaire” (1912); Lutosławski czyta Roberta Desnos i powstaje z tego cykl pieśni „Chantefleurs et Chantefables”, w tym roku prawykonany (najpierw w Londynie, potem w Warszawie). Rafał Augustyn, 40-letni kompozytor i filolog polski z Wrocławia, czyta „polskich poetów metafizycznych” XVI i XVII wieku: Daniela Naborow-

skiego, Zbigniewa Morsztyna, Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego, Stanisława Herakliusza Lubomirskiego oraz Hieronima Jarosza Morsztyna. I powstaje z tego cykl pieśni na sopran, fortepian i altówkę zatytułowany „Carmina de tempore”. Choć pierwszych pięć pieśni tego cyklu nie stroni od eksperymentu wokalnego, do szóstego tekstu, krótkiego memento ostatniego z wymienionych autorów, pisze Augustyn piękną, spokojną melodię chorałową. Oto ten Morsztyn kunsztownie zaśpiewany przez Henrykę Januszewską:

*Wszystko idzie za czasem,  
Jam żyw, a śmierć za pasem.  
Jeden w łódź, drugi z łodzi,  
Ten kona, ów się rodzi...*

Ale to był już „ósmo dzień tygodnia” festiwalowego. Wróćmy jednak do dnia pierwszego, by wyjaśnić, że przecież większość spośród 121 utworów wykonanych podczas 34-tej „Warszawskiej Jesieni” zaliczyć należałoby raczej — mówiąc po staroświecku — do muzyki absolutnej: obywatelkiej się bez tekstów, programów i „wulgarnego wyrażania uczuć” (powiedziałby Ravel). A więc do kategorii „muzyki wolnej” — takiej na przykład, jak Stefana Kisielewskiego koncert fortepianowy.

Ale i ta muzyka nie uniknie śmierci (jako takiej). Zaledwie kilka tygodni temu zmarł w Anglii Andrzej Panufnik, znakomity polski kompozytor, neoklasyk. W 1990 r. „śmierć za pasem” zabrała nam 69-letniego Andrzeja Dobrowolskiego (zmarł w Graz, w Austrii) i 39-letniego (wiek chopinowski) Andrzeja Krzanowskiego. Od wykonania II Symfonii tego ostatniego — przez orkiestrę Sinfonia Varsovia pod batutą Krzysztofa Pendereckiego — rozpoczął się w tym roku cały festiwal. Odszedł również przyjaciel Polski, włoski kompozytor Luigi Nono (66 lat). Łatwo powiedzieć: ba, włoski komunista! Ale któryż to drugi kompozytor światowej sławy, jedna z kluczowych postaci nowej muzyki drugiej połowy naszego stulecia, nie Polak, zechciał potraktować Warszawę czy Kraków jako coś więcej niż dworzec, hotel i salę koncertową? Nono, kilkakrotnie goszczący w naszym kraju — także „nielegalnie”, spotykając się z solidarnościowym podziemiem — w 1958 r. skomponował swoje pierwsze „Diario polacco '58”. W 1982 r., pod wrażeniem wprowadzonego w Polsce stanu wojennego, napisał wokalnie-instrumentalne „Diario polacco II” o podtytule „Quando stanno morendo”. Oto dedykacja tego utworu: „polskim przyjaciółom i towarzyszom, którzy na wygnaniu, w podziemiu, w więzieniach, w swoich miejscach pracy — trwają w oporze; zachowują nadzieję, choć jej nie ma i wierzą, choć są niewierzący”. Na tego-



rocznym festiwalu miał Nono sobie poświęcony koncert monograficzny. *Concert posthume*.

Wieczór wtorkowy dnia 24 września 1991 r. w Filharmonii Narodowej w Warszawie był miejscem wydarzenia od dawna planowanego i oczekiwanego nie tylko ze względu na wykonanie koncertu Kisiela, innego jeszcze utworu Andrzeja Krzanowskiego („Canti di Wratislavia” na orkiestrę) oraz utworu Krzysztofa Baculewskiego „A Walking Shadow” (na małą orkiestrę symfoniczną), lecz także z powodu zamieszczenia w drugiej, „nie-laickiej” części koncertu oratorium „Języki ognia” kompozytora greckiego (a jakże, również przedwcześnie zmarłego w wieku 44 lat) Jani Christou. Nie, nie chodzi tu o płomienie piekielne, lecz o cud Zesłania Ducha Świętego opisany w „Dziejach Apostolskich” (rozdz. II):

„Znajdowali się wszyscy razem na tym samym miejscu. Nagle dał się słyszeć z nieba szum, jakby uderzenie gwałtownego wichru, i napelił cały dom, w którym przebywali. Ukazały się im też języki jakby z ognia, które się rozdzieliły i na każdym z nich spoczął jeden. I wszyscy zostali napelnieni Duchem Świętym, i zaczęli mówić obcymi językami”.

Toż to gotowy scenariusz muzyczny! „Wszyscy” — to chór (i orkiestra); a do tego „szum z nieba”, „mówienie językami” itd. Christou nie trzyma się jednak „literary Pisma”. Próbuje zobrazować muzycznie i zinterpretować teologicznie (podług zasad wiary „prawosławnej” obrządku greckiego) nie to, co jest w księgach biblijnych, lecz to, co jest pomiędzy nimi. Wprowadza w swoim oratorium postaci z finalnych scen Ewangelii: Jezusa, matkę Boską, uczniów spotkanych po drodze do „miasteczka Emaus” oraz Marię Magdalenę, która pierwsza rozpoznaje Jezusa zmartwychwstałego.

Chrześcijaństwo misyjne („języki”) rozpoczęło się na obszarze greckiej *koine*. Christou mieszkał na wyspie Chios. Głównym bohaterem tego oratorium jest „zgrupowanie wiernych”. Zielonoświątkowy cud Zesłania Ducha Świętego został tu przedstawiony nie tylko jako wydarzenie wspaniałe, ekstatyczne, wyzwalające, lecz również jako wydarzenie przytłaczające. Główne doświadczenie chrześcijaństwa zrodziło się w „bojaźni i drzeniu” — zdaje się mówić Christou.

Oratorium „Języki ognia” miało w Warszawie świetnych wykonawców w osobach śpiewaków greckich: Markeli Hatziano — mezzosopran, Vangelisa Hadjissimosa — tenor i Seyrosa Sakkasa — baryton. Orkiestrą i Chórem Filharmonii Śląskiej z

Katowic dyrygował Jerzy Swoboda. Ale cóż, telewizja Polska, która przysłała transmitować pierwszą część koncertu, ze względu na Kisiela, poszła sobie w przerwie. Odtąd w sali koncertowej Filharmonii Narodowej zapanował smutny półmrok. Ten i ów zapewniał, że mimo to widział wściekłe płomyki ognia nad głowami wykonawców.

Inne „słyszenie” liturgii dał Dieter Schnebel, kompozytor z Berlina Zachodniego, teolog ewangelicki, który w zgodzie z własnym wyznaniem zachęcał do „powrotu do Biblii”. A jednak msza przez niego skomponowana — „Dahlemer Messe” — została napisana nie podług przekładu Biblii Marcina Lutera, lecz podług tekstu łacińskiego, miejscami poszerzonego (w duchu ekumenizmu) o teksty w językach oryginału Pisma Świętego: hebrajskim i greckim, teksty w języku niemieckim, a także pojedyncze słowa w kilku innych językach (w tym także w języku starocerkiewno-słowiańskim).

Skąd są zaczerpnięte teksty mszalne? Schnebel odpowiada:

„Okrzyk *Kyrie eleison* pochodzi z historii o Jezusie uzdrawiającym, gdzie chorzy i ułomni błagają o zmiłowanie; radosne okrzyki *Gloria* wywodzą się z historii o Bożym Narodzeniu; serafickie śpiewy *Sanctus* rozbrzmiewają w wielkiej wizji Boga przekazanej przez Izajasza; krzyki *Hosanna* zrywają się podczas wjazdu do Jerozolimy, a jako 'Baranka Bożego, który gładzi grzechy świata' wita Jezusa Jan Chrzyciel”.

Jak więc widać, tworzywem akustycznym incipitów podstawowych części mszy był krzyk. „Dahlemer Messe” jako jeden ze środków stosuje rozkomponowany krzyk, ale również i inne, oryginalne sposoby emisji głosu: oddechy, syki itp. W muzyce — od Wagnera — często się krzyczy. Ale krzyk krzykowi nierówny. Za 90 minut muzyki w pełnym kościele ewangelickim w Warszawie przy Placu Małachowskiego (w wykonaniu potężnego zespołu solistów, chórów i orkiestry z Niemiec, którymi dyrygował Zoltán Peskó) publiczność podziękowała 8 1/2 min. trwającymi oklaskami.

Nie należy przecież sądzić, że festiwal „Warszawska Jesień” jest imprezą „parafialną”. Choć w jego ramach wykonane zostały wszystkie ważniejsze utwory religijne Krzysztofa Pendereckiego („Psalmus 61”, „Stabat Mater” 1964, „Passio et mors Domini nostri Jesu Christi secundum Lucam” 1966, „Dies irae” 1967, „Jutrznia” 1971, „Canticum Cantico Salomonis” 1974, „Przebudzenie Jakuba” 1975, „Raj utracony. Sacra rappresentazione” 1979, „Te Deum” 1981, „Agnus Dei” 1983, „Polskie Requiem” 1984), choć dostojnym gościem festiwalu był w 1989 r. Olivier Messiaen, w którego obecności wykonane zostały fragmenty jego monumentalnej opery „Święty Franciszek z Asyżu”, choć co roku niektóre koncerty festiwalu odbywają się



w kościołach (np. w katedrze św. Jana w Warszawie wykonany został cykl organowy „Livre du Saint Sacrement” Messiaena) — była i jest „Warszawska Jesień” doroczną wizytówką Związku Kompozytorów Polskich, imprezą demokratycznie zrównoważoną, być może jednym z nielicznych w Polsce miejsc „dobrze rządzonych”. Przed narodowo-patriotyczną przesadą chroni festiwal ten od lat trafna proporcja utworów „własnych” i „cudzych”. W tym roku na 85 kompozytorów zaprezentowanych na „Warszawskiej Jesieni” większość, 51, była spoza Polski. Nietawo znaleźć w Europie drugi taki festiwal, którego celem mniej czy bardziej jawnym nie byłoby „popisanie się przed światem” (międzynarodową publicznością, *mass media*) przede wszystkim własną twórczością muzyczną. Festiwal „Warszawska Jesień”, zainicjowany w 1956 r. na fali poststalinowskiej „odwilży”, nie był przecież nigdy „prorzadowy”, choć bywał „propagandowy”. Dawna „Rzeczpospolita wielu narodów” znajdowała na nim zawsze swoją godną reprezentację.

Festiwal, dziesięciodniowe święto, pokaz pluralistycznej oferty, przybliżając świat do nas jest zarazem doroczną szkołą kompozytorską. Dla młodych, polskich twórców — Krzysztofa Pendereckiego, Henryka Mikołaja Góreckiego, Witolda Szalonka, Pawła Szymańskiego i tylu innych — „Warszawska Jesień” stała się miejscem startu do ich międzynarodowych karier. Kryterium decydującym tego festiwalu nie jest zatem publiczność. Nie można zresztą oczekiwać, żeby trzy lub nawet cztery razy dziennie przez dziesięć dni z rzędu sale festiwalowe były wypełnione po brzegi. A jednak i to się zdarza.

W tym roku największą publiczność miał ostatni, finałowy koncert „Warszawskiej Jesieni”, w którego programie znalazły się najnowsze utwory Witolda Lutosławskiego. Orkiestrą Sinfonia Varsovia dyrygował kompozytor. „Cała Warszawa” przyszła zobaczyć „swojego Lutosa”: kompozytora wybitnie warszawskiego, laureata nagrody „Solidarności” podziemnej za rok 1984, doktora *honoris causa* wielu uczelni na świecie, twórcy kilkudziesięciu wspaniałych dzieł muzycznych. W tym roku usłyszeliśmy trzy polskie prawykonania jego utworów: „Partity” na skrzypce i orkiestrę (grał Krzysztof Jakowicz), „Interludium” na orkiestrę oraz wspomniane już wyżej pieśni „Chantefleurs et Chantefables” do słów Roberta Desnos, na sopran i orkiestrę (śpiewała po francusku młodziutka Solveiga Kringlebotn z Norwegii). Z 80 krótkich wierszy o kwiatach, zwierzętach i ptakach pióra Roberta Desnos, poety francuskiego, który zginął w 1945 r. w Theresienstadt, wybrał Lutosławski i umuzyczył dziewięć.

Motyle, róże, aligatory i śmierć. Jej cień. O odejściu Kisiela dowiedzieliśmy się przed wieczornym koncertem w piątek, 24 września, tym samym koncertem, na którym — co od dawna by-

ło wiadome — wykonane było instrumentalne „Requiem”: „Two Dreams of Life and Death” na 17 smyczków, utwór Edwarda Pałlasza napisany w 1987 r....

Oto ostatnie zdania, jakie Kisiel powiedział „Warszawskiej Jesieni”, wydrukowane w książce programowej festiwalu, w odautorskim komentarzu do Jego koncertu fortepianowego:

„Zobaczymy — powiedział ślepy. Publiczność rzecz oceni. 'Publiczność zawsze ma rację' — to tytuł książki Adolfa Zukora, jednego z twórców Hollywoodu”.

Ostatnie zdanie, jakie Kisiel powiedział 6 września Marcie Ługowskiej z „Jego” *Ruchu Muzycznego* (w wywiadzie opublikowanym w 3 numerze Biuletynu festiwalowego „Warszawskiej Jesieni” 1991) brzmiało:

„Może to będzie kłapa, więc lepiej, żeby mnie tam nie było...”

Chodzi o muzykę.

Antoni BUCHNER

## Interarmizm i modyzm

Proponuję dwa nowe terminy literackie, które może nie wspomogą literatury naszej narodowej, ale pozwolą wyjaśnić pewne zachodzące w niej zjawiska. Odnoszą się zresztą także do innych gałęzi działalności twórczej: do sztuk plastycznych, teatru, filmu, ba, nawet do muzyki. I odnoszą się ponadto nie tylko do Polski (względnie Polaków) lecz mają powszechny zasięg. Tyle że u nas szczególnie się wyraźnie manifestują.

Najogólniej: chodzi o pewien prowincjonalizm, to może za ostro powiedziane, lecz pewną peryferyjność naszej kultury. Jesteśmy narodem średnim, żyjemy w kraju niezbyt zamożnym, mamy rozmaite dziejowe zaszłości przejawiające się w urazach, fobiach i zarazem ciągotach. Być może większość narodów średnich i mniejszych ma sytuację zbliżoną, ale u nas występuje nasilenie owych zjawisk niezupełnie normalnych, a w każdym razie utrudniających nam znalezienie się na czubku. Jest to być może w ogóle niemożliwe, zważywszy że tam te miejsca okupują mocarstwa w sensie materialnym czy kulturalnym: trudno nam konkurować z Amerykanami, Rosjanami, a nawet z Francuzami, choć nad Sekwaną kogucia gwiazda światowego przywództwa kul-



turalnego wyraźnie przybladła. No ale talenty Opatrzność rozsiewa trochę na oślep: nigdy nie wiadomo, gdzie eksploduje kulturalna bomba, bywało bowiem, że eksplodowała nie w żadnych metropoliach, ale właśnie w średnich państewkach: Grecji, księstwie toskańskim, Flandrii itd. Nie można więc *a priori* odrzucić tej możliwości, że erupcja (niekoniecznie politycznej głupoty, jak to obserwujemy obecnie) nastąpi kiedyś nad Wisłą oraz w emigracyjnych dependencjach.

Cechą szczególną naszej literatury jest niewątpliwie jej permanentna służebność: patriotyczna, społeczna, ideowa, wyznaniowa itd. To samo dotyczy oczywiście sztuk widowiskowych, a w zmniejszającym się stopniu sztuk plastycznych, muzyki, a nawet architektury. *Inter arma silent musae* — stąd ulepiony termin, przy czym rzecz traktuję metaforycznie: nie tylko wojny przytłumiają głosy muz, lecz także rozmaitego rodzaju stressy, polityczne napięcia, w wyniku czego mamy permanentną twórczość „zaangażowaną”, by użyć tego źle się kojarzącego określenia.

Prześladuje nas od dawna angażowanie się twórców, czy to z przyczyn presji społecznych, czy też z własnej predyspozycji; przyczyny nie są tu tak ważne. W wyniku owego „zaangażowania”, podejmowanego choćby w najlepszych intencjach, powstają dzieła w jakimś stopniu skażone, ponieważ zakorzenione w realiach ograniczonych terytorialnie, mentalnie i językowo. To, że artyści ulegają pewnemu wessaniu w sytuację swego czasu i miejsca — samo przez się nie jest jeszcze złe. Zło zaczyna się dopiero wtedy, gdy efektem owego wessania staje się zatrata szerszych horyzontów, kiedy wypacza się refleksja, która winna poddawać się emocjom w jakimś tam stopniu, ale nie bezwarunkowo. Zaczyna się proces peryferyzacji kultury i traci ona siłę ekspansywną, stanowiąc w najlepszym razie przedmiot obserwacji z zewnątrz, a nie zainteresowania.

Pozostawmy jednak na chwilę słońca pospołu z jego sprawą polską w spokoju. Aby przyrzeć się zjawisku w szerszej perspektywie, należy zastanowić się nad drogą artysty do wolności. Od późnego średniowiecza zaczął on sobie wyraźnie torować drogę wzwyż: jeżeli w katedrze praskiej w galerii tryforyjnej w skład portretowych popiersi fundatorów i współtwórców wprowadzeni zostali obaj kolejni architekci, sąsiadując z podobiznami cesarza, jego żon i syna, to o czymś to świadczy — a rzecz działa się w drugiej połowie XIV w. W tym samym czasie genialny Claus Sluter wykonał w portalu kaplicy opactwa w Champmol pod Dijon portrety klęczących fundatorów naturalnej wielkości. To też o czymś świadczy, bo tympanon fundacyjny i portret znane były już epoce romańskiej, tyle że doczesność bywała w tych przedstawieniach pomniejszana i spychana na margines. Przy-

pominam te fakty dobrze znane (ale raczej historykowi sztuki niż nieprzygotowanym odbiorcom), bowiem chciałbym wyraźnie podkreślić pewne powszechne przekłamanie: renesans proces ten doprowadził tylko do pewnego apogeum (oczywiście apogeum renesansowego); artysta stał się uczestnikiem społecznej drabiny na szczeblu znacznie wyższym, niż dopuszczała struktura feudalna. W tym też zaznaczył się powrót do tradycji antycznej, gdzie — zwłaszcza w humanistycznych środowiskach Grecji i Rzymu — twórca (a szczególnie literat) zażywał czci i honorów.

Niemniej pewnego rodzaju służebność, najczęściej związana z mecenatem, trwała nadal i trzeba było dopiero Oświecenia a zwłaszcza romantycznych czy wszelakich innych fermentów minionego stulecia, by zaczął się drugi etap wyzwolenia, prowadzący do odrzucenia (przynajmniej teoretycznie) wszelkich służebności na rzecz instytucji, osób czy grup. „Przekłęci poeci” i artystyczna cyganeria rozpoczęły swą kontestację raczej groteskowo: poprzez poddasza, knajpy, ubóstwo kompenzowane dumą. I jak to się nieraz zdarza, sytuacja początkowo „niepoważna” stała się z biegiem czasu „groźna”. Społeczeństwo obserwowało ją początkowo nieufnie, długowłosego artysta w pelerynie oszałamiał przysłowiowego *bourgeois*, najbardziej konserwatywne środowiska przyglądały się temu jako erupcji rozpusty i rewolucjonizmu, przy czym głównie przed tym pierwszym należało strzec potomstwo. Zwłaszcza płci dziewiczej.

Ale nawet z łóż burżuazji, przede wszystkim zaś ze świata arystokracji krwi i arystokracji ducha, owemu przyglądaniu się towarzyszyła pewnego rodzaju sympatia, lub miła ekscytacja. Dobrze było mieć swego własnego szlachetnego dzikusa, co przywraca naturalność przerafinowanej i oderwanej od natury epoce, albo szlachetnego rozbójnika, który wprawdzie rabuje, ale przede wszystkim po to by rozdawać biednym, żyje bowiem bardziej powiewem wolności niż mamoną. Artysta stał się pasterkim i pasterką zarazem wieku pary i elektryczności.

Samym jednak artystom nie wystarczała na stałe pozycja głodomora, niezbędnie trawionego głodem (czy raczej pragnieniem) i gruźlicą. I dokonał się za obopólną zgodą, artystów i społeczeństwa, kolejny awans: do pełnej niezależności twórczej i do godnych warunków egzystencji. Emisariuszami dobrobytu stali się marchandzi, wydawcy, impresaria. Artyści nie zauważyli tego drobiazgu, że wyzwalając się z gestii możnych tego świata, popadli w zależność od zamożnych tego świata. Niby zaczęła się wolność, sztuka dla sztuki, ale rozpadł się mecenat. Mecenat — czyli wpływ zamawiającego (fundatora) na ostateczny kształt, a przede wszystkim zawartość dzieła, tworzył z jednej strony kręgi zamknięte (pałace, rezydencje miejskie) ale z drugiej — zwłaszcza poprzez kościoły — otwierał się dla każdego człowieka, któ-



ry chciał wkroczyć we wrota świątyni. Łabędzi śpiew mecenatu stworzył w późnej fazie baroku dzieło idealnie zespolone (*Gesamtkunstwerk*), gdzie od architektury po drobiazgi złotnicze czy hafciarskie, wszystko składało się w jednorodną polifoniczną całość.

W miejsce mecenatu pojawiła się galeria, muzeum, kolekcja. Pojawił się kolekcjoner i koneser, który podziwiał i nabywał dzieła sztuki oferowane mu już jako dzieła skończone. Coraz rzadziej trafiali się tacy nabywcy, którzy artyście potrafili cokolwiek podszepnąć. Jeśli zamawiano, to przede wszystkim portrety.

U nas powszechnie, a w moim przekonaniu zupełnie bezpodstawnie, mówi się nieustannie o mecenacie państwowym. Jest to pojęcie absurdałne, bowiem mecenat może uprawiać wyłącznie świadoma swych celów jednostka, a nie byt instytucjonalny, a tym bardziej urzędnicy. Byt takowy i działający w jego strukturze system administracyjny może dawać artystom zlecenia, ale nie polecenia, bowiem we wzajemnym stosunku artysta-państwo zaczyna się gubić element niezwykle doniosły, lecz nieprecyzyjny i nie dający się zdefiniować: gust, który jest sprzężeniem doświadczenia i wycucia.

Zamiast „mecenatu państwowego” powstaje zawsze — w demokracji — pewna ilość zleceń (czasem niezwykle doniosłych), których realizację bierze na siebie całkowicie sam twórca lub wybrane *ad hoc* grono (jury), jest to więc wspieranie tzw. rodzimej twórczości albo realizacja pewnych zamierzeń w efekcie propagandowych. W dyktaturach mamy do czynienia z czymś zupełnie odmiennym: z narzucaniem także formy, a ponieważ dyktatorzy mają zazwyczaj bardzo zły gust i sztukę traktują wyłącznie instrumentalnie, skutki są opłakane, czego dowodem zbliżająca się do propagandowego kiczu sztuka hitlerizmu walcząca z *entartete Kunst*, a przede wszystkim socrealizm: czy sta już propaganda podstylizowana na ludowo („narodowa w formie”).

Ale uwaga! Element propagandy sam w sobie nie jest czymś, co musiałoby niezbędnie niszczyć sztukę. W wielu przypadkach był dźwignią twórczości. Zawsze mnie drażniło, że podczas Soboru Watykańskiego II zastąpiono bardziej eufemistycznym nazwaniem dawną *Congregatio Propaganda Fidae*. Rozumiem, że Goebbels i Zdanow dostatecznie obrzydli sam termin, tylko że on jest grubo od nich starszy i oznacza po prostu cel wysiłku twórczego, cel pozaestetyczny wyłącznie. Propaganda stała na usługach wyznań i władz, narodów, społeczeństw i grup społecznych, idei i wizji. Nawet „sztuka dla sztuki” zakłada (niejawnie) pewne minimum tego dążenia: autopropagandę. A w końcu to, czym się szczególnie szcycimy:

literatura romantyczna (trzech wieszczów i Norwid), malarstwo Matejki i wielu innych twórców przełomów stuleci, architektura II Rzplitej i wiele innych jeszcze przejawów polskiej twórczości to niejako czysta propaganda. Tyle, że dobrze zrobiona. O to jedno „tyle” w moich uwagach właśnie chodzi.

Nie jestem bowiem przeciwny samemu zaangażowaniu, które czasem staje się stymulatorem dzieł wybitnych, nie jestem też przeciwny pewnemu stopniu służebności i wcale nie jestem zwolennikiem nieograniczonej wolności twórcy, założenie bowiem owego nieograniczenia jest taką samą fikcją i zwrotem retorycznym jak wiele innych, będących w stałym obiegu. Z wolnością, niepodległością i — zwłaszcza — równością włącznie.

I tu znów zostałem zepchnięty w nasze rodzinne opłotki, czas więc zastanowić się, dlaczego — o ile służebność i zaangażowanie nie są same w sobie zabójcze dla sztuki — interarmizm *à la polonaise* jest taki jaki jest: jeśli nie wręcz prowincjonalny, to jednak naznaczony peryferyjnością? Czyżby cele, idee były nad Wisłą gorsze, mniej ważne? Można stwierdzić, że u schyłku bieżącego stulecia Polska, pozostając we wszystkim nieomal w tyle za innymi krajami Europy, wyzwoliła się z peryferyjności swych politycznych dokonań: od polskiego sierpnia (a może nawet października i marca), aż po zawałenie się berlińskiego muru (czyli systemu demoludów) i Związku Sowieckiego, Polska odegrała rolę wiodącą i nie czas teraz rozważać problemu, czy aby tego własnego sukcesu dziś nie marnuje, czy samochcąc nie peryferyzuje się wewnętrznymi spięciami i szaleńcym zbiorowym wyścigiem do władzy. Ale to już całkiem inna sprawa.

Natomiast z punktu widzenia tych rozważań zasadnicze znaczenie ma próba oceny, czy wybicie się na świat i Europę przyniosło wraz z sobą europeizację, czy uniwersalizację polskiej literatury i sztuki? Ja na to pytanie odpowiedzieć nie potrafię, uważam zresztą, że brakuje dla takiej oceny perspektywy do wydarzeń i dzieł, mogą wstydliwie wyrazić przypuszczenie, że tego właśnie w naszym dorobku twórczym zabrakło.

Może powyższe przyda się zilustrować kilkoma przykładami. „Wesele” Wyspiańskiego zdało egzamin historyczny: jest to sztuka wybitna, od niezadługo stu lat formująca umysłowość Polaków. Ale tylko Polaków: dla czytelnika i widza, im dalszy będzie od naszych krakowskich zaułków, tym mniej zrozumie, a zatem nie wczuje się w ów ideowy przekaz, który pozornie banalny opis banalnego wesela ma nam do przekazania. Dopiero bardzo udana filmowa transkrypcja Wajdy potrafiła sztukę przybliżyć także obcokrajowcom. Nie na tyle jednak, by mogli się nią głębiej przejąć. Z drugiej strony Faulkner, tkwiący w realiach największego zadupia Stanów Zjednoczonych, zsyntetyzowanego w fikcyjnym hrabstwie Yoknapatawpha CO. I zarazem



przekaz ideowy, z wyjątkiem dwóch czy trzech powieści, dość ograniczony. Wielki pisarz ma jednak ów uniwersalistyczny sposób dostrzegania spraw głębokiej prowincji i z prowincji tej pisarstwem swoim się wydobywa. W gruncie rzeczy w naszym stuleciu u nas chyba tylko Gombrowicz, a w jakiejś mierze i Bruno Schulz potrafiliby się wyzwolić z interarmizmu, chociaż wcale nie odrzucali swych własnych realiów: „Warszawki”, polskiego dworku czy galicyjskiego getta. A Mali Mistrzowie holenderscy z XVII w. malowali nudnawe krajobrazy polderów, banalne scenki z życia miast tej kupieckiej republiki i byli — z naszego punktu widzenia — wielkimi mistrzami z gwiazdą Vermeera w zenicie.

I jeszcze jedna sprawa — peryferyjność, prowincjonalizm nie musi dotyczyć tylko prowincji i peryferiów — może się pojawić w wielkich metropoliach. Sue cieszył się niegdyś wielką sławą, jako biegły autor „powieści felietonowych”, ale Paryż uniwersalny pojawił się dopiero u Zoli i Prousta — jakże odmiennie i zarazem jak nieprowincjonalnie. Prowincjonalni malarze malują „dla burżuazji” wygłaskane widoczki Wyspy św. Ludwika, zabytki Florencji czy warszawską Starówkę, ale dopiero nieurodzliwe uliczki Paryża w wydaniu Utrilla nabierają kształtu wizji uniwersalnej.

Wydaje mi się więc, że tajemnicą słabości interarmizmu jest problematyka zbyt zwężona językowo, narodowo czy wręcz srodowskowo. Wymiar uniwersalizmu i *humanitas*, który — aby nim być — musi się wyrzekać wszelkiego partykularyzmu widzenia, a nie okoliczności. Znaczy to, że nawet w najbardziej partykularną (inaczej: peryferyjną, prowincjonalną czy w naszym konkretnie przypadku zaściankową) scenerię wpisane tematy mogą stać się tematami uniwersalnymi. I nie będę nawet usiłował wyjaśniać, jak tego dokonać, bom nie wariat, by zastępować twórców. Do tego potrzebne jest ich własne widzenie i rozumienie spraw. No i jeszcze coś, co już tylko od Opatrzności zależy: ranga przydzielonego talentu.

Nie ma co więc dzisiaj zwać wszystkim na trudności (a już z pewnością nie „obiektywne” — bo to jeden z kwiatusków nowomowy minionego okresu), bo geniusz, ale — podkreślić warto — geniusz świadomy przebija się w najtrudniejszych warunkach. Przedstawicielom obu wielkich emigracji wcale nie było łatwiej niż dziś chucherkom dziejowych zawieruch. Oczywiście, że pewien komfort jest sztuce przydatny: w uspokojeniu i dostatku lepiej rozkwita, ale nie ten fakt sam przez się jest sprawcą zjawiska rozkwitu, a jego brak — interarmizmu.

Ale z przeciwnej strony owego interarmizmu wyrasta drugie, mniej może doniosłe, ale też znaczące zjawisko: proponuję nazwać je modyzmem. Dotychczas posługiwano się do znudzenia

parą przeciwstawnych, to znaczy zabarwionych pozytywnie i negatywnie pojęć: internacjonalizm i kosmopolityzm. I dobrze: oba te terminy powinny w naszym słownictwie pozostać, co najwyżej odpowiednio przewartościowane. Modyzm będzie w odróżnieniu od nich oznaczał postawę odbarwioną z politycznych czy ideowych implikacji. Modyzm jest po prostu dążeniem, by przejmować wzory bez głębszego zastanowienia i zrozumienia. Wynika z gwałtownego pragnienia, aby być zawsze w przodzie, w pierwszej linii, a wobec braku własnej dostatecznej w tym względzie propozycji, przejmuje się cudze, coś tam trochę przerabia i aplikuje — najczęściej jak kwiatek do kożucha. Być w pierwszej linii, a więc w awangardzie. Tu leży klucz do zagadnienia. Mamy do czynienia z różnymi awangardami i spoglądam na nie z perspektywy historyka sztuki jako na fakty historyczne, a więc z pełnym szacunkiem i zrozumieniem. Natomiast istnieje coś — wczoraj, dziś i zapewne także jutro — co też chciałoby być awangardą, ale ta prawdziwa zakończyła już swój żywot i wszelka kontynuacja przestała być możliwa.

Nie ja wymyśliłem kres awangardy: ten obwieszczono — i to dość powszechnie — już znacznie wcześniej. Ja tylko staram się z tego faktu wydobywać konsekwencje. A podstawowa w moim przekonaniu jest ta: do uniwersalnego widzenia świata, do *humanitas* w jej wymiarze powszechności, droga nie prowadzi przez małpowanie. Nie można całej filozofii twórczej opierać na pomysł. Pomysł jest dobry raz i w pomysłu są zjawiskiem dość ograniczonym; najczęściej to, co twórca uważa za pomysł, jest tylko kliszą czegoś, co już było.

Wszelako nie takim ja szalony (jak powiadał Gombrowicz), bym mógł zakładać jakąś absolutną „czystość” twórcy wstępującego w szranki. Niestety, przeminął wiek złoty, a przeminął tak dawno, że samego faktu nikt już nie pamięta. Przy czym „czystość” rozumiem tu jako niewinność wyobraźni, nieskalanej różnymi obciążeniami. Na dobrą sprawę niemal rodzimy się, a z pewnością dochodzimy do rozumu naszpikowani kodami, nafaszerowani inspiracjami. Przez nasz światek wędrują klisze, toposy, wzorce. Warto przypomnieć zabawną niedoszlą aferę, gdy usiłowano zarzucić Camusowi plagiat dokonany w jego sztuce „Nieporozumienie” (*Le Malentendu*) ze sztuki Karola Huberta Rostworowskiego „Niespodzianka”. Chodziło po prostu o pewien wędrowny topos (zabójstwo nierozpoznanego syna przez rodziców), stary jak świat. *Casus* pozornego plagiatu jest częstszy niż to się wydaje. Ale także *casus* świadomego wykorzystywania cudzych wzorów. W tej dziedzinie dokonała się zresztą, w związku z procesem ostatecznego wyzwolenia się twórcy, wyraźna przemiana. Dawniej, np. w XVI, XVII a nawet jeszcze XVIII w., nie było czymś karygodnym korzystać z obcych



inspiracji. Więcej: w dziedzinie sztuk plastycznych posługiwano się nagminnie graficznymi wzornikami, które zresztą po to były produkowane przez skomercjalizowane oficyny wydawniczo-graficzne (zwłaszcza w Niderlandach), aby mniej pojętym artystom dać gotowe rozwiązania.

W konsekwencji jesteśmy zawsze skazani na jakiś stopień wtórności, na jakiś haracz zapożyczeń, nawet jeżeli będziemy coraz sroższymi paragrafami obstawiać indywidualne pomysły. Nasza twórcza wolność, suwerenność i niepodległość są tak samo ograniczone, jak wolność, suwerenność i niepodległość państw istniejących nie na wyizolowanych i samotnych wyspach, ale w kontekście coraz to gęstniejących sąsiedztw.

Modyzm jest więc groźny szczególnie dla tych twórców, którzy znajdują się (z urodzenia i wykształcenia) w położeniu peryferyjnym, jak to jest właśnie w przypadku Polski. Tkwimy w oddaleniu od centrów i dorównanie im staje się nieziszczalnym marzeniem modystów, ponieważ weszli nie na szeroką ulicę, ale w ślepy zaułek: w modystyczny *cul-de-sac*. Tworzą w błogim przekonaniu, że oto znaleźli klucz do światowości, nie widzą nieszczęśliwego, co jest dostrzegalne dla kogoś stojącego zewnątrz: że tylko naśladowują, że nie mają do zaoferowania nic własnego.

Oczywiście wśród tych narastających tłumów forsujących artystyczne „miejsca na górze” nie łatwo się przepchać, a jeszcze trudniej dopchać. Trzeba sobie powiedzieć jasno: szansę mają nieliczni, naprawdę nieliczni. Ale podstawą egzystencji twórcy-geniusza jako też grafomana czy pacykarza, jest przeświadczenie o własnych przewspaniałych możliwościach.

Kontakt ze sztuką świata jest czymś dla artysty niezbędny, jest jego powietrzem i pożywieniem. To podstawowy kanon edukacji. Modyzm to jednak objaw wyzbytego właśnie indywidualności imitowania tego, co pozornie gwarantuje owo „miejsce na górze”. Artysta, obojętnie czy posługuje się piędzlem, piórem, kamerą czy czymkolwiek innym, jest więc *a priori* skazany na pewne pokalanie wzorcami, ale zawsze pozostaje mu margines dla własnych, całkowicie własnych dokonań. Modyzm mu ten margines skutecznie blokuje grą pozorów.

Wszędzie tam, gdzie temat pozostaje podwaliną dzieła, nie istnieją żadne ograniczenia. Jeżeli twórca chce wskrzesić przeszłość, może to być wszelka przeszłość i dowolna może być jej interpretacja, a w przypadku artysty polskiego może to być nawet matejkowska czy sienkiewiczowska próba historycznej weryfikacji lub też sztuki „pokrzepiania serc”, ale jak daleko może być ona właśnie taka, by nie popaść w interarmizm, to musi być stanowione tylko przez twórcę. Tego brzemienia nikt mu nie tyle z ramion, co z głowy nie zdejmie. Jeżeli zaś zapragnie

wybiec w przyszłość lub oderwać się od „sprawdzalnej” rzeczywistości, może z kolei, jak w naszym przypadku Stanisław Lem, ową fantastykę przepajać odniesieniami do naszej przasnej współczesności. A najtrudniej chyba utrzymać równowagę pomiędzy perspektywą krótką i wydłużoną, gdy wchodzi się w terażniejszość gorących wydarzeń. Powieść, film czy sztuka mogą być pomocniczym dokumentem historycznym, ale to przecież nie cel zasadniczy przekazu. My się po prostu nie potrafimy, dokądkolwiek byśmy umykali, wyrwać z naszych uwarunkowań, ale właśnie owe uwarunkowania trzeba dostrzegać z perspektywy powszechności zjawiska, w którego epicentrum stoi człowiek — *Jedermann*.

Pozostając już tylko w krainach literatury, chciałbym raz jeszcze ukazać, jak bardzo rozmaite możliwości wyboru stoją przed twórcą. Julian Strykowski w „Przybyszu z Narbony” rekreuje *barrio judaico* z epoki inkwizycyjnej Hiszpanii, aby ukazać uniwersalizm cierpienia i zagłady, której był świadkiem w innej epoce i na innych obszarach. Gustaw Herling-Grudziński pisząc swą własną wersję „Kronik włoskich” o czasie i miejscu wydarzeń pisze niemal tak samo, jak Miłosz o dworkach dzieciństwa znad Issy i u żadnego z tych autorów nie ma ani fałszu, ani zwiężenia horyzontu postrzegania ludzkich kondycji. I obaj właśnie wybierają element peryferyjności jako materię szczególnie nośną dla przekazu o powszechnym znaczeniu. Bo gdziekolwiek znajdujemy się, jak też gdziekolwiek umieszczamy naszą wyobraźnię, możemy przecież zawsze odnaleźć owo ludzkie epicentrum, które wcale nie przynależy do zamkniętego światka kilku światowych metropolii.

Tadeusz CHRZANOWSKI

## Uroczystość w Bibliotece Polskiej

Dziękuję serdecznie Bibliotece Polskiej w Paryżu i jej dyrektorowi p. Andrzejowi Krzeczunowiczowi za udzielenie gościny w swoim gmachu dla uroczystości nadania mi tytułu doktora *honoris causa* przez Uniwersytet Jagielloński, która miała miejsce 9 listopada br. i wypadła naprawdę wzruszająco. Fakt, że



miała ona miejsce w Bibliotece Polskiej, która pamięta czasy Wielkiej Emigracji, dodał jej jeszcze powagi i znaczenia.

Uniwersytet Jagielloński reprezentowali: Rektor krakowskiej uczelni — prof. Andrzej Pelczar, prof. Franciszek Ziejka — dziekan Wydziału Filologicznego, który wygłosił laudację doktoranta oraz prof. Jan Błoński — promotor, który odczytał po łacinie sentencję dyplomu. Wprowadzenie wygłosili: Prof. Foliński i prof. Pelczar.

Dziękując za zaszczytne wyróżnienie powiedziałem:

„Magnificencjo Panie Rektorze, Panowie Profesorowie, Panie Ambasadorze Rzeczypospolitej Polskiej, Panie i Panowie —

Jedną z zasad, którymi kierowałem się w życiu, było nieprzyjmowanie żadnych wyróżnień czy odznaczeń. Gdy jednak otrzymałem zaszczytną propozycję Uniwersytetu Jagiellońskiego, uświadomiłem sobie jak bardzo i wszechstronnie jestem związany z Krakowem i jego Uniwersytetem. Przede wszystkim zestawienie Polski obecnej z Polską sprzed prawie sześciuset laty. Kraj zagrożony przez potężnych sąsiadów, rozdarty walkami dzielnicowymi i wielkich rodów został nagle z inicjatywy Panów Krakowskich przemieniony w mocarstwo, które zaważyło w pewnym okresie na losach Europy. Zostało to spowodowane tym, że ci ludzie mieli wizję czym może być Polska, wizję niezmiernie ryzykowną, ale opartą na realiach. Gdy dziś myślę o obecnej rzeczywistości, o kraju rządzonym przez małych, miałych ludzi, prowadzących Polskę od katastrofy do katastrofy, a jednocześnie o ogromnej koniunkturze, jaka się przed nami otwiera i jakiej nie mieliśmy od paruset lat, to wracam myślami do Panów Krakowskich. Nie jestem jednak całkowitym pesymistą — patrzę z nadzieją na nowe pokolenie, niezatrute sowietyzacją, dla którego te wszystkie rozgrywki i podziały post-solidarnościowe będą prehistorią. W kształtowaniu tego pokolenia wielka rola przypada Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, jego upartej postawie w obronie prawdziwych wartości humanistycznych. Trzeba tu przypomnieć postawę Uniwersytetu przed wojną, kiedy w ramach tak zwanych reform jędrzejowiczowskich pozbawiono katedry prof. Stanisława Kota. Profesor Kot był złym politykiem, ale wielkim uczonym i Uniwersytet go bronił mimo wszystkich szykan i represji. Przypomnijmy postawę profesora Adama Krzyżanowskiego, który zaszczycał mnie swoją przyjaźnią i który potępił Brześć przekreślając swoje możliwości polityczne — bardzo duże, gdyż w tym okresie miał zostać ministrem skarbu i reformatorem polskiej gospodarki. Przypomnijmy postawę profesorów wobec okupanta niemieckiego.

Dziś Kraków jest chyba najważniejszym ośrodkiem kulturalnym, który fermentuje, gdzie powstają nowe pisma, wydawnictwa,

nowe prądy koncepcyjne, kulturalne i to wszystko skupia się głównie wokół Uniwersytetu.

Z Uniwersytetem związane są również dzieje mojej rodziny. Jestem bardzo dumy, że wśród pierwszych elewów rozkwitającego Uniwersytetu są Giedroyciowie z dalekiej Litwy, że jest w Krakowie „Giedroycianum” ze zwłokami błogosławionego Michała Giedroycia, także związanego z Uniwersytetem, który jest jakby klamrą spinającą Wielkie Xięstwo Litewskie z Koroną. Myślę, że jego wyniesienie na ołtarze byłoby życzeniem dużej części narodu litewskiego i pozwoliłoby na tak potrzebne zacieśnienie stosunków polsko-litewskich, które dziś przeżywają szkodliwy dla obu stron kryzys.

Ale to są dawne dzieje. Mnie samego, już osobiście, także łączy wiele z Jagiellonką. Gdy w latach trzydziestych zakładałem swoje pierwsze pismo, to wśród najbliższych moich współpracowników byli głównie Jej wychowankowie: Ksawery Pruszyński, Waław Zbyszewski, Kostek Łubiński, Miś Tyszkiewicz i inni.

Przyjmując z wdzięczności doktorat *honoris causa* chciałbym w tym geście widzieć aprobatę i zachętę dla moich starań, które z prawdziwie litewskim uporem prowadzę dla zrealizowania zamierzeń i możliwości Polski dla środkowej i wschodniej Europy, zamierzeń godnych Panów Krakowskich sprzed pięciuset lat”.

Jerzy GIEDROYC

## FESTIWAL IBSENOWSKI W OSLO

W dniach 29 sierpnia — 14 września w Oslo mieliśmy okazję po raz kolejny zobaczyć najciekawsze przedstawienia na *The Second International Stage Festival at the Nationaltheatret in Oslo*. W sumie ponad 20.000 widzów z kraju i zza granicy; w ubiegłym roku — 15.000.

Imprezie ku czci Ibsena, wielkiego norweskiego dramaturga, towarzyszyło kilkadziesiąt imprez: koncerty, wystawy, sympozja, zaś festiwalowy trzon stanowiły przedstawienia teatralne. Z Anglii gościło Womens Playhouse Trust London z „Panią morza” w bardzo dobrej reżyserii Jules Wright. Z Czechostowacji zobaczyliśmy wspaniałe „Upiory”, z Armenii „Wroga ludu” — ambitne przedstawienie, z Grecji „Hedde Gabler” — w starożytnej scenerii, z Niemiec „Rozmersholm”, z Polski — „Peer Gynta” w wykonaniu Teatru Centrum Sztuki Studio im. St. I. Witkiewicza z Warszawy. Najbliższa premiera Teatru Narodowego w Oslo to właśnie sztuka St. I. Witkiewicza „Kurka wodna” w inscenizacji młodego reżysera Piotra Chołodzińskiego, który w ubiegłym roku wystawił w Oslo sztukę Bogusława Schaefera „Raj Eskimosów”.



Na zakończenie II Światowego Festiwalu w Oslo prapremierowe wykonanie Duke Ellington's Peer Gynt Suite po raz pierwszy po 31 latach od wydania jego płyty, w interpretacji elity muzyków norweskich. I tu znów kolejny polonik — Henryk Lysiak wirtuozersko zagrał i zinterpretował Peer Gynta według muzyki Edwarda Griega „In the Hall of the Mountain King” — podkreśla *Aftenposten*.

Międzynarodowy Festiwal Ibsenowski potwierdził po raz kolejny, jak doniosłe miejsce w dramaturgii światowej zajmuje Ibsen i jak problemy, które porusza, mają wymiar uniwersalny. Ukoronowaniem będzie zapewne Festiwal Olimpiady Zimowej w Lillehammer w 1994 roku w Norwegii.

Janina JANUSZEWSKA-SKREIBERG

Dn. 23 listopada 1991 r. zmarła nagle w Londynie w wieku 70 lat

ś.†p.

JADWIGA (INKA) MIEROSZEWSKA  
z domu CZECHOWICZ

poetka, wdowa po Juliuszu Mieroszewskim, publicyście i *porte parole Kultury* przez wiele lat, nasza serdeczna i wierna przyjaciółka.

Żegnamy ją z głębokim żalem.

PRZYJACIELE Z „KULTURY”

## Ci, co odeszli

### Jan Józef Lipski

Umarł Jan Józef. List z Polski: „Czy wybierasz się może wkrótce do kraju? Zadając Ci to pytanie uświadomiłam sobie w tym momencie, że pewne Twoje spotkania już nie będą się mogły powtórzyć... Przy kawiarńnianym stoliku przejął za mnie przy Tobie miejsce Pan Janek — jestem pod ogromnym, przytłaczającym wrażeniem Jego śmierci i pogrzebu, w którym z bólem serca uczestniczyłam. Cokolwiek by o Nim nie pisać, zawsze będzie to za mało... jedno jest pewne, że On zaprzecza powiedzeniu, iż nie ma ludzi niezastąpionych...”

Cokolwiek by o Nim nie powiedzieć, zawsze będzie za mało. Był moim przyjacielem, chociaż mógłby być moim ojcem. Poznaliśmy się na Ogólnopolskim Festiwalu Poezji w Łodzi, gdzie Janek z pewnym znużeniem i pobłażaniem wysłuchiwał tyrad kolejnych mówców, z których najdłużej i przeważnie o sobie mówił Artur Sandauer. Zamiast na kolejny referat poszedł ze mną i z Ewą do nas, do domu. Rozmawialiśmy nie tylko o poezji. Był to początek lat siedemdziesiątych, byłam już po procesie „Ruchu” i Janek chciał wiedzieć wszystko. Mówiłem o przeszłości akowskiej ojca, o wychowaniu w rodzinie, o tym jak przeżyłem rok 1968 i dlaczego wraz z Ewą trafiliśmy do „Ruchu”. Przegadaliśmy do rana przy calvadosie i kawie, czego Jankowi, ze względu na chore serce, nie wolno było robić. Miał prowadzić spokojny, uregulowany tryb życia, a wszystko, co robił, było tego zaprzeczeniem. Miał w sobie coś z niesforne go chłopca: siwy kosmyk opadający na oczy, przekorny błysk w oku, wielkie poczucie humoru, które nie opuszczało go w najgorszych momentach, i nieodpartą potrzebę ruchu i działania.

Od momentu tego spotkania był już z mną zawsze. Stał się dla mnie kimś bardzo bliskim i ważnym, każda rozmowa z nim była intelektualną przygodą, był człowiekiem, od którego opinii zależało wiele w sytuacjach trudnych wyborów. I nieraz, dzięki niemu, wybierałem dobrze.



Janek urodził się 25 maja 1926 roku w Warszawie, w rodzinie Romana Lipskiego, zasłużonego pedagoga, dyrektora szkół zawodowych. W czasie wojny, jako harcerz „Szarych Szeregów”, uczestniczył w akcji „małego sabotażu”. W latach 1943-44 był żołnierzem batalionu, a później pułku Armii Krajowej „Baszta”. Brał udział w Powstaniu Warszawskim i został ciężko ranny w walkach na Mokotowie. Był odznaczony Krzyżem Walecznych.

Egzamin maturalny zdawał po wojnie w roku 1946, a następnie ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Po studiach pracował jako redaktor, a później kierownik Redakcji Klasyków Literatury Polskiej w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Od 1956 roku współpracował z tygodnikiem *Po prostu*, który wówczas całkowicie zmienił dotychczasową linię, a także skład redakcji. W 1957 roku został szefem działu kulturalnego tego pisma. Jak się okazało, już nie na długo. W tym samym czasie był prezesem Klubu Krzywego Koła, który przez kilka lat był dyskusyjnym forum niezależnej myśli w Warszawie i w którym spotykali się pisarze, intelektualiści, pracownicy naukowcy Uniwersytetu Warszawskiego, działacze z ruchu rad robotniczych i młodzi inteligenci z kręgu *Po prostu*. Członkami klubu byli m.in. profesor Maria Ossowska, profesor Stanisław Ossowski, historyk i eseista Paweł Jasienica, mecenas Jan Olszewski i późniejsi założyciele KOR-u — Ludwik Cohn, profesor Edward Lipiński, mecenas Aniela Steinsbergowa, Wojciech Ziemiński. W 1960 roku Janek został wyrzucony z pracy w PIW-ie za prelekcje o historii Obozu Narodowo-Radykalnego „Falanga”, a także o kolejach życia i karierze politycznej Bolesława Piaseckiego. Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte to okres pracy w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Powstaje wówczas książka o kronikarzach, felietonistach i dziennikarzach starej Warszawy „Warszawscy 'pustelnicy' i 'bywalczy'” (PIW, 1973) oraz dwa tomy monografii Jana Kasprówicza.

Janek był stałym recenzentem książek poetyckich w *Twórczości* i można powiedzieć, że dzięki niemu i paru innym krytykom recenzja odzyskała rangę, jaką zawsze powinna mieć — gatunku krytyczno-literackiego. Z recenzji tych powstał zbiór „Szkice o poezji”, wydany w Instytucie Literackim w Paryżu w 1987 roku. Jan Józef był człowiekiem i krytykiem skromnym i — jak sam przyznał — zachętą do wydania książki była „recenzja z tego jeszcze nie planowanego wówczas zbioru, umieszczona przez Jerzego Kwiatkowskiego w *Twórczości*, w felietonie, który ten znakomity krytyk w tym piśmie prowadził”. Chciałbym tutaj przytoczyć dwa krótkie fragmenty felietonu Kwiatkowskiego, które dobrze charakteryzują Jana Józefa Lipskiego jako badacza literatury:

„Jestem świeżo po lekturze znakomitej książki o wybranych poetach ostatnich lat kilkunastu. Jednorodny metodologicznie i tematycznie, ten zbiór szkiców łączy w sobie zalety pokazowej sztuki odczytywania najtrudniejszych poetek z zaletami książki-autoportretu krytyka. Talent interpretatora, rzadko spotykana sprawność filozoficznej analizy dzieła literackiego schodzą się tu z równie rzadko spotykaną cechą: z głęboko ludzkim stosunkiem do poezji i poety, z niezatartą przez wysokiej klasy literaturoznawczą fachowość wrażliwością na te przeżycia, które leżą zazwyczaj u źródeł poezji, pragnącej być czymś więcej niż pięknym układaniem słów.

Jedyną poważną wadą tej książki jest fakt jej nieistnienia. Zebrałem ją sobie sam, wyszukując poszczególne recenzje po czasopiśmie, głównie po numerach *Twórczości* — z pewnością luk w tej amatorskiej, jednorazowej edycji jest wiele — i odczytując je na nowo i kolejno, ku nauce i satysfakcji, jaka wynika zawsze z zetknięcia się z dobrą robotą. (...)

Jeden z paradoksów, czy jedno z wewnętrznych napięć tej krytyki, to opozycja między neopozytywistyczną szkołą myślenia, z jakiej krytyk ten wyszedł — a metafizyką, która wodzi go na pokuszenie. (...)

Spośród postaw poetycko-filozoficznych wybiera raczej te, które nacechowane są wewnętrznym tragizmem. Ale mówiąc o nich posługuje się wolnym od patosu, jasnym językiem spokojnej, rzeczowej analizy, w którym głębokie współczucie nie wyklucza racjonalistycznego dystansu”.

W opozycji Jan Józef był „od zawsze”. Jest — obok Herberta i kilku innych — jednym z intelektualistów, którzy przeszli czuści przez okres stalinowski, którym nic nie można wypomnieć, zarzucić, choćby jednego artykułu, jednego zdania, jednego słowa. Najważniejsze wydarzenia na tej opozycyjnej „linii życia” to: nielegalny klub pracowników naukowych na Uniwersytecie (1953), *Po prostu*, działalność w Klubie Krzywego Koła, list 34 (1964), rok 1968, list 59 w sprawie zmian w Konstytucji (1975), który wraz z nim miałem przyjemność podpisać, wreszcie w 1976 powstanie Komitetu Obrony Robotników. O KOR-ze napisano już wiele, ale niewątpliwie najlepsze i najpełniejsze jak dotychczas opracowanie to książka Jana Józefa.

Jest to książka o wysiłkach gromady ludzi, bardzo różnych, którzy postanowili wystąpić w obronie bitych i więzionych robotników, przeciwstawić się totalizmowi, stworzyć ruch budujący przyszłą Polskę niepodległą i demokratyczną od podstaw, od pokazania swym przykładem, że można się przeciwstawić — o ludziach, których połączyły wspólne postawy moralne i którzy byli tylko ludźmi, a więc nieraz mylili się, popełniali błędy, klóci-



li się między sobą, a przy tym potrafili być zespołem — Komitetem Obrony Robotników”.

Janek był członkiem-założycielem Komitetu, a także bodaj jednym z najważniejszych twórców etosu KOR-u, etosu, na który złożyły się różne tradycje. Były to: tradycja chrześcijańska, do której przyznawała się większość nawet niewierzących członków KOR-u, tradycja polskiej laickiej inteligencji lewicowej z przełomu XIX i XX wieku, a więc głównie PPS-u, oraz tradycje niepodległościowe, przy czym rozumiano, że warunkiem niepodległości jest odbudowanie więzi społecznych, rozbudzanie solidarności i długofalowa praca u podstaw.

W KOR-ze Jan Józef cieszył się ogromnym autorytetem. To on bywał czasem wyrocznią, do niego należało nieraz ostatnie słowo, to do jego umiaru, mądrości, uczciwości i poczucia sprawiedliwości odwoływano się nieraz w wielu spornych sprawach.

W czasach korowskich spotykaliśmy się ciągle. Wspólne wyjazdy na procesy robotników do Radomia, wspólne akcje ulotkowe, w których Janek zawsze brał udział wraz z młodzieżą korowską, wspólne cele więzienne, narady, manifestacje, głodówki...

Powstanie *Pulsu* przywitał z radością. Uważał, że potrzebne jest drugie — obok *Zapisu* — niezależne pismo literackie, a przekora i styl pisma odpowiadały jego temperamentowi i poczuciu humoru. *Puls* był dofinansowywany przez KOR i widywałem Janka, do którego obowiązków należało również rozdzielanie funduszy, jeszcze częściej. Spotykaliśmy się nieraz w kawiarni PAN-u i zawsze znajdowaliśmy trochę czasu na luźną rozmowę, pogawędkę, anegdotę, której Jan Józef był mistrzem. Robił też różnego rodzaju dowcipy. Twierdził, że za mocno ściskam dłoń przy powitaniach. Kiedyś zdjął obrączkę z palca i powiedział: — Zobacz co zrobiłeś. Obrączka była nieco spłaszczona. Oczywiście była spłaszczona już przedtem, ale udało mu się mnie przestraszyć.

W KOR zaangażowana była cała rodzina Lipskich. Janek znajdował wielkie oparcie w Marucie, tak jak Jacek Kuroń w Grażynie. Maruta starała się czasem — i słusznie — by nieco zmniejszył obroty, ale wymykał się spod tej kontroli jak mógł. W środowisku korowskim były bardzo czynne również i dzieci Lipskiego, Agnieszka i Jan Tomasz, który przedtem działał w Klubie Inteligencji Katolickiej, i z którym również połączyło mnie niejedno wspólne przeżycie.

Były to może najlepsze lata: okres dawania świadectwa, okres jednoznacznych wyborów. Później przyszła „Solidarność”, stan wojenny, okrążył stół, wybory do Sejmu i Senatu...

Chciałbym przytoczyć tutaj dłuższy fragment wypowiedzi Jana Józefa na spotkaniu z nim, jako senatorem RP, w Bibliotece Polskiej w Paryżu w czerwcu 1990 roku, ponieważ najlepiej charakteryzuje drogę, jaką przebył:

„Ja, mając tego rodzaju biografię, że można powiedzieć, iż właściwie od zawsze byłem w opozycji — nie zawsze jednakowo czynny co najwyżej, chociaż przeważnie jakoś, choćby skromnie — siłą rzeczy znalazłem się w KOR-ze, a potem zostałem działaczem 'Solidarności' w sposób też zupełnie zrozumiały i nieunikniony. Później, gdy przyszedł stan wojenny, znalazłem się wraz z wieloma innymi w podobnej sytuacji; niektórzy byli internowani, niektórzy aresztowani jak ja... To była droga prosta i wymagała co najwyżej podejmowania jakichś decyzji; czy się coś robi, czy się czegoś nie robi, czy się ktoś bardzo boi skutków tego, czy się trochę mniej boi, i czy może się boi, a mimo to robi. Ale potem przyszły czasy — i każdy człowiek, który chociaż trochę uczył się historii, wie jak zawiłymi drogami historia chodzi — przyszedł potem czas, niestety, trochę mniejszej jednoznaczności. Komuniści w pewnym momencie zrozumieli, że nie złamią oporu. Jeżeli to się nie udało od pierwszego, od drugiego, od trzeciego uderzenia, to było wiadomo, że ten opór już złamany nie będzie. Jednocześnie pogarszała się nieustannie sytuacja ekonomiczna kraju — i w pewnym momencie komuniści polscy — widząc, że ze strony wschodniej nie można bardzo liczyć, jak to było dotąd, na tak łatwą do uzyskania pomoc — doszli do wniosku, że trzeba wejść w układy. Strona opozycyjna tę rękę wyciągniętą do układów przyjęła i uważam zresztą, że dobrze iż przyjęła, gdyż nie daj Boże, żeby wydarzenia w naszym kraju potoczyły się w sposób krwawy, niszczący, przy blasku płonących komitetów partyjnych, od których zresztą by się zajął niejedyn dom i niejedna biblioteka, niejedyn taki obiekt, który powinien pozostać nienaruszony. Połababy się też prawdopodobnie krew i możemy się tylko cieszyć z tego, że tak się nie stało. Ale z kompromisami... państwo wiedzą, jak to jest z kompromisami. Jeżeli w kompromisie coś się uzyskuje, to coś się daje. To ile się uzyskuje, a ile się daje, zależy trochę od stosunku sił. Komuniści byli już w tym miejscu linii historycznej, kiedy się zjeżdża na dół, niemniej w tym momencie jeszcze byli — mimo wszystko — silni. Byli potężni. Ja zresztą muszę powiedzieć, iż sądzę, że jeszcze dzisiaj nie są tacy bardzo słabi, jak to się czasami wydaje czy od wewnątrz, czy z zewnątrz. Nie jest tak pod tym względem wesoło. Ale wtedy byli jeszcze nieporównanie silniejsi niż dziś. No i powstał w rezultacie ten kompromis, który się nazywa 'okrągłym stołem'. Muszę powiedzieć, że ja okrągły stół popierałem i z perspektywy dzisiejszej uważam, że zrobiłem słusznie. Ten kompromis był potrzebny, trudny do uniknięcia ze względu na bardzo ciężką sytuację, w jakiej Polska się znalazła. No, ale kompromisy to nie jest już rzecz tak jednoznaczna jak ta historia, która była przedtem.

Ja, proszę państwa, przy okrągłym stole nie siedziałem, ale



nigdy nie użyję tego faktu po to, żeby mówić, iż nie ponoszę odpowiedzialności za umowy okrągłego stołu. Znalazłem się w takiej sytuacji, że gdybym usiadł przy okrągłym stole, byłbym jedynym przedstawicielem nowopowstającej patrii spoza dotychczasowego układu, który do okrągłego stołu siada, a było już wiadomo, że na przykład KPN-u przy okrągłym stole nie będzie, bo sztab 'Solidarności' KPN-u nie chciał. Zresztą powstały już, nie tak silne jak KPN, grupy polityczne i wiadomo było, że ich przedstawiciele przy okrągłym stole również nie zasiadą. W tych warunkach byłem przekonany, że byłoby i niezręcznie, i nierozsądnie, żeby przewodniczący Polskiej Partii Socjalistycznej był jedynym członkiem z partii politycznej, który do tego stołu zasiada. No, muszę powiedzieć, że Geremek, gdy mu o tym powiedziałem, odetchnął z ulgą. Gdy okazało się, że jesteśmy zgodni — że ja nie muszę przy tym stole siadać. Ale nigdy nie będę się wypierał odpowiedzialności. Tym bardziej, że byłem w Komisji Politycznej, która przez cały czas okrągłego stołu pracowała, w celu najpierw ustalenia strategii, a potem, z zebrania na zebranie, taktyki postępowania przy nim. Więc odpowiedzialność muszę ponosić, ale uważam, że nie jest to taka zła sytuacja. Okrągły stół przyniósł — jak mówię — pewną dwuznaczność, której dotychczas nie znaliśmy, ale okrągły stół był meblem w historii Polski — moim zdaniem — potrzebnym. No i jednym z rezultatów okrągłego stołu — którego całego nie będziemy przecież w tej chwili omawiać — były wybory. I była ta umowa 35% na 65% w Sejmie, a w Senacie, jak się zdarzy, ale co do Senatu mówiono już właściwie o ordynacji wolnych wyborów. (...) Mnie się tak pechowo zdarzyło, że trafiłem na sytuację gorszą niż wielu moich przyjaciół. Gorszą dlatego, że ordynujący w diecezji, do której należała większość mojego okręgu wyborczego, biskup był zdania, że socjalista nie powinien być wybrany z jego diecezji, a w dodatku nie wiem dlaczego, uważał mnie ksiądz biskup — co mi jeszcze bardziej szkodziło — za ateistę. Ja nie jestem akurat ateistą, tylko agnostykiem, bo mi się wydaje w ogóle śmieszne, że skądś mógłbym mieć taką pewną wiadomość, że Boga nie ma. Po prostu sama taka myśl mnie śmieszy, chociażby dlatego, że miałem porządne seminaria z metodologii nauk i logiki w swoim czasie, i choćby dlatego mnie to śmieszy. Ale muszę powiedzieć, że miałem trudne zadanie..."

Jan Józef Lipski — mimo, że socjalista — został jednym z dwu senatorów ziemi radomskiej. Janek — co pokazała raz jeszcze kampania wyborcza — nigdy nie starał się znieważać adwersarzy czy przeciwników. Bronił się lub atakował spokojną, mądrą, rzeczową argumentacją i poczuciem humoru. I dzięki temu zwyciężał. To właściwie potęga smaku — jak by powiedział

Herbert — decydowała. W sumie, był człowiekiem innych czasów, w każdym razie nie takich, w których niedawni sprzymierzeńcy czy koledzy obrzucają się błotem, posługują się obelgą, zacietrzewieniem i zwyczajnym kłamstwem.

Sukces antypropagandy wyborczej księdza biskupa Materskiego był więcej niż wątpliwy. Kler diecezji podzielił się na dwa obozy, ponieważ nie wszyscy duchowni podzielali zdanie księdza biskupa. Na jednej z list wyborczych Janka od góry do dołu figurują ojcowie bernardyni.

Zacząło się normalne nienormalne życie parlamentarne. Znaczący przedmiot twierdzili, że przynajmniej od czasów rewolucji francuskiej, od czasów Konstytuanty, nie było tak wielkiego tempa prac ustawodawczych. Może właśnie tego tempa serce Janka nie wytrzymało. Każdy z senatorów był przynajmniej w jednej, a przeważnie w dwu komisjach parlamentarnych. Zebrania komisji zabierały bardzo dużo czasu, a nieraz kosztowały sporo nerwów. Przed każdą ustawą, a raczej pakietem ustaw senatorowie musieli zapoznać się ze starym tekstem, z nowym tekstem oraz z opiniami ekspertów. W rezultacie, każdego tygodnia Janek miał do przeczytania około trzystustronicową „książkę” ustaw, czyli rzeczy, które trzeba było czytać dokładnie i dociekliwie. Jak twierdził, było to fizycznie niemożliwe, w związku z czym wszyscy byli sfrustrowani. Dochodziły do tego: dyżury senatorskie w okręgu, nominacja na profesora (w latach siedemdziesiątych nie dopuszczono do habilitacji Lipskiego, mimo liberalnej postawy Stefana Żółkiewskiego, dyrektora Instytutu Badań Literackich), a także funkcja przewodniczącego nowopowstałej Polskiej Partii Socjalistycznej.

Janek dążył do stworzenia tej partii. Socjalizm to było dla niego nawiązanie do najlepszych tradycji polskiej inteligencji lewicowej — do tradycji Abramowskiego i Piłsudskiego. Twierdził, że komuniści są specjalistami od kradzieży, szczególnie od kradzieży słów, a największym nadużyciem i najbardziej bezczelną kradzieżą była kradzież słowa „socjalizm”.

Kiedy późną jesienią 1989 przyjechałem po raz pierwszy do Polski od momentu wyjazdu w 1982 roku i spotkałem się po paru latach niewidzenia, był bardzo zmęczony, choć jednocześnie niezwykle ożywiony i uradowany spotkaniem. Zostawiłem mu „Tyle rzeczy” jeszcze w maszynopisie. Zdaje się, że tomik bardzo mu się spodobał. Powiedział mi później w rozmowie telefonicznej: — Napisałem recenzję z twojego pierwszego tomu pod tytułem „Jacy oni będą?”, teraz muszę napisać „Jacy oni są” i zrobię to, jak tylko znajdę trochę czasu.

Potem było jeszcze jedno spotkanie, paryskie — nie wiedziałem wtedy, że ostatnie — i prelekcja Janka w Bibliotece Polskiej.



Tego roku trzy miesiące spędziłem w Alpach, gdzie pracowałem jako ratownik i wspinałem się, i gdzie praktycznie nie docierały do mnie żadne wieści z Polski. Nie wiedziałem, że Janek czuje się bardzo źle i że był w szpitalu. W niedługi czas po powrocie dowiedziałem się, że nie żyje. Przez kilkanaście dni nie mogłem o tym rozmawiać, ani pisać. Świat bez Niego stał się na pewno uboższy. Był jednym z najbardziej prawych ludzi, jakich znałem. Był człowiekiem wielkiej szlachetności i czystych rąk. Jego miejsce jest wciąż obok nas, Jego przyjaciół i wiem już, że pozostanie puste.

Paryż, listopad 1991

Jacek BIEREZIN

## Andrzej Panufnik (1914-1991)

27 października 1991 r. w Twickenham w Anglii zmarł polski kompozytor Andrzej Panufnik. Do wszystkich ludzi, ale w szczególności do wielkich twórców, stosuje się horacjańskie *non omnis moriar*. O nieśmiertelności Panufnika wydają się stanowić nie tylko jego wspaniałe dzieła muzyczne, lecz i dane mu dwukrotnie doświadczenie śmierci.

W swojej autobiografii zatytułowanej „Composing myself”, opublikowanej w 1987 r. w Londynie, Panufnik pisze:

*Potem poleciliśmy do Paryża, żeby spotkać się z jednym z moich bliskich przyjaciół, któremu na krótki czas udało się wyjechać z Polski. Zależało mi na świeżych i prawdziwych wiadomościach o życiu w Polsce i naszych wspólnych przyjaciółach. Powiedział mi, że nadal znajduję się na czarnej liście, a moje nazwisko jest przez cenzurę wykreślone z wszelkich książek, czasopism i gazet. Oficjalnie przestałem istnieć. Dla przyjaciół, wyznał nad café filtre, byłem jakby umarły. (przekład autoryzowany Marty Glińskiej: „Panufnik o sobie”, Warszawa 1990, str. 304).*

„Jakby umarły”! Wiadomość o własnej śmierci w Polsce — śmierci „oficjalnej”, cywilnej — dotarła do Panufnika wiosną 1963 r. Ale nawet jeśli była to tylko śmierć częściowa, nie była to przecież śmierć naturalna. Jaki był jej mechanizm?

Wkrótce po wyjeździe z Polski „na zawsze” (9 lipca 1954) Panufnik został publicznie potępiony jako zdrajca narodu, szpieg

itd. Jego własny, przedwojenny profesor teorii i kompozycji, Kazimierz Sikorski, podpisał w imieniu Związku Kompozytorów Polskich, jako jego ówczesny prezes, uchwałę prezydium wydającą Panufnika ze Związku. Następnie Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (czyli cenzura) wydał wspomniany zakaz wymieniania jego nazwiska. Ale ta oficjalna „egzekucja” przeprowadzona według scenariusza z góry ustalonego w tego rodzaju przypadkach — to tylko część prawdy. A przyjaciele? Dlaczego również dla swoich przyjaciół w kraju stał się Panufnik „jakby umarły”?

Dzięki pośmiertnie wydanemu „Świadectwu” („Swidetelstwo”) Dymitra Szostakowicza już trochę wiadomo, jak system sowieckiego terroru działał w kręgach muzycznych w swoim moskiewskim centrum. A w Polsce? Różnice lokalne zostały już wielokrotnie opisane przez Gombrowicza, Miłosza i tylu innych. Autobiografia Panufnika stanowi ważny dokument tamtych czasów — portret tyleż autora, co i środowiska, w którym przyszło mu w Polsce żyć.

Złe to były czasy. Ale jeśli jeszcze dziś prawda o nich znana jest często lepiej bezpośrednim sprawcom zbrodni niż społeczeństwu, które padło ich ofiarą, jeśli świadomość społeczna nadal waha się w kwestii miary sprawiedliwości pomiędzy zasadą „oko za oko” i zasadą „dobro za zło”, a „szum informacyjny” wzrasta, cóż się dziwić, że „przyjaciele” z lat pięćdziesiątych wielu rzeczy nie wiedzieli, nie chcieli wiedzieć albo się zwyczajnie bali. Bohaterstwa nie można od nikogo żądać ani go oczekiwać (chyba że od samego siebie).

Jak wynika z jego autobiografii napisanej i wydanej na Zachodzie, Panufnik bezpośrednio nie otarł się ani o polski Gułag, ani o ul. Rakowiecką. Ze względu na stan zdrowia żołnierzem w czasie okupacji hitlerowskiej też nie był. Opuścił kraj — wśród innych powodów nazwanych („obrzydzenie”, „absurdalne naciski” itp.) — być może również dlatego, że nie mógł znieść tego oczekiwania po nim bohaterstwa (na ile w ogóle wiedział, co się tu dzieje). On, któremu samo pojęcie bohaterstwa nie było obce: był wszak autorem „Uwertury heroicznej” (1952).

On wyjechał, a jego przyjaciele zostali. Dlaczego również oni go opuścili? Łatwo powiedzieć, że zdrada i zaprzaństwo (Judasza, Piotra) stanowią część naszej kultury w równym stopniu, co świadomość grzechu i pośmiertnej kary. Co pokuta. Trudniej wśród Judaszy i Piotrów żyć. Bohaterstwo należy do innej tradycji: rycerskiej. Oni zostali, on wyjechał.

Ale rzecz nie w „bohaterstwie” okazanym, pożądanym tylko czy niedoszłym. *Casus* Szostakowicza, Strawińskiego, Panuf-



nika i tyłu innych twórców, ich decyzje egzystencjalne, mniej tłumaczą się rzeczywistymi warunkami politycznymi, nawet mniej realnymi okolicznościami życia, ile raczej świadomością talentu artystycznego, nawet gdyby mogła (musiała) to być jedynie świadomość bardzo zwodnicza. Może to nieważne, czy Andrzej Panufnik był kiedykolwiek żołnierzem. Może to lepiej, że Chopina i Mickiewicza podczas Powstania Listopadowego nie było w kraju.

Wyjazd Panufnika z Polski miał w tamtych latach jeszcze inną wartość: symboliczną. Przy wszystkich „za” i „przeciw” było oczywiste, że motywacja jego wyjazdu nie była ekonomiczna oraz że nie wyjechał ktoś prześladowany. 20-ty rozdział swojej autobiografii, opowiadający o pierwszym okresie jego pobytu na Zachodzie, zatytułował Panufnik: „Z pierwszego staje się nikim”. W świecie muzycznym Polski mógł Panufnik istotnie czuć się *number one*. Był członkiem Polskiego Komitetu Obróńców Pokoju. Z tej racji — logiczną kolejną rzeczą — wziął udział w Kongresie Obróńców Pokoju we Wrocławiu w 1948 r. Szczególna to była impreza, jak wiadomo. Przybyły na nią setki osób z całego świata, m.in. Irena Joliot-Curie wraz z mężem Frédéricikiem, Paul Eluard, Jean-Paul Sartre, Ferdinand Léger i Pablo Picasso. Temu ostatniemu miał Panufnik towarzyszyć osobiście „z urzędu”. Rok później zostało przyznane Panufnikowi najwyższe odznaczenie PRL: Sztandar Pracy I Klasy. Cieszył się dostatecznym zaufaniem władz państwowych, by zostać wysłanym z oficjalną delegacją do Chin, w programie której było spotkanie z Mao Tse-tungiem. W 1951 r., w momencie apogeum zimnej wojny nazywanej „walką o pokój”, skomponował Panufnik imponującą „Symfonię pokoju”.

Jak z tego widać, Panufnik — żeby samego siebie nie zgubić — nie mógł zostać w Polsce komunistycznej ani chwili dłużej. Zarazem jego wyjazd nie mógł nie być skandalem, nie mógł nie być policzkiem dla ówczesnych władz PRL. Dla pozostałych w kraju była to lekcja pokazowa, że wyjechać z Polski można. To był główny sens decyzji Panufnika, jej znaczenie „modalne” raczej niż „realne”.

Łatwo zrozumieć poczucie pustki, w jakiej Panufnik znalazł się tuż po wyjeździe z Polski. Ale przecież był nie tylko kompozytorem, był i dyrygentem (uczniem Felixa Weingartnera w Wiedniu). Swój pobyt w „innym świecie” rozpoczął Panufnik od nagrania dla radia w Zurychu („uciekł” do Szwajcarii) własnej „Sinfonia rustica”, zakazanej w Polsce, lecz uznanej za odpowiednią na eksport. 14 lipca 1954 r., natychmiast po przyjeździe do Anglii, ojczyzny jego żony Scarlett, wystąpił o azyl polityczny. Naturalny internacjonalizm muzyki, kunszt dyrygencki Panufnika — zaproszenia do występów nie kazały na siebie długo

czekać — sprawiły, że wkrótce mógł odzyskać poczucie *raison d'être*, mógł wrócić do komponowania, a nawet zajął się nim teraz dopiero naprawdę.

Panufnik pisze dalej w swojej autobiografii:

„W grudniu 1955 roku francuski magazyn *Preuves* wespół z miesięcznikiem *Kultura* zorganizowały publiczną dyskusję na temat: 'Artysta i twórczość w dzisiejszej Polsce', w której wzięło udział około dwustu czołowych intelektualistów francuskich: pisarzy, artystów, jak również polityków i filozofów. Choć woląłem się posługiwać raczej muzyką niż słowami uznałem, że powinienem podzielić się moim doświadczeniem z ludźmi Zachodu, którzy się tym interesują. I znów rękopis rozpoczętego utworu” — były to, jak się zdaje, szkice do Koncertu fortepianowego — musiał powędrować do szuflady. Dyskusji przewodniczył pisarz i krytyk francuski, Jean Cassou, dyrektor *Musée d'Art Moderne*. W dyskusji wziął też udział Czesław Miłosz, porównujący doświadczenia pisarzy pod panowaniem Stalina z doświadczeniami zachodnimi oraz malarz, Józef Czapski, opisujący swoje przeżycia w łagrach rosyjskich. Moją okropną francuszczyzną wyjaśniłem dylematy kompozytorów polskich pracujących pod surową kontrolą władz komunistycznych” — wystąpienie to opublikowano później w paryskiej *Kulturze*, *Preuves* i *Encounterze*. — „Podsumowania dokonał mój przyjaciel, Konstanty Regamey, wykorzystując swą doskonałą znajomość języka i godną zazdrości bystrą inteligencją. Sądząc z dyskusji, jaka się potem rozwinęła, wieczór nie został zmarnowany...” (str. 266).

Echa tych dyskusji musiały dotrzeć do Warszawy. To wtedy prawdopodobnie postanowiony został ostateczny „niebyt” Panufnika. Sowiecka żelazna kurtyna, która zaczęła się powoli unosić, pozostała dla Polaków szczelnie zamknięta. W 1977 r., kiedy uciekł do Szwecji jeden z pracowników warszawskiej cenzury, znany już był też odpowiedni punkt „zapisu”, jego zmodernizowana wersja:

„W pracach naukowych i specjalistycznych, pamiętnikarskich i monograficznych można bez konsultacji zwałniać nazwiska, cytaty, omówienia twórczości i działalności następujących osób (...). Nie należy jednak dopuszczać do przeceniania twórczości wyżej wymienionych osób bądź przedstawiania ich w zbyt pochlebnym świetle. (...) Należy natomiast eliminować ich nazwiska oraz tytuły ich utworów z prasy codziennej, radia i telewizji, z wyjątkiem informacji krytycznych”.

Wśród „następujących osób” znalazły się m.in. nazwiska Miło-



sza i Panufnika. W pozornej elastyczności tego „zapisu” tkwiła jego destrukcyjna siła. Ale jednak nie wszyscy o Panufniku zapomnieli. Opozycja zrodziła się w kręgach warszawskich „mandarynów”. Za zgodą cenzury? „W pracach naukowych... można”.

Czytamy w autobiografii:

„grupa kompozytorów i muzykologów, głównie młodszego pokolenia, zatem ludzi mi nieznanych, rozpoczęła odważną batalię o przywrócenie możliwości wykonywania moich utworów w ojczystym kraju. Wreszcie, po dwudziestotrzyletnim zakazie, moja muzyka znów zabrzmiała w Polsce. 'Universal Prayer' ('Modlitwa powszechna') została wykonana na festiwalu 'Warszawska Jesień' w roku 1977. Byłem ogromnie wzruszony wysiłkami kolegów, którzy o mnie walczyli. W rok później Józef Patkowski, nowy kierownik festiwalu, poprosił, żeby występująca gościnnie w Warszawie Scottish National Orchestra wykonała 'Sinfonię sacra'. Moją symfonię — jak wynika ze sprawozdań — przyjęto niezwykle gorąco”. (str. 348).

W 1987 r. Związek Kompozytorów Polskich przyznał Panufnikowi członkostwo honorowe. W 1990 r. Panufnik otrzymał nagrodę ministra spraw zagranicznych RP „za zasługi dla kultury polskiej”. Wkrótce potem 33-ci Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień” stał się widownią wielkiego *come back* Panufnika. W trakcie pięciu koncertów festiwalu (w tym inauguracyjnego) wykonanych zostało jedenaście jego utworów: od „Uwertury tragicznej” z 1942 r. po „Harmony”, najnowszy „Poemat na orkiestrę kameralną”, którego wykonaniem w Warszawie przez Scottish Chamber Orchestra Panufnik sam dyrygował.

Czy pozwolimy Panufnikowi umrzeć po raz trzeci, to zależy od nas samych. Polska dni naszych nie jest (nie może być) Muzom nazbyt łaskawa. Ale 37 lat spędzonych przez Panufnika na Wyspach Brytyjskich, nadane mu przez królową szlachectwo angielskie i tytuł „Sir” upoważniają również kulturę angielską do przyjęcia części spadku po nim. Choć to nasz Andrzej Panufnik.

Napisał ponad pięćdziesiąt utworów, w tym dziesięć symfonii, trzy koncerty, „Epitafium katyńskie” (1967), „Arbor cosmica” na smyczki oraz przepiękną „Autumn Music”.

Zmarł w wieku 77 lat.

Antoni BUCHNER

## Książki

### Książka o Adamie Kossowskim

Twórczość Kossowskiego od dawna domaga się monografii, obejmującej wszystkie jej manifestacje. Dzieła artysty rozrzucone są po Anglii i Ameryce, w kościołach, kaplicach i różnych świeckich instytucjach, tak że zestawienie ich w ramach większej wystawy jest niemożliwością, natomiast książka w języku angielskim, poświęcona jego twórczości, a opatrzona doskonałymi ilustracjami barwnymi, jest doniosłym wydarzeniem i ważnym dokumentem polskiej twórczości poza krajem. Stefania Kossowska, wdowa po artyście zmarłym w 1986 r., z niezmierną pieczołowitością zebrała materiały i nadzorowała proces redakcyjny oraz oprawę graficzną. Sumienny i rzeczowy wstęp pióra Benedicta Reada ukazuje Adama Kossowskiego jako artystę i człowieka o niezłomnym charakterze. Po nim następuje esej prof. Tadeusza Chrzanowskiego, oceniający osiągnięcia artysty na tle wydarzeń historycznych i tradycji sztuki polskiej, w której tkwił korzeniami. Kossowski należał do pokolenia wykształconego w akademiach Krakowa i Warszawy. Po wyjściu z łagrów sowieckich pełną dojrzałość osiągnął w Anglii. W ten sposób żywot jego obejmuje dwa kraje i obowiązujące w nich dwa różne systemy etyczne, od dzieciństwa w Polsce pod zaborem do powojennej epoki rozkwitu post-imperialnej Anglii. Nie chciałbym, aby mnie posądzono o zdawkowe *obituarium* głoszące *nil nisi bene*, ale w istocie Kossowski był nie tylko wybitnym twórcą i doskonałym majstrem różnych dyscyplin, lecz również myślącym człowiekiem o rozległych horyzontach i nieskazitelnym charakterze. Reputacja jego i pozycja w Anglii ciągle wzrastają i dopiero dziś można z pewnością powiedzieć, że był jednym z poważniejszych artystów europejskich. Książka wydatnie przyczynia się do potwierdzenia takiej opinii, po-

\* Adam Kossowski. *Murals and Paintings. Introduction by Benedict Read. With contributions by professor Tadeusz Chrzanowski, Fr, Martin Sankey. O. Carm., and professor Tymon Terlecki.* Armelle Press, London 1991.



nieważ zwięźle zestawia całość twórczości, rozproszonej w czasie i przestrzeni. Równocześnie nasuwa ona refleksje o nietrwałości awangardy i bałwochwalstwa czystej formy, jako że twórczość Kossowskiego zadawała wymagania formalne kompozycji, równowagi koloru, światła i faktury, a równocześnie ukazuje bogactwo duchowe i intelektualny ładunek niepodległej sztuki sakralnej.

Sztuka sakralna w Polsce i na Zachodzie nie zawsze potrafiła uniknąć czułościowości lub pseudo-ludowych szablonów. Rzadko który twórca, malarz czy rzeźbiarz, mógł oderwać się od kliwigo neo-gotyku, od równoramiennych brwi i stożkowatych szyj, które redukowały kompozycje i ikonografię do geometrycznych abstrakcji, niezgodnych z dogmatem Wcielenia. Kossowski zrzekł się wszelkiego geometrycznego cierpiętnictwa, a ikonografię swą poddał nieubłaganej surowości dramatu Ewangelii. Natchnieniem była mu rzeźba romańska, ostatnie echa kultury klasycznej w średniowieczu, która zachowała jedność formy, funkcji, akcji, miejsca i osób. Była to tradycja wielkich portali katedr Francji i Hiszpanii, Gislebertusa z Autun i nieznanych rzeźbiarzy wczesnego średniowiecza. Kossowski posłużył się tradycją nie ukradkiem, lecz jako zdobywca, który objął należne mu dziedzictwo i nadał mu własny, współczesny wyraz. Jedyne Nolde w Niemczech i Rouault we Francji potrafili osiągnąć niezależne wyobrażenia w zakresie sztuki sakralnej. Kossowski osiągnął je w płaskorzeźbie ceramicznej, zaniedbanej na Zachodzie od kilku stuleci. Czy to są Stacje Męki Pańskiej w Liverpoolu, czy w katedrze w Cardiff, albo tympanony — Sąd Ostateczny w Leyland, Śmierć św. Tomasza Becketa w Rainham, czy historia rzymskiej Old Kent Road na zewnętrznych ścianach miejskiej biblioteki w Peckham w Londynie — wszędzie napotykały realizm wyrazu i prostotę modelunku, które chwytają za gardło bezpośrednim ujęciem i nieprzerwanym rytmem konturu. Przy tym wszystkim Kossowski nie zaniedbywał malarstwa. Wykonał cykl temperą historii Karmelitów w Aylesford, malował portret żony, siebie samego, martwe natury i pejzaże pełne melancholii.

Osobny rozdział stanowią gwasze z Rosji, opiewające wędrówkę polskiego żołnierza, sceny zesłania i katorgi na nieludzkiej ziemi, których artysta był współuczestnikiem i świadkiem. Malarstwo Kossowskiego wywodzi się z post-impresjonistycznego ugrupowania Pryzmat, a czasem przypomina Ślewińskiego, który przyjaźnił się z Gauguinem w Bretanii pod koniec ubiegłego stulecia. Jest to malarstwo intensywne koloru o formie uogólnionej sumarycznym rysunkiem i uproszczonym modelunkiem. Gwasze rosyjskie są rzadkim dokumentem pielgrzymstwa polskiego. Bez patosu, o powściągliwym realizmie, są unikatem, ponieważ żołnierzom wyjeżdżającym z Rosji w r. 1942 nie wolno było wywozić dokumentów, a aparat fotograficzny był rzadkością. Tę serię rosyjską Kossowski wystawił w Londynie w 1944 r., kiedy tak Anglicy jak Francuzi z uwagi na ówczesną aliancką hipokryzję nie przyjmowali do wiadomości, lub

odrzucał z niedowierzaniem informacje o łagrach i innych okropnościach rosyjskiej rzeczywistości.

Niezależny esej Tymona Terleckiego „Wiara przez wysiłek intelektu” omawia prace Kossowskiego, a w szczególności Apokalipsę w Kaplicy Królowej Marii Uniwersytetu Londyńskiego — wykonane techniką *sgraffito*. Objawienie św. Jana jest tematem trudnym, który wybitni artyści podejmowali od początków chrześcijaństwa. Skomplikowana symbolika i dramatyczna akcja ostatnich dni stworzenia wymagają od artysty nie tylko zrozumienia tekstu, ale wielkiej śmiałości skoków wyobraźni, a równocześnie narzucają granice w zakresie zgodności z nauką Kościoła. Kossowski wyszedł z tych zagrożeń obronną ręką, pozostawiając jedno z najpiękniejszych osiągnięć ściennej dekoracji. Koncepcje plastyczne Kossowskiego są charakterystyczne dla metafizycznego romantyzmu lat pięćdziesiątych, który nawiązywał do Bizancjum i do sztuki katakumb. Wspominam o tym, bo ważną rzeczą w zrozumieniu sztuki Kossowskiego jest jej przynależność do sztuki późno-klasycznej, nie tyle Aten Peryklesa, ile hellenizmu, jak portrety z Fajum i hieratyczny antynaturalizm malowideł ściennych. Wyobraźnia Kossowskiego nie daje się zredukować do analizy źródeł historycznych i pod tym względem esej Terleckiego jest mało przekonujący. Osobisty styl Kossowskiego wyłamuje się z reguł periodyzacji i ustala własną wizję: własny system konstrukcji przestrzennej i dynamiki form, które pozostają w ryzach dwuwymiarowych, zachowując domyślną głębię i następstwo czasu.

Katalog i bibliografia oraz zestawienie chronologiczne są dobrze opracowane przez Andrzeja Borkowskiego, a polskie teksty płynnie przełożone na język angielski przez Lydię Bauman.

Książka o Kossowskim jest niezbędnym dokumentem kultury polskiej; zestawieniem i omówieniem twórczości artysty, który niósł tę kulturę tam, gdzie język polski nie sięga. Zbyt długo nasza koncepcja kultury sprowadzała się do słowa pisanego i nie doceniała pozasłownych wypowiedzi twórczych. Ostatecznie Szymanowski czy Witkacy wybiegają daleko poza rogatki literatury, a wiek telewizji niekoniecznie musi posługiwać się spuścizną Gutenberga. Nazywając książkę o Kossowskim niezbędnym dokumentem kultury tak w kraju jak za granicą, wierzę, że dotrze tam, gdzie sztuka (niegdyś biblia ubogich) jest uznana jako *lingua franca* Zachodu.

Stanisław FRENKIEL



## Mickiewicz osobliwie potraktowany\*

Pod modnie sformułowanym i raczej enigmatycznym tytułem „Architekt arki” kryje się jeszcze jedna książka o Mickiewiczu. Autor postawił sobie jako zadanie „odczytanie twórczości poety, tak jak została napisana”, a przy okazji rozprawia się ryczałtem „z kłamstwami wypisywanymi o poecie przez historyków literatury”, potępiając ich w czambuł, nie oszczędzając nawet „zberznika Boya”. Kampania antybrązownicza z 20-lecia „nie przyczyniła się do nowego odczytania Mickiewicza, ale raczej upowszechniła przekonanie, że próby reinterpretacji jego twórczości prowadzą właśnie do grzebania się w brudnej bieliźnie”.

Walc wychodzi ze słusznego skądinąd przekonania, że Mickiewicz urwał raptownie twórczość poetycką około 1834 r. w 36-m roku życia po napisaniu „Pana Tadeusza” (i poślubieniu Celiny Szymanowskiej), choć nosił się z zamiarem kontynuowania „Dziadów” i w związku z tymi planami omawiał petersburskie realia więzienne z Niemcewiczem. Później, 4 września 1840, w górach, w czasie krótkiego pobytu w Interlaken zwierzał się Bohdanowi Zaleskiemu, że „czuje się tak rzeźwy, że aż mu się na wiersze zbiera”. Skończyło się na kilku, zresztą bezcennych, lirycznych wierszach lozańskich. Ma więc Walc zasadniczo rację pisząc, że twórczość poetycka Mickiewicza zamyka się w ramach kilkunastu lat i nagle urywa w r. 1834. Uwaga przy tym, że głównym powodem katastrofy było niefortunne małżeństwo, lojalnie jednak przytacza hipotezę Weintrauba o wygaśnięciu weny poetyckiej w związku z kryzysem religijnym, czemu jednak przeczą realia dające się wydobyć z korespondencji i relacji z rozmów, podejmowanie prób dramatycznych, a nawet palenie rękopisów przed wyruszeniem do Konstantynopola. Nie wdając się w szczegóły, Walc uważa, że po wydaniu „Pana Tadeusza” Mickiewicz przeobraził się z poety w polityka, „instytucję narodową” i działacza emigracyjnego, w stosunku do którego stosować trzeba inne kryteria.

Nie budzi także zasadniczych sprzeciwów lansowana przez Walca koncepcja łącznego traktowania utworów wywijających się, jeden z drugiego, w logicznym i chronologicznym porządku, choć sąsiedztwo „Pana Tadeusza” i „Dziadów cz. III-iej” niezbyt się z tym godzi. Razi natomiast i dziwi, że Walc uważa się za wynalazcę takiego podejścia.

Odrębne traktowanie dzieła poetyckiego stosowano do niedawna powszechnie, a publicystykę i wykłady doceniono dopiero na

\* Jan Walc: *Architekt arki*. Chotomów 1991, VERBA, s. 261.

przełomie wieku. Walc nie odkrywa Ameryki. Lozańska i paryska twórczość publicystyczna i pedagogiczna nie stała się dotąd własnością publiczną i jest nadal domeną specjalistów grzęznących w problemach związanych z planowaną od lat poprawną edycją polskiego przekładu wykładów paryskich.

Razi jednak przede wszystkim to, że Walc, sklejając dzieło młodego Mickiewicza w „spójną” całość, opiera się, jak się wydaje, wyłącznie na tekstach definitywnych opublikowanych w wydaniach zbiorowych — a nie na autografach. Tak więc nie dopatrzyłam się śladów „Wierszy Adama Mickiewicza w podobiznach autografów” (cz. 1) i bardzo ważnych uwag prof. Zgorzelskiego z poprzedzającej faksymilia przedmowy. Nie uwzględnił także Walc podstawowego dla okresu rosyjskiego „Albumu Moszyńskiego” z lat 1823-1828, zawierającego autografy 45 utworów, w tym 19 sonetów pisanych w pierwszych rzutach z niezmiernie licznymi poprawkami w innej, niż przyjętej w drukowanych wersjach, kolejności. „Album” — to prawda — nie jest jeszcze udostępniony w wiarygodnej reprodukcji, ale zawartość jego znana jest z obszernego omówienia prof. Bron. Gubrynowicza w „Pamiętniku Tow. im. A. Mickiewicza”, VI, 1898. „Album”, odnaleziony przed kilku laty, będzie w 1992 opublikowany w reprodukcji oryginału w t. II „Mickiewiczianów w zbiorach Tomasza Niewodniczańskiego w Bitburgu”. Warto było poczekać. Niejedno trzeba by zmienić! Wieszcz odznaczał się niekonsekwencją w życiu i w twórczości, przechodził lekkim krokiem od patosu „Ody do młodości” do sprostych filomackich wierszyków, podejmował nieprzemyślane decyzje (exemplum ślub z Celiną) i nie zawsze zasługiwał na podziw.

Czy jednak Walcowi chodziło tak bardzo o wydobyć „spójności” poetyckiego dzieła Mickiewicza? I czy jest to zaleta? Mam poważne wątpliwości! Przypuszczam, że w „spójnym” materiale poetyckim Walc chciał wykryć to, co w moich zamierzonych latach uniwersyteckich nazywało się „myślą przewodnią”, i że w pewnym stopniu to osiągnął. Co więcej: że za najistotniejsze dzieło Mickiewicza uznał „Konrada Wallenroda”; cała twórczość wcześniejsza była do niego przygotowaniem, a później rozwinięciem podtekstu — roli starca („wajdeloty”) jako wyrażiciela odwiecznych prawd (tradycji) przekazywanej wypróbowanym homeryckim sposobem w pieśni — od „gminnej” z „Romantyczności” i ballad, poprzez „Grażynę”, „Popas w Upicie” — aż do „Pana Tadeusza”. Starą metodą wykresów bólu ojcowskiego w „Trenach” można by wykreślić na podstawie „Architekta arki” wykres ilustrujący kielkowanie tego pomysłu, realizację w „Konradzie Wallenrodzie” aż po recepcję, w której, *hélas*, dostrzegano raczej „stu Wallenrodów”, jako efekt poematu, co się na oczach naszych nadal sprawdza. Konrad Wallenrod ma potężnego konkurenta w Halbanie, który jest głównym eksponentem koncepcji „arki”. Walc przypomina jednak słusznie, że — podobnie jak w „Romantyczności” — genyzy koncepcji „pieśni gminnej” szukać należy w filareckich zainteresowa-



niach etnograficznych karmionych pionierskimi pracami Zoriana Dołęgi Chodakowskiego, znanymi niewątpliwie Mickiewiczowi.

W „Romantyczności” Mickiewicz rozprawia się ze „szkiełkiem i okiem” (*nota bene* przekornym tytułem mojej stałej rubryki w dawnych *Wiadomościach*), a więc problemem gruntownie przeze mnie przemyślanym z bliskimi Przybylskiemu wnioskami. I właśnie „szkiełko i oko” podsuwa mi przypomnienie, że w okresie pisania „Romantyczności” i „Ody do młodości” Mickiewicz ponosił klęski w staraniach o stypendium zagraniczne od profesorów z „poradłonymi czołami”. Poświadcza to pośrednio podkreślana przez Walca niespójność oświeceniowego i romantycznego myślenia. Pisano o tym wiele, nie zawsze mając za złe pseudo-truczny Oświecenia.

Obok motywu „arki” uwagę Walca absorbuje problem „szlachetnej zdrady”. Poprzedzają go jednak rozwlekłe i wtórne uwagi o tym, co na ten temat da się wyłuskać z gruntu obskubanych już ze wszystkich sensów i znaczeń „Dziadów cz. IV”. Walc zdaje się stawiać znak równania nad szalonym Gustawem zjawiającym się z suchą gałęzią u dobrotliwego księdza-wdowca a obłąkanym Konradem z Wielkiej Improwizacji. I to nie nowość: staje przed tym dylematem każdy reżyser i każdy aktor wcielający się w rolę Gustawa/Konrada.

Energicznego sprostowania domaga się sprawa „rany na czole Konrada”, wyraźnie niedopowiedziana. Walc, uprzedzony do „starzych polonistów”, nie dotarł chyba do podstawowego w tej materii artykułu prof. Pigionia (opublikowanego w „Poprzez stulecia”, PWN, 1985, 206-215 — i poprzednio w „Wiążance hist.-lit.” 1969, 149-158). Artykuł ten dokładnie komentuje wspomnianą zresztą przez Walca deklarację lojalności wobec władz carskich, podpisaną przez Mickiewicza przy wyjściu z więzienia w Wilnie. Zdaje się, niestety, nie ulegać wątpliwości, że miała zasadniczy wpływ na wymiar kary i rosyjskie adresy oraz fikcyjne a nieźle i długo płatne pseudo-posady. Podobnie przecież „winni” Zan i Czeczot odpokutowali wileńskie igraszki w Orenburgu, a Piotr Moszyński, znajomy z krymskich wywczasów, słynny „Album” otrzymał w darze w petropawłowskim więzieniu przed wyruszeniem do Tobolska na krótko przed uzyskaniem przez Mickiewicza paszportu zagranicznego.

To właśnie była „rana na czole Konrada”. O tym, jak głęboko przemyślał poeta „Historię” Machiawela, świadczy nie tylko motto „Konrada Wallenroda” ale i fakt, że tę właśnie lekturę sygnalizuje w liście do przyjaciół w Orenburgu w finale apologii, chcąc jej nadać szczególną wagę.

Książka Walca jest właściwie dwutomowa: „arka” i „szlachetna zdrada” przeplatają się w niezmiernie inteligentnie zestawionych obserwacjach. Temat „arki”, „wielki pomysł” Mickiewicza, powraca wielokrotnie: bezpośrednio w poematach historycznych, we wtrętach i dygresjach w IV i III cz. „Dziadów”, w genezie i posłowie „Pana Tadeusza”. „W żadnym kraju i żadnym czasie literatura nie wzięła na siebie świadomie takiego zadania, ale też nigdy i nig-

dzie nie odegrała takiej roli jak w Polsce dwu ostatnich wieków” (s. 95). Mickiewicz roli tej się podjął i „sakralizował literaturę ustanawiając ją arką przymierza”. Miarą jej siły i możliwości jest prośtwa Halbana: „Z tej pieśni powstanie mściciel naszych kości”.

Słowacki, ceniony bardzo wysoko przez Walca, potępiał wallenrodizm i popularyzując ten termin w „Beniowskim” (II) przewidywał, że Mickiewicz wprowadzając

*pewny do zdrady metodyzm,  
Z jednego zrobił zdrajców sto tysięcy.*

Tak wyglądały sprawy polskie w połowie XIX w. Ilu „Wallenrodów” doliczyć by się można dzisiaj? Czy bardzo by nas zdziwiła nominacja Konrada Wallenroda na generała, z dwoma narzucającymi się wyobraźni podpisami na odpowiednim dyplomie?

W stosowanym przez Walca łącznym traktowaniu rozsianych wzmianek i aluzji geneza poematu rysuje się wyraźniej i nabiera rumieńców. Walc uważa poemat za kluczowe osiągnięcie Mickiewicza i zdecydowanie podwyższa jego rangę w całokształcie dorobku poety. Idzie w tym dalej od Marii Janion i jej „ostatnich słów” o poemacie. Uważa, że „Konrad Wallenrod” otwiera nową epokę polskiej literatury i zdecydowanie podwyższa jego rangę w całokształcie dorobku Mickiewicza. Nie zamykając oczu na mankamenty tła historycznego, patrzy na poemat oczyma pokolenia, któremu problemy spisków i konspiracji dobrze były znane. W tym kryje się swoista aktualność „Architekta arki” i myślę, że wielu rówieśników autora wiele się doczyta w ukrytych w niej aluzjach.

Mnie, dla odmiany, interesowały bardziej sądy Walca o rosyjskim okresie biografii Mickiewicza, a więc latach, w których dojrzał i ogłoszony był drukiem. W toku własnych moich prób odpowiedzi na znaki zapytania, a jest ich w tym okresie wiele, zetknęłam się z relacją angielskiego kapitana marynarki Frederica Chamiera, który obracał się w Rosji w kręgu znajomych poety, a do Londynu wysyłał kolejne rozdziały „Anecdotes of Russia”, w których omawiał kolejno tematy będące zarówno odpowiednikami „Ustępu”, jak i znacznie późniejszych opisów de Custine’a. Jeden z jego felietonów zawiera opis życia literackiego w Rosji ze wzmiankami o Puszkynie i „Polaku, obecnie więźniu rosyjskim, Adamie Mickiewicz” i innych Polakach, którzy „dalecy są od tego, by zachwycać się ich obecną sytuacją”. Chamier zetknął się osobiście z Mickiewiczem w salonie ks. Wołkońskiej podczas wieczoru, na którym Karolina Jaenisch czytała fragmenty swego francuskiego przekładu „Konrada Wallenroda”, a te tak go zainteresowały, że podjął się przekładu „Alpuhary” na angielski. Korespondencje Chamiera, drukowane w 1829-30 w londyńskim *The New Monthly Magazine*, omówiłam obszernie po angielsku w *The Slavonic and East European Review*, XL, 1961, nr 94, oraz po polsku w *Tekach Historycznych*, Londyn, 1962-3 — jak większość mickiewiczianów emigracyjnych przeszły jednak niezauważone.



W okresie rosyjskim działo się więcej niż to, co konkretnie nam wiadomo, nawet włączając zebrane przez S.S. Łandę i jeszcze nie rozpracowane okrucy. To samo odnosi się do przyjaciół z okresu włoskiego (np. towarzyszy podróży do Rzymu z powstania) czy rozległych i nie zawsze budujących kontaktów z okresu wykładów paryskich.

Warto także, w związku z supozycjami na temat daty powstania „Ustępu” odnotować, iż gdyby, co także wydaje się prawdopodobne, powstał w Rosji, mógłby wnieść go na statek i przeszmuglować mąż ks. Zinajdy Wołkońskiej, który towarzyszył Mickiewiczowi w drodze z Kronsztadu do Hamburga. „Czemuż to pisać o tym nie chcecie panowie?” (i panie).

Fejő, 28.X.1991

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

## Nadesłane nowości wydawnicze

- Collegium Polonorum*, tom 10. Str. 256. (Wyd. Papieskie Kolegium Polskie w Rzymie, Rzym 1989/90).
- Odповідь miłości*, Jan Paweł II: *Litania do Serca Jezusa: jej głębia*. F.J. Power, S.J.: *Serce Jezusa symbolem miłości Boga*. Str. 204 i 4 nlb. (Wyd. Posłaniec Serca Jezusa, Chicago 1991).
- MEKARSKA-KOZŁOWSKA (Barbara). *Lwów twierdza kultury i niepodległości. Referat wygłoszony 29 listopada 1988 r. w Bibliotece Polskiej w Paryżu (poszerzony i uzupełniony)*. Str. 136. (Wyd. nie podane, Londyn 1991).
- STOMMA (Stanisław). *Pościg za nadzieją*. Str. 224 i 4 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1991).
- WITTLIN (Józef). *Pisma pośmierne i inne eseje*. Wybór, przedmowa i opracowanie Jana Zielińskiego. Str. 427 i 5 nlb. (Wyd. Wiąz, Warszawa 1991).
- ŚPIEWAK (Paweł). *Ideologie i obywatel*. Str. 234 i 2 nlb. (Wyd. Wiąz, Warszawa 1991).
- STAŁA (Marian). *Chwile pewności. 20 szkiców o poezji i krytyce*. Str. 281 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1991).
- DREWNOWSKI (Jan). *Rozkład i upadek sowiezizmu w Polsce*. Str. 214 i 2 nlb. (Wyd. Norbertinum, Lublin 1991).
- MERTON (Thomas), MIŁOSZ (Czesław). *Listy*. Przeł. Maria Tarnowska. Str. 168. (Wyd. Znak, Kraków 1991).
- Odwrotna strona medalu. Z Jarosławem Kaczyńskim rozmawia Teresa Bochwic*. Str. 151 i 1 nlb. (Wyd. Of. Wyd. MOST i Wyd. VERBUM, Warszawa 1991).
- ZURAKOWSKA (Zofia). *Skarby. Pożegnanie domu. Wstęp Jerzego Ficowskiego*. Str. 375 i 5 nlb. (Wyd. RePrint, Warszawa 1991).
- BURDZIEJ (Bogdan). *Inny świat ludzkiej nadziei. Szkice Adama Szymańskiego na tle literatury zyskowej*. Str. 252 i 4 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Toruń 1991).
- ZAREMBA (Paweł). *Historia Dwudziestolecia 1918-1939*. Opr. Marek Łatyński. Str. 519 i 1 nlb. (Wyd. Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków 1991).

- Warszawa naszych pradiadków. Ilustrowany przewodnik w podróżach*. 1893. Str. 292 i 20 nlb. (Wyd. RePrint, Warszawa 1991).
- Album pamiątkowe. Widoki stron rodzinnych Adama Mickiewicza. Zebrali Teofil Eugeniusz Boretti*. (Wyd. RePrint, Warszawa 1991, pierwodruk Warszawa 1990).
- MIŁOSZ (Czesław). *Rok myśliwego*. Str. 333 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1991).
- MORAWIEC (Elżbieta). *Powidoki teatru. Świadomość teatralna w polskim teatrze powojennym*. Str. 371 i 5 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991).
- KACZOROWSKI (Bartłomiej). *Dzieje Polski. O sztuce w Polsce*. Str. 146 i 4 nlb. (Wyd. Fundacja „Historia pro futuro”, Warszawa 1991).
- CHWIN (Stefan). *Krótką historią pewnego zartu. (Sceny z Europy środkowowschodniej)*. Str. 260 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1990).
- FILIPOWICZ (Kornel). *Wszystko, co mieć można*. Str. 296. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991).
- Polska-Ukraina. 1000 lat sąsiedztwa*. T. 1. *Studia z dziejów chrześcijaństwa na pograniczu etnicznym*. Pod redakcją Stanisława Stępnia. Str. 284 i 4 nlb. (Wyd. Południowo-Wschodni Instytut Naukowy, Przemyśl 1990).
- FREDRO-BONIECKI (Tadeusz). *Wychođenje z piekła. Dalszy ciąg zwycięstwa ks. Jerzego*. Str. 221 i 3 nlb. (Wyd. Rytm, Warszawa 1991).
- WISNER (Henryk). *Litwa i Litwini. Szkice z dziejów państwa i narodu*. Str. 229 i 3 nlb. (Wyd. Ogólnopolski Klub Miłośników Litwy, Olsztyn 1991).
- NIEKRASZ (Lech Z.). *Czerwone i brunatne*. Str. 132 i 4 nlb. (Wyd. „Marpress”, Gdańsk 1991).
- GEREMEK (Bronisław). *La rupture. La Pologne du communisme à la démocratie*. Traduit du polonais par Maryla Laurent. Choix, notes et présentation de Georges Mink. Str. 296 i 8 nlb. (Wyd. Seuil, Paryż 1991, cena F. 120).
- STEMPOWSKI (Jerzy). *Essais pour Cassandre*. Traduits du polonais par Anna Ciesielska et Krystyna Bourneuf. Str. 151 i 1 nlb. (Wyd. Noël Blandin, Paryż 1991, cena F. 120).
- MONMARTE (Daniele). *Le théâtre libéré de Prague. Voskovec et Werich*. Préface de Vaclav Havel, postface de Denis Bablet. Str. 286 i 2 nlb. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1991).
- Notre frère l'arbre. Cahiers Bleus nr 50*, str. 142. (Troyes 1991).
- LEC (Stanisław Jerzy). *Pensées échelées*. Traduit du polonais par André et Zofia Kozimor. Str. 152. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwejcaria 1991).
- VOISE (Waldemar). *Le passé du futur idéal. Les moyens imaginaires*. Str. 104. (Wyd. Institut d'histoire des Sciences, de l'Education et des Techniques, Varsovie 1991).
- FRAJLICH (Anna). *Between Dawn and the Wind. Selected Poetry*. Translated from the Polish with an introduction by Regina Grol-Prokopczyk. Str. 100. (Wyd. Host Publ. Austrin TX, USA 1991).
- SEVCENKO (Ihor). *Byzantium and the Slavs in Letters and Culture*. Str. 740. (Wyd. Harvard University Press, Cambridge MA, USA, 1991).
- Harvard Ukrainian Studies. Adelphotes: A Tribute to Omeljan Pritsak by his Students*. Vol. XIV, nr 3/4, December 1990. Str. 648. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge MA, USA).
- „The Unfinished Revolution”. *The National Endowment for Democracy's Third International Conference on Democracy*. April 15-16, 1991, Washington D.C. Str. 92 i 4 nlb. (Wyd. Nat. Endowment for Democracy, Washington D.C., USA).



## KRAJ — BLOK WSCHODNI

6.10.91

*Przegląd Tygodniowy* podaje, że pp. Władysław Bartoszewski, Cezary Chlebowski, Stanisław Dąbrowa-Kostka, Józef Garliński, Stanisław Jankowski, Roman Korab-Zębryk, Grzegorz Mazur, Jan Nowak-Jeziorański i Andrzej Przewoźnik zaprotestowali przeciwko uchwale Rady Miasta Krakowa nadania jednej z ulic Krakowa nazwy „Józefa Mackiewicza”. Czas byłoby skończyć już z tą obsesją na temat Józefa Mackiewicza.

11.10.91

Zmarła w Warszawie Janina Romanówna, wybitna aktorka teatrów polskich.

12.10.91

Nowe przywileje dla Kościoła. Sejm RP uchwalił, że parafie, seminaria duchowne, zakony i diecezje będą mogły otrzymać nieodpłatnie grunty na terenach zachodnich i północnych, w obszarze do 50 ha, pochodzące z Państwowego Funduszu Ziemi. Przedłużono również termin wnoszenia roszczeń majątkowych przez Kościół do końca 1992 roku.

15.10.91

Na Uniwersytecie Wileńskim powstała „Tilia” — pierwsza korporacja studencka na Litwie zrzeszająca młodzież Wydziału Historycznego tego uniwersytetu. Członkami honorowymi zostali: profesorowie M. Jucas (Uniw. Wileński), A. Bumblauskas (Uniw. Wileński), A. Sidlauskas (Uniw. Wileński) oraz S. Łozoraitis jr. i Michał Giedroyc (dwaj ostatni spoza Litwy).

25.10.91

W czasie ostatnich wyborów do Sejmu w Polsce proboszczowie otrzymali instrukcję zalecania wiernym głosowania na listy Chrześcijańskiej Demokracji, Porozumienia Obywatelskiego „Centrum”, Ruchu Ludowego „Porozumienie ludowe”, Wyborczej Akcji Katolickiej oraz Partii Chrześcijańskich Demokratów. ■ Prawosławny patriarcha Moskwy, Aleksiej II, odmówił udziału w synodzie biskupów w Rzymie, na który został zaproszony przez Stolicę Apostolską. W ten sposób Cerkiew prawosławna protestuje przeciwko polityce Watykanu na Ukrainie.

1.11.91

Redakcja miesięcznika *Teatr* w Warszawie przyznała następujące nagrody za rok 1990/1991: nagrodę im. Konrada Swinarskiego otrzymali: Jerzy Grzegorzewski za inscenizację „Śmierci Iwana Iljicza” Lwa Tołstoja oraz Włodzimierz Staniewski wraz z zespołem za stworzenie i działalność ośrodka praktyk teatralnych Gardzienice; nagrodę im. Aleksandra Zelwerowicza za najlepsze role sezonu otrzymali: Ewa Mirowska za rolę tytułową w przedstawieniu „Chungue” M. Vargas Llosy w teatrze im. Jaracza w Łodzi i „Maestra” w telewizyjnej adaptacji „Trans-Atlantyku” Gombrowicza oraz Jerzy Radziwiłowicz za rolę Henryka w „Ślubie” Gombrowicza w Starym Teatrze w Krakowie i Jerzy Trela za rolę ojca w tym samym przedstawieniu.

4.11.91

W Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu zostało zdeponowane archiwum Stanisława Vincenza. Prawdopodobnie w końcu br. prochy zmarłego w Szwajcarii w 1971 r. Stanisława Vincenza i jego żony, Ireny zostaną sprowadzone do Polski i pochowane w Krakowie.

6.11.91

Od Bożego Narodzenia br. zacznie funkcjonować warszawskie radio katolickie. Będzie ono całkowicie niezależne. Trzeba tu zaznaczyć, że jest dużo audycji o tematyce religijnej w programach Polskiego Radia i Telewizji.

21.11.91

Zmarł w Bratysławie w wieku 78 lat Gustav Husak. Był on jednym z najbardziej niepopularnych polityków, który po likwidacji Wiosny Praskiej stanął na czele normalizacji.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

10.9.91

Międzynarodowa nagroda literacka „Vilenica”, ustanowiona przed sześciu laty przez Stowarzyszenie Pisarzy Słoweńskich, została w br. przyznana Zbigniewowi Herbertowi, który z powodu złego stanu zdrowia nie mógł jej odebrać osobiście i wysłał depezę „Dziękuję za nagrodę tym cenniejszą, że przyznana w pełnej dramatyzmu, historycznej dla Jugosławii i jej republik chwili...”. Na uroczystość wręczenia nagrody przybył jednak Adam Michnik, który przyjechał z Belgradu samochodem przez Węgry w towarzystwie radcy kulturalnego ambasady polskiej w Belgradzie, p. Magdaleny Petryńskiej.

10.10.91

W Ambasadzie polskiej w Sztokholmie odbyło się wręczenie komandorii orderu *Polonia Restituta* Norbertowi Żabie, przedstawicielowi *Kultury* w Szwecji.

23.10.91

Komitet Pomocy Polakom w Rosji, który dwa lata temu powstał w Londynie, ogłosił szczegółowe sprawozdanie finansowe, które ukazało się w londyńskim *Dzienniku Polskim*. Ogółem wypłacono Dol. 33.981,00 oraz £stg. 5.488,39.

24.10.91

Komitet Funduszu im. Jerzego Łojka przy Instytucie im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku przyznał następujące nagrody za rok 1991: pierwszą nagrodę otrzymał Jędrzej Tucholski za pracę „Mord w Katyniu. Lista ofiar” wydaną przez PAX; drugą nagrodę przyznano Grażynie Lipińskiej za książkę „Jeśli zapomnę o nich...”, wydaną przez Editions Spotkania w Paryżu; ponadto wyróżniono pracę Kazimierza Zamorskiego „Dwa tajne biura Drugiego Korpusu” wydaną przez Oficynę Malarzy i Poetów w Londynie oraz pismo *Jaworzniacy*, organ Związku Węźniów Politycznych.

27.10.91

W Anglii zmarł w wieku 77 lat Andrzej Panufnik, kompozytor, pianista i dyrygent. ■ W Melbourne (Australia) odbyło się zebranie założycielskie Australijskiego Instytutu Spraw Polskich. Wybrano komitet wykonawczy w



osobach: Jerzy Zubrzycki (przewodniczący), Adam Warzel (wiceprzewodniczący), i Barbara Zagała (sekretarz). Instytut ten ma służyć upowszechnianiu na terenie Australii informacji o sprawach dotyczących Polski i stosunków polsko-australijskich.

31.10.91

Anders Bodegard wygłosił odczyt (w języku polskim) pt. „Gombrowicz — niepokodny meteorolog” (o przekładzie „Dziennika” na język szwedzki). Ten wieczór literacki odbył się w Towarzystwie Przyjaciół *Kultury* w Sztokholmie.

8.11.91

Zmarł w Londynie Antoni Dargas, prezes Stronnictwa Narodowego i długoletni redaktor naczelny *Myśli Polskiej*.

12.11.91

W Bibliotece Polskiej w Paryżu została otwarta wystawa upamiętniająca życie i dzieło Ignacego Paderewskiego w 50-lecie Jego śmierci. Wystawa została zorganizowana przez Towarzystwo im. Ignacego Paderewskiego w Paryżu. Ponadto 15 listopada br. odbył się odczyt gen. Yves Faury pt. „Udział Polaków w kampanii francuskiej w czerwcu 1940 r.”. ■ Na skutek zabiegów Zbigniewa Racińskiego, przewodniczącego Anglo-Polish Conservative Society, Margaret Thatcher spotkała się w londyńskim „Ognisku polskim” z przedstawicielami społeczeństwa polskiego. Po przemówieniach Zbigniewa Racińskiego i p. Thatcher padły z sali zapytania m.in. w sprawie wiz dla obywateli polskich. P. Thatcher zajęła w tej sprawie stanowisko zdecydowanie negatywne.

13.11.91

W ośrodku Polskiej Akademii Nauk w Paryżu odbył się odczyt prof. Józefa Hurwica na temat „Pseudo-découvertes: erreurs et fraudes en sciences”. 21.11.br. w tymże ośrodku została otwarta wystawa wydawnictw naukowych Instytutu Historii Nauki i Techniki w Warszawie, zaś 28.11.br. prof. Paul Brouzeng wygłosił odczyt pt. „Pierre Duhem et Władysław Natanson: la coopération franco-polonaise dans la naissance de la science de l'irréversible”.

15.11.91

W Instytucie Polskim w Paryżu odbyło się 5.11.br. spotkanie z Janem Kottem z okazji ukazania się francuskiego przekładu jego książki pt. „La vie en sursis”; 11.11.br. Andrzej Łapicki wygłosił odczyt pt. „Sytuacja obecna w kulturze polskiej”, zaś 15.11.br. odbył się wieczór poetycki Stanisława Beresia.

20.11.91

Francuskie Ministerstwo Kultury przyznało Instytutowi Polskiemu w Paryżu — w uznaniu jego pożytecznej działalności — specjalną dotację za r. 1991 w wysokości F. 70.000. Instytut Polski pod kierownictwem dyrektora Bogusława Sonika w krótkim czasie z nieznanego dotąd placówki stał się żywym ośrodkiem kulturalnym, odwiedzanym przez licznych Polaków i Francuzów.

22.11.91

W Centre du Dialogue w Paryżu Zdzisław Najder wygłosił odczyt pt. „Pułapka politycznego pragmatyzmu”. Ponadto 2 grudnia br. będzie miał

miejsce recitalu poetycki Maji Komorowskiej, a 13 grudnia br. Stanisław Stomma będzie mówił na temat „Refleksje nad nową sytuacją w Polsce”.

26.11.91

Na Sorbonie w Paryżu odbyło się spotkanie z Henrykiem Grynbergiem z okazji ukazania się w języku francuskim jego powieści „California Kaddish”. Przekładu dokonała p. Małgorzata Smorag. Książka ukazała się w br. w wydawnictwie ADAGE w Paryżu.

7.12.91

Na Uniwersytecie Paris Sorbonne grupa studiów czeskich i słowackich zorganizowała zebranie poświęcone przygotowaniu kolokwium o Comeniusie a Antoine Mares wygłosił odczyt o roli Louis Leger w stosunkach czesko-francuskich.

## KRONIKA KANADYJSKA

Dnia 15 października w Faculty Club Uniwersytetu Toronto odbyła się formalna ceremonia podpisania aktów, na mocy których powołana będzie profesura historii Polski. Uniwersytet uzależnił utworzenie profesury od otrzymania zobowiązań w wysokości 450.000 dolarów ze strony Polonii, a pełny koszt wyniesie 750.000 dolarów. Suma przeznaczona bowiem jest nie tylko na uposażenie profesora, ale na dodatkowych pracowników naukowych, prowadzenie badań itp. Polonia — przez KPK — zebrała \$ 400.000. Ta kwota oraz gwarancje na ratalne roczne wpłaty organizacji i instytucji polonijnych zostały przekazane uniwersytetowi przez prezesa KPK, mec. Malickiego, w obecności przedstawicieli donatorów. Przewiduje się iż w następnym roku akademickim rozpoczną się wykłady historii Polski. ■ Biblioteka Polska im. Wandy Stachewicz rozpoczęła doroczną zbiórkę, której celem w bieżącym roku akademickim 1991/92 jest \$ 25.000. W ubiegłym roku akademickim zebrano \$ 20.000, a to dzięki zwiększonym dotacjom Funduszu Millenijnego, Fundacji im. A. Mickiewicza i Polskiej Fundacji Kulturalno-Społecznej (Montreal). Wśród donatorów znajduje się *Kultura*. Biblioteka ta posiada największy polski księgozbiór oraz zbiory polskich czasopism w Kanadzie. Ze sprawozdania wynika, że liczba regularnych czytelników przekroczyła 1.250 osób, a wypożyczono ponad 15.500 książek. ■ Walne Zjazdy Delegatów Związku Polaków i Związku Narodowego odbyły się w dniach 12-14 października, pierwszy w Grimsby, drugi w Woodstock. Cele i zadania Związku Polaków przedstawił na kanwie historycznej p. Rzepka, podkreślając niezależność organizacji. Przypomniał, że jej delegat na Światowy Zjazd Polaków w Warszawie w 1934 r. odmówił ślubowania na wierność Prezydentowi RP, gdyż Związek Polaków jest organizacją kanadyjską i skupia obywateli tego państwa. Kanada



nie jest dla ZP i jego członków stacją przejściową, ale ojczyzną ze swobodnego wyboru. Stanowisko to — wywodził — jest konsekwentnie przyjmowane po dziś dzień. Wykazują to wyraźnie m.in. uchwalone rezolucje. Pierwsza odnosi się do Kanady: domaga się zachowania w projektowanej nowej konstytucji polityki wielokulturowości, sprzeciwia się wszelkim próbom osłabienia i rozbitcia Kanady, popiera projekt powszechnych wyborów do Senatu i wzywa rząd Kanady do rozwoju wielostronnych kontaktów z Polską. W następnych rezolucjach: życzenia dla narodu polskiego w związku z wyborami parlamentarnymi uznanie dla jego postawy w obecnej trudnej sytuacji i apel do członków o szeroką pomoc dla Polski. Inne rezolucje dotyczą prac organizacyjnych. Ostatnia, skierowana do Canada Post — przedsiębiorstwo państwowe — apeluje o wydanie w 1992 r. znaczka pocztowego dla upamiętnienia 125 rocznicy urodzin Marii Curie-Skłodowskiej. ■ Mimo bardzo silnej i długiej akcji propagandowej polonijnej prasy udział w wyborach był niski. Komisja przygotowała 3.000 kart celem usprawnienia i przyspieszenia głosowania, jako że liczono na około 5.000 wyborców. Przybyło i głosowało 1.286 osób, z tego na Unię Demokratyczną — 254, Blok Mniejszości Narodowych — 252, Porozumienie Centrum — 210, Kongres Liberalno-Demokratyczny — 129, Konfederację Polski Niepodległej — 95, Wyborczą Akcją Katolicką — 64, Ruch Demokratyczno-Społeczny — 51, a na pozostałe listy od 18 do 40 głosów. ■ Minister Imigracji, Bernard Valcourt, przedstawił Izbie Gmin program i cele polityki imigracyjnej w 1992 r. Przewiduje — zgodnie z poprzednimi planami — przyjęcie 250.000 imigrantów, ale nacisk położony będzie na osoby posiadające kwalifikacje zawodowe lub posiadające kapitały. Głównym bowiem celem jest uzupełnienie rynku pracy, uzdrowienie gospodarki narodowej. W kategorii fachowców i niezależnych planuje podniesienie przewidzianej poprzednio liczby 89.000 o 6.000. Zapowiedział załatwienie aplikacji uchodźców znajdujących się w różnych państwach europejskich oraz w Kanadzie, ogółem około 50.000.

Toronto, 2 listopada 1991

B.H.

## Listy do Redakcji

Cooma, 20 października 1991

Drogi Panie Redaktorze,

List do redakcji nie jest odpowiednim forum dla dyskusji o kompozytorach muzycznych. Jednak po przeczytaniu „Wspomnień o Mozarcie” p. Antoniego Buchnera (*Kultura*, nr 10/529) nie mogę powstrzymać się od zaprotestowania przeciwko określeniu symfonii Beethovena jako „miejskami hałaśliwych” lub do stosowania w stosunku do nich takich określeń jak: „płatnina tematów”, „zbyt głośne i krzykliwe”, „w gruncie rzeczy mało muzyczne” itp.

Antoni Buchner powołuje się na (wyrwane z kontekstu) opinie Ryszarda Wagnera przy omawianiu IX (Chóralnej) Symfonii Beethovena. Może warto byłoby, aby przeczytał opinie tegoż Wagnera o teże symfonii cytowaną przez prof. Juliusa Harrisona, profesora kompozycji w Royal Academy of Music. To co p. Buchner określa jako hałaśliwość i krzykliwość — cytowany przez prof. Harrisona Wagner określa jako *exultation* (po niemiecku: *Jubel*).

Pan Buchner twierdzi, że Mozart przedkłada nad naturę — kulturę. Może więc warto przytoczyć opinię Michaela Kennedy'ego, historyka muzyki, który pisze o Mozarcie: *perhaps the only element missing* (podkreślenie moje — A.N.) *is the worship of Nature which Beethoven and later the 19-th century composers were to supply.*

Mógłbym cytować inne autorytatywne opinie na temat różnicy między rozrywkowymi i eleganckimi kompozycjami fenomenalnego *Wunderkinda* z Salzburga i genialną twórczością giganta z Bonn; między często aż bardzo widoczną niedojrzałością jego uwertur podniesionych do rangi symfonii — i wzniosłością twórcy klasycznej symfonii. Mógłbym zacytować mozartologa, prof. Edwarda Denta, prezydenta ISCM (*International Society for Contemporary Music*) Edwina Evansa oraz powołać się na innych muzykologów, których opinie o Mozarcie i Beethovenie niekoniecznie zgadzają się ze śmiałymi poglądami p. Buchnera.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Adam NASIELSKI

P.S. Nie lubię być gołosłowny. Więc podam poza tekstem, że informacje i cytaty są z *Grove's Dictionary of Music and Musicians* — wyd. Macmillan, London, *The Musical Companion* A.L. Bacharacha i *Oxford Dictionary of Music*, Scholes-Kennedy. A.N.



Germanofobia Anglików jest sprawą równie znaną jak ich germanofilia. W tym my Polacy jesteśmy trochę do nich podobni. Zwraca uwagę, że spośród wymienionych przez Pana źródeł wszystkie są angielskojęzyczne. Ale to przecież dobrze, jeśli jakaś stara, zasobna kultura — jak np. kultura angielska — zamiast gonić w nacjonalistyczną „piętkę”, potrafi zdobyć się na podziw dla sąsiadów zza morza. Skądinąd nie tylko w dziedzinie filozofii, nie mówiąc już o literaturze, lecz i w dziedzinie muzyki mają Brytyjczycy czym się chwalić: Byrd, Dowland, Purcell, Delius, Elgar, Britten itd. Oczywiście muzyka niemiecka była (czy jest nadal, ta komponowana dzisiaj?) bogatsza i obfitsza od niejednej innej. Ale też odgrywała ona w kulturze niemieckiej inną, bardziej centralną rolę. Czy zawsze samym Niemcom wychodziło to na dobre, o tym można przeczytać m.in. w „Doktorze Faustusie” Tomasza Manna.

Zachwyty Anglików (ale i Francuzów, np. Romain Rollanda) dla Beethovena nie zmieniają przecież tego, że jego muzyka jest przede wszystkim sprawą samych Niemców, a może trochę i Austriaków, skoro Wiedeń stał się dla Beethovena „Ojczyzną z wyboru”. Tymczasem historyk nie ma prawa poprzestać na zachwytach, jeśli sama kultura niemiecka prócz czci owej „gigantowi z Bonn” odnotowuje także opór, jaki jego muzyka niekiedy wywoływała. Wypowiedzi krytyczne Ludwika Tiecka (zawarte w jego zbiorze „Phantasia” III z 1816 r.) czy plakatowe inwektywy antybeethovenowskie Bertolda Brechta (w jego dziennikach z czasów amerykańskich) są faktem. Czy faktem do przemilczenia? Herezja irtuje, ale czasem to ona właśnie pozwala lepiej zrozumieć religię prawdziwą.

Ryszard Wagner w ciągu swojego życia zmieniał poglądy: najpierw imponował mu Meyerbeer, potem go potępiał, najpierw potępiał Rossiniego, potem zapewniał o szacunku dlań. W Niemczech bywało niebezpieczne okazywanie, że się „nie lubi” Beethovena, Hegla czy nieco później Marksa. Dlatego krytyka muzyki Beethovena (zawołowana, to prawda), krytyka jednej z jej zasad: wyrazistej, niekiedy konwulsyjnej „mowy dźwięków” (*Mehr Ausdruck der Empfindung als Malerei* — brzmi motto VI Symfonii Beethovena) zawarta w rozprawie Wagnera *Aufführung über die Neunten Symphonie von Beethoven im Jahre 1846, nebst Programm dazu* zasługuje na uwagę, zwłaszcza jeśli z tej krytyki wywodzi się jedna z głównych idei Wagnera: zasada dramatycznego śpiewu i *unendliche Melodie*. W 1870 r. (stulecie urodzin Beethovena), na fali nacjonalizmu niemieckiego spowodowanego przez wojnę francusko-pruska, Wagner — już sławny — nie ma dla Beethovena nic innego poza słowami zachwyty. Który z tych Wagnerów jest prawdziwszy?

A jednak to wspaniałe, że nie mógł się Pan powstrzymać od chwycenia za pióro, by wystąpić w obronie Beethovena (nawet jeśli z pewną szkodą dla Mozarta). Dziękuję Panu za tę lekcję i serdecznie pozdrawiam.

Antoni BUCHNER

Brisbane, 24.10.1991 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

List otwarty p. Zbigniewa Demidowa (*Kultura* 10/529) przeczytałem z tzw. mieszanymi uczuciami.

W latach 1978-80 pracowałem w Libii (kontrakt indywidualny) i w czasie

tego pobytu miałem wrażenie, że przedsiębiorstwa działające tam nie tylko, że niemilosiernie eksploatowały swoich pracowników, ale również były fatalnie prowadzone. Dlatego jestem głęboko przekonany, że oskarżeniami Zbigniewa Demidowa powinna się już dawno zająć prokuratura. Teraz nasunęły mi się dwa spostrzeżenia.

1. To, że jedynym efektem działania p. Demidowa była utrata pracy, jest niestety normalną koleją rzeczy również w Australii. *Time Australia* w numerze 42/1991 opublikował artykuł „Uczciwość i zrujnowane życia”. Przytoczono tam 6 czy 7 przypadków podobnych do niniejszego. We wszystkich tych przypadkach poszkodowanymi byli ludzie, którzy starali się przeciwdziałać złodziejstwu lub korupcji.

2. Od dawna wydawało mi się, że dosyć częste w Polsce łączenie stanowisk politycznych i administracyjnych, tak jak w przypadku sen. Kaczyńskiego, musi prowadzić do konfliktu interesów. Jeszcze gorzej jest, jeżeli polityk ten (i jego partyjni koledzy) wchodzi w spółki z bankrutującymi przedsiębiorstwami. Trudno uwierzyć, żeby sen. Kaczyński był do tego stopnia naiwny i nie orientował się, dlaczego „Budimex” wniósł do spółki taki duży udział.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Wojciech POPLAWSKI

## DO CZYTELNIKÓW KRAJOWEJ „KULTURY”

Fundacja „Myśl” (Wspieranie edytorstwa i czasopiśmiennictwa w Polsce) podjęła się kilka lat temu wydawania krajowej *Kultury*. Na skutek różnych, nieznanych nam bliżej, trudności wydanie krajowe *Kultury* nie ukazuje się od numeru lipiec/sierpień 1991. Jest to dla nas dużym ciosem ze względu na duże zapotrzebowanie w kraju, specjalnie w ostatnich kryzysowych miesiącach.

Pragnąc krajowe wydanie *Kultury* postawić na zdrowych zasadach szukamy nowego wydawcy i mamy nadzieję, że od 1 stycznia 1992 będzie to możliwe. O wznowieniu wydania krajowego poinformujemy Czytelników w ciągu grudnia br.

Niestety nie otrzymaliśmy listy prenumeratorów i nie możemy zwrócić się do nich bezpośrednio. Prosimy więc, by się z nami skomunikowali. Wpłacone sumy na prenumeraty będą im zaliczone na nową edycję.

REDAKCJA „KULTURY”



## Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1991

### Spis autorów

ADAMIEC Marek, AGOPSOWICZ Monika, A.M.P., AMSTERDAMSKI Stefan, ANANICZ Andrzej. — BAKUŁA Bogusław, BĄK Aleksander, BĄKOWSKI Adam Tadeusz, BERLIN-CZYK, BESANCON Alain, B.H., BIEREZIN Jacek, BIERNACKI Andrzej, BLACKWOOD Lee, BLIN Sławomir, B.M.P., BOCHEŃSKI Józef M., BONIECKI Jerzy, BORKOWSKA T., BRANNA Danuta, BRONŃSKI M., BRYŁOWSKI J., BUCHNER Antoni, CENDRARS Blaise, CHABROWSKI Tadeusz, CHRZANOWSKI Tadeusz, CHYLIŃSKA KAMILA, CIEMIŃSKI Ryszard, CIOŁKOSZOWA Lidia, CYWIŃSKA Krystyna, CZECH Mirosław, CZEKAJEWSKI Jan A., CZERNIAWSKI Adam, DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DARSKI Józef, DASZKIEWICZ Piotr, DEMIDOW Zbigniew, DOBOSZ Andrzej, DOKTOR Jan, DOMAGALSKA Stanisława, DRAWICZ Andrzej, DZIEWIĘCKA Małgorzata, DZWONKOWSKI Roman. — FALLENBUCHL Zbigniew M., FEDOROWICZ Andrzej, FIJAŁKOWSKI Ryszard, FLORCZAK Zbigniew (PELIKAN), FRAJLICH Anna, FRENKIEL Stanisław. — GAJOWNICZEK Paweł, GARLIŃSKI Józef, GAWLIK P., GAWRONSKI Andrzej, GIEDROYC Jerzy, GORCZYŃSKA Renata, GÓRSKI Krzysztof, GRABOWSKA Alina, GREMSKI Zdzisław, GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy. — HAINES John, HAUPT Zygmunt, HELLER Michał, HEN Józef, HERLING-GRUDZINSKI Gustaw, HERNIK Jagoda, de HERNANDEZ PALUCH Maria, HEYDENKORN Benedykt, HORZELSKI Jerzy P. — JANUSZEWSKA-SKREIBERG Janina, JARECKI Andrzej, JARZĘBSKI Jerzy, JASTRUN

Tomasz, JAŚKOWSKI J., JEDLICKI Jerzy, JÓZEWSKI Henryk, JÓŻWICKI Jerzy, JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga, JURYŚ Julia. — KACZMAREK Robert, KALINOWSKA-BLACKWOOD Izabela, KATZ HEWETSON Janina, KISILEWSKI Stefan, KISSINGER Henry, KLEJNOCKI Jarosław, KOBIERSKA Małgorzata, KOBOS Andrzej M., KOMAR Michał, KOSS Agata, KOSSOWSKA Stefania, KOWALSKI Roch, KRUCZEK Adam, KRZYSZEK Jerzy, KUCZYŃSKI Paweł, KURCZ Zbigniew, K.Z. — LANDSBERGIS Vytautas, LEITGEBER Bolesław, LEWANDOWSKI Roman, LIZAKOWSKI Adam, LISOWSKI Krzysztof. — ŁAMZAKI Maria, ŁUCZAK A. — MACHADO Antonio, MACHNIEWICZ Jacek K., MACURA Edwin, MAGALA Sławomir, MAKSYMOW Władimir, MAŁECKI Zbigniew, MARCINKOWSKI W.M., MASTIEROW Walerij, MATEJKO Aleksander Jan, MIANOWICZ Tomasz, MIŁOSZ Czesław, MODZELEWSKI Karol, MONDRY Janusz, MROCZYK Piotr, MROŻEK Sławomir, MUREK Tadeusz Leon, MUSO Soseki. — NASIELSKI Adam, NAZWISKA ZNANE REDAKCJI, NAZWISKO ZNANE REDAKCJI, NIEMIEC Maciej, NOWAK-JEZIORAŃSKI Jan. — ODOJEWSKI Włodzimierz, ORŁOŚ Kazimierz, ORU Jan, OSADCZUK Bohdan. — PACZOWSKA Maria, PANKIEWICZ Jerzy, PASZKOWSKI Lech, PECIAK Andrzej, PĘDZIWOŁ Aureliusz Marek, PIASECKI Paweł, PIĘTAK Piotr, PLESZCZYŃSKA Irena, PO CZU I, POLESKI Maciej, POPLAWSKI Wojciech, POSPIESZALSKI Antoni, PROKOP Jan, PRYZYSTAWA Jerzy. — RACIEŃSKI Zbigniew, RACZYŃSKI Edward, REDAKCJA, REDAKCJA KULTURY, R.G., ROLICKA M., ROMER Andrzej, RÜFEISEN Daniel, RUSAK-MAZUR Ela. — SAULO Stanisław, SIEMASZKO Z.S., SKALSKI Ernest, SKÓRZYŃSKI Piotr, SLADEK Zdenek, SMECZ, SNYDER Gary, SOŁTAN Jerzy, SOŁŻENICYN Aleksander, SPINELLI Barbara, STRUMIŁŁO P., STRUMIŃSKI Bohdan, SWIANIEWICZ Stanisław, SZACHMAJEW Siergiej, SZAJNERT Mariusz, SZARUGA Leszek, SZCZYGIEL Mariusz, SZULCZYŃSKI Andrzej, SZYPULSKI MAREK, SZWOCH Ryszard. — ŚMIEJA Florian. — TARGOWSKI Andrzej S., THOMPSON Ewa M., TOMASZKIEWICZ Jan A., TOPOROWSKI Wiesław F., TORAŃSKA Teresa, TUFU, TUSZYŃSKA Agata. — UNGER Leopold. — VACULIK Ludvik, VALENTA Jaroslav, VENCLOVA Tomas, VINCENZ Andrzej, VOLKO Ladislav, VYKOUKAL Jiri — WANTUŁA Tadeusz, WARZEL Adam, WASIUTYŃSKI Wojciech, WHITMAN Walt, WOJNOWSKI Leszek, WOŁICKI Krzysztof, WOŁOSZ Artur K.F. — ZAGIERSKI Przemysław, ZARZĄD POLSKIEGO PEN CLUBU, ZECHEN-



TER Katarzyna, ZIELIŃSKI Marek, ZIEMIĘCKA Zofia,  
ZIĘTARA Maciej, ZUBRZYCKI Jerzy. — ŻABA Norbert.

#### Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

B.H.: *Kronika kanadyjska* (1/520-2/521, 3/522, 4/523, 5/524,  
6/525, 7/526-8/527, 9/528, 11/530, 12/531).

BOCHENSKI J.M.: *Mój komentarz* (7/526-8/527).

CIEMIŃSKI Ryszard: *Nielatwa ziemia* (3/522).

*Czy to tylko niedawna przeszłość?* (Rozmowa dziennikarza z  
mjr. KGB J. Proskurinem) (11/530), przekład z rosyjskiego.

DZIEWIĘCKA Małgorzata: *Co kontynent afrykański pocznie  
bez apartheidu?* (10/529).

FLORCZAK Zbigniew (PELIKAN): *Orzeł biały na tle nerwo-  
wym* (7/526-8/527).

GAJOWNICZEK Paweł: *Kronika norweska* (3/522, 6/525,  
7/526-8/527, 9/528).

GARLIŃSKI Józef: *List z Londynu* (3/522, 7/526-8/527, 9/528).

KACZMAREK Robert: *Przyszłość energii nuklearnej* (7/526-  
8/527).

— *Warunki powodzenia programu energetycznego* (5/524).

KISSINGER Henry: *Pomagajmy Europie Wschodniej* (9/528),  
przekład z angielskiego.

MIŁOSZ Czesław: *Państwo wyznaniowe* (7/526-8/527).

MODZELEWSKI KAROL: *Przejąć suchą nogą* (5/524).

— *Solidarność Pracy* (4/523).

MONDRY Janusz: *Rozwiązanie Ośrodka Badań Polski w  
Tokio* (9/528).

— *Stosunki sowiecko-japońskie* (11/530).

MORAWSKI Jerzy: *Charkowskie memento* (10/529).

ORU Jan: *Rozważania o filantropii* (3/522).

SOŁŻENICYN Aleksander: *Oświadczenie* (11/530).

*Sprawozdanie NED — 1 października 1989 — 30 września 1990*  
(9/528).

SZAJNERT Mariusz: *Kronika amerykańska* (1/520-2/521, 3/522,  
4/523, 5/524, 9/528, 11/530).

TUSZYŃSKA Agata: *Odwrócona klepsydra* (10/529).

UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli — Spóźniony wielbłąd  
Mahometa* (4/523).

— *Widziane z Brukseli, z Moskwy i Kijowa — (Życie po  
Gorbaczowie)* (6/525).

— *Widziane z Brukseli i z Warszawy — Kiedy słyszę słowo  
Kultura...* (10/529).

*Wydarzenia miesiąca* (1/520-2/521, 3/522, 4/523, 5/524, 6/525,  
7/526-8/527, 9/528, 10/529, 11/530, 12/531).

ZIELIŃSKI Marek: *Ucieczka przed Polską* (6/525).

*Z ostatniej chwili: Deklaracja założycielska Stowarzyszenia poro-  
zumienia niemiecko-polskiego* (1/520-2/521).

ŻABA Norbert: *Kronika szwedzka* (6/525, 7/526-8/527, 11/530).

#### Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą*  
(3/522, 6/525, 9/528).

— *Rembrandt w miniaturze* (1/520-2/521).

KOMAR Michał: *Strona Grandiera* (9/528).

MIŁOSZ Czesław: *Nad Niewiażą, wiek dziewiętnasty* (5/524).

— *Rodziewiczówna* (3/522).

— *W Wielkim Księstwie Sillicianii* (9/528).

SOŁTAN Jerzy: *Budownictwo i architektura sakralna w obecnej  
Polsce* (1/520-2/521).

#### Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

GORCZYŃSKA Renata: *Wprowadzenie do Haupta* (4/523).

HAUPT Zygmunt: *Ułan Czuchnowski* (4/523).

HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Cmentarz Południa* (12/531).

— *Monolog o martwej mniszce* (4/523).

MROŻEK Sławomir: *Egzorcyzmy* (4/523).

— *Wolna konkurencja* (4/523).

ORŁOŚ KAZIMIERZ: *Pamięć* (3/523).

#### Utwory poetyckie

BAKOWSKI Adam Tadeusz: *Psalm* (12/531).

CHABROWSKI Tadeusz: *Druciane skarpetki* (12/531).

— *Formułka księdza Wacława katechety* (5/524).

— *Poranny pacierz* (5/524).



- FRAJLICH Anna: *Bez adresu* (3/523).  
 JASTRUN Tomasz: *Bezsenność* (9/528).  
 — *Deszcz* (9/528).  
 — *Dzień między wojnami* (9/528).  
 KOBIERSKA Małgorzata: *Polska w sierpniu 1989* (12/531).  
 LISOWSKI Krzysztof: *List do przyjaciela z Alabamy* (3/523).  
 LIZAKOWSKI Adam: *Amadeusz* (12/531).  
 MIŁOSZ Czesław: *Filologija* (7/526-8/527).  
 — *Fotografia* (7/526-8/527).  
 — *Młodość* (7/526-8/527).  
 — *Nowe przekłady (II)* (1/520-2/521):  
 CENDRARS Blaise: *Frisco City; Rybna zatoczka; Tampa; Ziemia Aleutów; Żniwo* (Przekład z francuskiego).  
 HAINES John: *Pociąg przystaje w Healey Fork* (przekład z angielskiego).  
 MACHADO Antonio: *Tęcza w nocy* (przekład z hiszpańskiego).  
 MUSO Soseki: *Stary człowiek bez obowiązków* (przekład z angielskiego).  
 PO CZU I: *Filozofowie* (przekład z angielskiego).  
 SNYDER Gary: *Kampanie w Sawtooths; Koniec października; Ważka* (przekład z angielskiego).  
 TU FU: *Czysto po deszczu; Wiatr z Południa* (przekład z angielskiego).  
 WHITMAN Walt: *Jestem poetą rzeczywistości; Wiejski obraz* (przekład z angielskiego).  
 NIEMIEC Maciej: *Dni lata* (12/531).  
 ZECHENTER Katarzyna: \*\* (12/531).  
 ZIĘTARA Maciej: *Goya — Kaprysy* (12/531).

## Sprawy krajowe

- Bezpieczeństwo Polski* (6/525).  
 B.M.P. (tłumacz) (zob. Barbara Spinelli).  
 BONIECKI Jerzy: *Koleiny i manowce prywatyzacji* (3/522).  
 CHRZANOWSKI Tadeusz: *Szło stare* (6/525).  
 CIEMIŃSKI Ryszard: *Polska wielu ojczyzn* (1/520-2/521).  
 CZEKAJEWSKI Jan A.: *Manna z nieba* (1/520-2/521).  
 DASZKIEWICZ Piotr: *Polska katastrofa ekologiczna* (5/524).  
 DRAWICZ Andrzej: *A może by tak niekonwencjonalnie...* (11/530).

- FALLENBUCHL Zbigniew M.: *Zadłużenie Polski* (6/525).  
 GIEDROYC Jerzy: *W poszukiwaniu dróg wyjścia z kryzysu* (1/520-2/521).  
 KACZMAREK Robert: *Finansowe czynniki skuteczności gospodarczej* (1/520-2/521).  
 — *Symbole i złudzenia* (11/530).  
 MAGALA Sławomir: *Incydent* (1/520-2/521).  
 PIETAK Piotr: *Budowanie ruin* (12/524).  
 POLESKI Maciej: *Kierunek ruchu* (5/524).  
 — *Projekt państwa* (3/522).  
 POPŁAWSKI Wojciech: *Inicjatywa oddolna widziana z Brisbane* (3/522).  
 — *Migawki z Polski* (11/530).  
 PROKOP Jan: *W co się Pan bawi, panie prezydencie?* (5/524).  
 SMECZ: *Z ukosa* (1/520-2/521, 4/523, 5/524, 7/526-8/527, 11/530, 12/531).  
 SPINELLI Barbara: *W oczach Zachodu* (1/520-2/521) — z włoskiego przełożyli B.M.P.  
 SZCZYGIEL Mariusz: *Miasteczko, które nie widzi nadziei* (12/531).  
 UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli — Wypędzanie szatana* (1/520-2/521).  
 WOLICKI Krzysztof: *Antrakt* (5/524).  
 — *Bóg tak chce* (6/525).  
 — *Chaos obywatelski* (12/531).  
 — *Czasu mało, Panie prezydencie* (9/528).  
 — *Imponderabilia i banialuki* (7/526-8/527).  
 — *I po krzyku* (1/520-2/521).  
 — *Krajobraz przed bitwą* (4/523).  
 — *Polaryzacje* (3/522).  
 — *Różnica czasu* (10/529).

## Sąsiedzi

- AGOPSOWICZ Monika: *Prasa ukraińska na cenzurowanym* (4/523).  
 — *Ukraina: fakty i prognozy* (12/531).  
 BAKUŁA Bogusław i MACURA Edwin: *Wspólnota mniejszości* (7/526-8/527).  
 BERLIŃCZYK: *Niemcy na rozdrożu* (1/520-2/521).  
 BESANÇON Alain: *Podłość* (1/520-2/521) — przekład z francuskiego.  
 BLACKWOOD Lee: *Polska w oczach czeskich. Rozmowa ze*



- Zdenkiem Sladekiem, Jaroslavem Valentą i J. Vykoukalem (7/526-8/527) — przekład z czeskiego.
- CZECH Mirosław: *Nie tylko Lwów i Przemyśl* (9/528).
- DARSKI Józef: *Kronika litewska i białoruska* (4/523).  
— *Kronika litewska, białoruska i ukraińska* (1/520-2/521).  
*Informacja o pobycie delegacji litewskiej w Paryżu* (1/520-2/521).
- JURYŚ Julia: (tłumacz) ob. Władimir Maksimow.
- KALINOWSKA BLACKWOOD Izabela i BLACKWOOD Lee: (tłumacze) ob. BLACKWOOD Lee.
- KOWALSKI Roch: *Kompleks Budrysa* (7/526-8/527).
- KOZAK Stefan: *Dniepr i Wisłę związać pieśni stulą...* (10/529).
- KRUCZEK Adam: *W sowieckiej prasie* (1/520-2/521, 3/522, 4/523, 5/524, 6/525, 7/526-8/527, 9/528, 10/529, 11/530, 12/531).
- MAGALA Sławomir: *Umiarkowany szok* (9/528).
- MAKSIMOW Władimir: *Prawo karmy* (5/524) — z rosyjskiego przełożyła Julia Juryś.
- MASTIEROW Walerij: *Czy wszystkie drogi prowadzą przez Polskę?* (4/523) — przekład z rosyjskiego.  
— *Rosyjski Kurier Warszawski* (12/531) — przekład z rosyjskiego.
- MONDRY Janusz: *Fundacja „Zaolzie”* (3/522).  
*Obliczenie* (4/523) — przekład z rosyjskiego.
- ORŁOŚ Kazimierz: *Pytanie* (3/522).
- OSADCZUK Bohdan: *Kacap i chachoł* (12/531).  
— *List z Kijowa. Niepodległość z trudnościami* (10/529).  
— *Nowa ugoda polsko-ukraińska w Warszawie* (10/529).  
— *Ukraina, Żydzi i Rosja* (11/530).
- Polscy katolicy w Moskwie* (3/522) — przekład z rosyjskiego.  
*Ratujmy cerkwie* (12/531).
- ROMER Andrzej: *Po dwóch latach* (12/531).
- SZULCZYŃSKI Andrzej: *Zrozumieć Ukraińców* (Rozmowa z Andrzejem Vincenzem) (7/526-8/527).  
*Z działalności SPNP* (9/528).
- ZIELIŃSKI Marek: *Wspólna sprawa* (5/524)

#### O religii bez namaszczenia

- BOCHEŃSKI J.M.: *O moralności, etyce i mądrości* (7/526-8/527).
- LEITGEBER Bolesław: *Reformacja w Polsce* (7/526-8/527).
- NAZWISKA ZNANE REDAKCJI: *Kościół polski w republikach sowieckich* (5/524).
- PĘDZIWIOL Aureliusz Marek: *Rozmowa z Ludwikiem Vaculikiem* (7/526-8/527).

- POSPIESZALSKI Antoni: *Bunt integrystów — Marcel Lefebvre* (5/524).  
— *Encyklika centesimus annus* (7/526-8/527).  
— *Notatki ewangelizacyjne* (4/523).  
— *Religijna zimna wojna* (11/530).
- TUSZYŃSKA Agata: *Dzieci o religii w szkole* (7/526-8/527).  
— *Spotkałam Jezusa z Nazaretu — Rozmowa z bratem Danielem Rufeisenem* (10/529).

#### Wywiady „Kultury”

- GORCZYŃSKA Renata: *Nasz człowiek w Waszyngtonie — Rozmowa z Andrzejem Jareckim* (5/524).  
— *Rozmowa z Tomaszem Venclową* (Powrót Litwy na orbitę europejską) (3/522).
- HERNANDEZ PALUCH de Maria: *Rozmowa z ambasadorem RP w Paryżu Ryszardem Fijałkowskim* (4/523).
- LEWANDOWSKI Roman: *Wszystko przesłaniają handlarze... Rozmowa z Ladislavem Volko* (1/520-2/521).
- ODOJEWSKI Włodzimierz: *Rozmowa z Piotrem Mroczykiem o sprawach Radia Wolna Europa* (11/530).
- PACZOWSKA Maria: *Rozmowa z prezydentem Edwardem Raczynskim* (12/531).
- PĘDZIWIOL Aureliusz Marek: *O Polakach w Czechach i Słowacji — Rozmowy z Danutą Branną i Tadeuszem Wantulą* (10/529).
- TORAŃSKA Teresa: *Rozmowa z Janem Nowakiem* (3/522).
- WARZEL ADAM: *Rozmowa z prof. Jerzym Zubrzyckim* (10/529).
- ZIELIŃSKI Marek: *Rozmowa z prezydentem Vytautasem Landsbergisem* (6/525).

#### Polemiki — Wolna Trybuna

- DASZKIEWICZ Piotr: *Wątpliwości wokół programu energetycznego* (10/529).
- GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy, PASZKOWSKI Lech, ZUBRZYCKI Jerzy: *Polacy w Australii zredukowani* (1/520-2/521).
- JAŚKOWSKI Jerzy: *Na marginesie polemiki H. Martinowej* (ob. 7/514-8/515) (1/520-2/521).



- PRZYSTAWA Jerzy: *Medice, cura te ipsum* (3/522).  
 SKÓRZYŃSKI Piotr: *Polska demokracja w pół drogi* (11/530).  
 THOMPSON Ewa M.: *Dialog polsko-rosyjski* (9/528).

#### Sprawy i troski

- Apel z Mohylowa* (9/528).  
 CHYLŃSKA Kamila: *Wszyscy jesteśmy ludźmi, ale...* (4/523).  
 CIOŁKOSZOWA Lidia: *Jak było naprawdę?* (9/528).  
 CYWIŃSKA Katarzyna: *Dekonfitura w publicystyce* (7/526-8/527).  
 DEMIDOW Zbigniew: *Bezkarne nadużycia* (3/522).  
 KOBOS Andrzej M. i KRZYSZEK Jerzy.: *Prezydent pochylał głowę* (12/531).  
 KURCZ Zbigniew: *Polacy: bohaterowie czy handlarze?* (1/520-2/521).  
 STRUMIŃSKI Bohdan: *Rosja a sławistyka amerykańska* (11/530).  
 SZACHMAJEW Siergiej: *Russo turisto* (1/520-2/521). — przekład z rosyjskiego.  
 TUSZYŃSKA Agata: *Listy z Syberii* (1/520-2/521).  
*Uchodźcy ze Wschodu w Polsce* (5/524).

#### Ci, co odeszli

- BUCHNER Antoni: *Andrzej Panufnik* (12/531).  
 CHRZANOWSKI Tadeusz: *Stefan Kisielewski* (11/530).  
 HEN Józef: *Juliusz Stroynowski — czynny i uczynny* (9/528).  
 JÓZEWSKI Henryk: *Pogrzeb Marii Dąbrowskiej* (11/530).  
 KISIELEWSKI Stefan: *O Władysławie Bienkowskim* (7/526-8/527).  
 KOSSOWSKA Stefania: *Karol Zbyszewski* (1/520-2/521).  
 ŁAMZAKI Maria: *Jerzy Stefan Langrod* (3/522).  
 RACIŃSKI Zbigniew: *Zdzisław Bau, Buzuluk — Jangi Jul — Bagdad — Bolonia* (5/524).  
 SWIANIEWICZ Stanisław: *Wspomnienie o mojej żonie Olimpi* (11/530).  
 SZYPULSKI Marek: *Stanisława Jaklicz* (6/525).  
*Wiktor Fay* (9/528).

#### Kronika kulturalna

- ADAMIEC Marek: *Literatura polska lat 80-tych* (6/525).  
 BONIECKI Jerzy: *O kulturze przez małe czy duże „K”* (10/529).  
 BRONSKI M.: *Isaac Bashevis Singer (1904-1991)* (9/528).  
 BUCHNER Antoni: *Jesienne granie w Warszawie* (12/531).  
 — *Wspomnienie o Mozarcie* (10/528).  
 CHRZANOWSKI Tadeusz: *Interarmizm a modyzm* (12/531).  
 DOBOSZ Andrzej: *O pisaniu prawdy* (6/525).  
*Fox, Kabajun, Epte, Ego, kto się bawi w chowanego* (3/522).  
 GRABOWSKA Alina: *Nomenklaturowy mutant* (9/528).  
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Perły Vermeera* (10/529).  
 HERNIK Jagoda: *Wileńskie środy literackie* (7/526-8/527).  
 Horzelski Jerzy P.: *Przygodne notatki o mowie* (1/520-2/521).  
 JANUSZEWSKA-SKREIBERG Janina: *Festiwal ibsenowski w Oslo* (12/531).  
 JARZĘBSKI Jerzy: *Tożsamość polska w zwierciadle prozy* (7/526-8/527).  
 KOSS Agata: *Tydzień polonistów na KUL'u* (1/520-2/521).  
 K.Z.: *Dział polski w British Library* (10/529).  
*Nagrody im. K.A. Jeleńskiego dla tłumaczy literatury polskiej* (5/524).  
*Nagrody „Kultury” za rok 1990: Lidia CIOŁKOSZOWA i Wojciech WASIUTYŃSKI — nagrody publicystyczne im. Juliusza Mieroszewskiego; Tomasz JASTRUN (Witold Charłamp) — nagroda literacka im. Zygmunta Hertzta* (1/520-2/521).  
*Nagrody różne* (3/522, 9/528).  
 PIASECKI Paweł: *Polska na wygnaniu* (6/525).  
 POSPIESZAŁSKI Antoni: *Kenneth Mackenzie* (3/522).  
 SZWOCH Ryszard: *O Kociewiu bez namaszczenia* (7/526-8/527).  
*Uroczystość w Bibliotece Polskiej* (12/531).
- Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze**
- ANANICZ Andrzej: *Rosja Sotłenicyna* (1/520-2/521).  
 BIERNACKI Andrzej: *Dziedziczny arcyśrołnik królestwa Galicji i Lodomerii* (10/529).



- BRONSKI M.: *Ostatni tekst Dürrenmatta* (4/523).  
 CZERNIAWSKI Adam: *Przeciw godności* (7/526-8/527).  
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Akta Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu* (10/529).  
 — *Mickiewicz osobliwie potraktowany* (12/531).  
 DOBOSZ Andrzej: *O ostatnim z alfabetów* (1/520-2/521).  
 FRENKIEL Stanisław: *Książka o Adamie Kossakowskim* (12/531).  
 GORCZYŃSKA Renata: *Rashomon. Rzecz o Jerzym Kosińskim* (7/526-8/527).  
 HELLER Michał: *Koronny dowód* (9/528).  
 HEYDENKORN Benedykt: *Ważna publikacja ukraińska* (3/522).  
*Instytut Literacki w Kraju* (1/520-2/521).  
 JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga: *Pisarze nadal nieobecni* (7/526-8/527).  
 KACZMAREK Robert: *Klub nowego myślenia „Przyszłość świata”* (3/522).  
 KATZ HEWETSON Janina: *Jeszcze o Singerze* (11/530).  
 MONDRY Janusz: *Problem z Japonią* (4/523).  
 — *Przewaga technologiczna Japonii* (6/525).  
*Nadestane nowości wydawnicze* (1/520-2/521, 3/522, 4/523, 5/524, 6/525, 7/526-8/527, 9/528, 10/529, 11/530, 12/531).  
 POSPIESZAŁSKI Antoni: *Katolicyzm Grahama Greene'a* (6/525).  
 SZARUGA Leszek: *Bunt w butonierce* (6/525).  
 — *Chaotyczne uwagi o poezji lat ostatnich* (9/528).  
 — *Pisanie o emigracji* (5/524).  
 ŚMIEJA Florian: *Ale i słaby nie zginie* (3/522).  
 UNGER Leopold: *„Anty-Kultura”* (9/528).  
 ZIEMIĘCKA Zofia: *Czytając prasę* (1/520-2/521, 3/522, 4/523, 6/525).

#### Tłumaczenia

##### Z języka angielskiego

- HAINES John: *Pociąg przystaje w Healy Fork* (1/520-2/521) w przekładzie Czesława Miłosza.  
 KISSINGER Henry: *Pomagajmy Europie Wschodniej* (9/528).  
 MUSO Soseki: *Stary człowiek bez obowiązków* (1/520-2/521) w przekładzie Czesława Miłosza.  
 PO CZU I: *Filozofowie* (1/520-2/521) w przekładzie Czesława Miłosza.  
 SNYDER Gary: *Wiersze* (1/520-2/521) w przekładzie Czesława Miłosza.

- TU FU: *Wiersze* (1/520-2/521) w przekładzie Czesława Miłosza.  
 WHITMAN Walt: *Wiersze (Jestem poetą rzeczywistości, Ważka)* (1/520-2/521) w przekładzie Czesława Miłosza.

##### Z języka czeskiego

- BLACKWOOD Lee: *Polska w oczach czeskich* (7/526-8/527) w przekładzie Kalinowskiej-Blackwood Izabeli i Blackwood Lee.

##### Z języka francuskiego

- BESANÇON Alain: *Podłość* (1/520-2/521).  
 CENDRARS Blaise: *Wiersze Frisco City, Rybna zatoczka, Tampa, Ziemia Aleutów, Żniwo* (1/520-2/521) w przekładzie Czesława Miłosza.

##### Z języka hiszpańskiego

- MACHADO Antonio: *Tęcza w nocy* (1/520-2/521) w przekładzie Czesława Miłosza.

##### Z języka rosyjskiego

- Czy to tylko niedawna przeszłość?* (11/530).  
 MAKSIMOW Władimir: *Prawo karmy* (5/524) w przekładzie Julii Juryś.  
 MASTIEROW Walerij: *Czy wszystkie drogi prowadzą przez Polskę?* (4/523).  
 — *Rosyjski Kurier Warszawski* (12/531).  
*Polscy katolicy w Moskwie* (3/522).  
 SZACHMAJEW Siergiej: *Russo turisto* (1/520-2/521).

##### Z języka włoskiego

- SPINELLI Barbara: *W oczach Zachodu* (1/520-2/521) w przekładzie B.M.P.

#### Bibliografia

*Indeks autorów i tematów rocznika „Kultura” za rok 1991* (12/531).



## Nota biograficzna

Zubrzycki Jerzy (10/529).

## Listy do Redakcji

BAK Aleksander (10/529). BONIECKI Jerzy (9/528). BORKOWSKA T. (10/529). BRYŁOWSKI Jan (5/524). BUCHNER Antoni (12/531). CZEKAJEWSKI Jan (5/524). DEMIDOW Zbigniew (10/529). DOKTOR Jan (5/524). DOMAGALSKA Stanisława (5/524). DZWONKOWSKI Roman, ks. (11/530). FEDOROWICZ Andrzej (5/524). GARLIŃSKI Józef (3/522, 7/526-8/527). GAWROŃSKI Andrzej (4/523). GÓRSKI Krzysztof (9/528). GREMSKI Zdzisław (1/520-2/521). JOŹWICKI Jerzy (9/528). KLEJNOCKI Jarosław (11/530). KUCZYŃSKI Paweł (4/523). LEWANDOWSKI Robert (4/523). ŁUCZAK A. (5/524). MACHNIEWICZ Jacek K. (1/520-2/521). MAŁECKI Zbigniew (4/523). MARCINKOWSKI W.N. (1/520-2/521, 6/525). MATEJKO Aleksander Jan (9/528). MIANOWICZ Tomasz (1/520-2/521, 7/526-8/527). MUREK Tadeusz Leon (4/523). NASIELSKI Adam (12/531). NAZWISKO ZNANE REDAKCJI (3/522). NOWAK-JEZIORAŃSKI Jan (6/525). PANKIEWICZ Jerzy (1/520-2/521). PLESZCZYŃSKA Irena (10/529). POPŁAWSKI Wojciech (12/531). POSPIESZAŃSKI Antoni (3/522, 7/526-8/527). ROLICKA M. (1/520-2/521). RUSAK MAZUR Ela (1/520-2/521). SAULO Stanisław (4/523). SIEMASZKO Z.S. (11/530). SKALSKI Ernest (5/524). STRUMIŁO P. (4/523). SZAJNERT Mariusz (1/520-2/521). SZARUGA Leszek (1/520-2/521). TARGOWSKI Andrzej S. (4/523). TOMASZKIEWICZ Jan A. (7/526-8/527). TOPOROWSKI Wiesław (3/522). WOJNOWSKI Leszek (3/522). WOŁOSZ Artur K.F. (4/523). WYTWICKI Wasyl (1/520-2/521). ZAGIERSKI Przemysław (5/524).

Odpowiedzi Redakcji (1/520-2/521, 4/523, 10/529, 11/530).

## Różne

Do Czytelników krajowej „Kultury” (12/531).  
Komunikat Centrum Studiów Kultury Polskiej (1/520-2/521).  
Komunikat Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim (1/520-2/521).  
Komunikat: Stypendium Jana i Zuzanny Brzękowskich (1/520-2/521).  
Najgłupsze zdanie roku (4/523).  
Oświadczenie Jerzego Giedroycia (3/522).  
PECIAK Andrzej: Inauguracja działalności wydawnictwa FIS (1/520-2/521).  
Rozliczenie funduszu b. Towarzystwa Kursów Naukowych (10/529).  
Sprostowanie Redakcji (3/522, 4/523).  
Wpłaty na Fundację Pomocy Żołnierzom Armii Krajowej im. gen. L. Okulickiego w Warszawie (7/526-8/527).  
Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/520-2/521, 3/522, 4/523, 5/524, 6/525, 7/526-8/527, 9/528, 10/529, 11/530, 12/531).  
Wpłaty na Internat Liceum Ukraińskiego w Legnicy (7/526-8/527).  
Wpłaty na Litwę (3/522, 9/528).  
Wpłaty na pomoc Polakom w Rosji (1/520-2/521, 3/522, 5/524, 6/525, 7/526-8/527, 9/528, 10/529, 12/531).  
Wyjaśnienie PEN-CLUBU (9/528).

Wydawnictwa książkowe Biblioteki „Kultury”  
w roku 1991

Tom 466 — Jakub Karpiński: — *Dziwna Wojna*. Str. 160.  
Tom 467 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 95-ty). Str. 240.  
Tom 468 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 96-ty). Str. 240.  
Tom 469 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 97-my). Str. 240.  
Tom 470 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 98-my). Str. 240.

Dla orientacji Czytelników podajemy spis zawartości *Zeszytów Historycznych* wydanych w 1991 roku.

Zeszyt 95-ty — Jakub Karpiński: *Lekcja anatomii (makrosocjologia i sowietologia)*; Bp Szczepan Wesoły: *Stosunki między gen. Sikorskim i bp. J. Gawliną*; Tadeusz Wyrwa: *Poselstwo R.P. w Madrycie w latach 1940-1944*; Franciszek Król:



*Pierwszy strajk w Gulagu. Workuta 1953*; Michał Komar: *Pan Adam*; Gen. Izydor Modelski: *Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (dokończenie)*; *Raport płk. Henryka Pobońskiego*; *Dwa listy płk. Jana Rzepeckiego do Stanisława Mikolajczyka z lipca 1945 r.*; Andrzej Paczkowski: *UB a połączenie SL i PSL w 1949 roku*; Witold Dworzyński: *Biografia Wieniawy*; Tadeusz Wyrwa: *Polska w polityce międzynarodowej 1945-1947*; Jerzy R. Krzyżanowski: *Kąkolewnica — podlaski Katyń*; Tadeusz Wyrwa: *Działalność Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie*.

Zeszyt 96-ty — Eugeniusz Kwiatkowski: *Dziennik czynności Ministra Skarbu, 16 lipca 1939 r. do 8 października 1939 r.*; Franciszek Król: *Oswobodzenie i powrót z Kołomy (1954-55)*; Michał Komar: *Cztery relacje; PPS a PPR na początku 1948 r.*; Grzegorz Mazur: *Refleksje nad historią Polski XX w.*; Tadeusz Wyrwa: *Raport o sytuacji w Polsce w 1942 r.*; Emanuel Halicz: *„Rosjanie w Warszawie”*; Dr Ant. Stefanowski: *Ostatnie chwile Marszałka Piłsudskiego*; Henryk Kozłowski ps. Kmita: *List w sprawie poakowskiej konspiracji antykomunistycznej*.

Zeszyt 97-my — Marek Zieliński: *Lekcja historii*; Bogusław Leitgeber: *Europejskie tło narodzin Akademii Krakowskiej*; Bernadeta Tendyra: *Władysław Sikorski w oczach Brytyjczyków*; Leszek Brzoza: *Piłsudczycy na emigracji*; P.R. Magocsi: *Ukraińcy Galicji pod rządami Habsburgów i Sowietów*; Adam Ciołkosz: *Raport z okupowanej Polski (opr. Andrzej Friszke)*; Jerzy Polaczek: *Żołnierze AK w obozach Maryjskiej ASSR*; Józef Mirski: *Kościół katolicki na Białorusi*; Tadeusz Wyrwa: *Losy wywiadu polskiego we Francji*; Benedykt Heydenkorn: *Bractwo ukraińskich mesjanistów*; Andrzej Paczkowski: *„Izolacja” Prymasa Wyszyńskiego*; Witold Ptasznik: *Legia Oficerska. Z dziejów zapomnianego oddziału Wojska Polskiego na Bliskim Wschodzie*; Hubert Łaszkiwicz: *Polacy w Brześciu*.

Zeszyt 98-my — Hanna Świdarska: *„Co mamy zrobić z Andersem” (Gen. Anders w Public Record Office)*; Jędrzej Tucholski: *Ekshumacja Charków-Miednoje 25.VII. — 31.VIII. 1991 r.*; Edmund Nowak: *Obóz Pracy w Łambinowicach 1945-1946*; Z.S. Siemaszko: *Pipsztoki*; Leszek Brzoza: *Piłsudczycy a kryzys prezydencki*; Tadeusz Wyrwa: *Francja w podziemnej prasie polskiej 1940-1944*; Jan J. Lorys: *Walka o użycie w Kraju I. Samodzielnej Brygady Spadochronowej*; Piotr Wandycz: *August Zaleski o polskiej polityce zagranicz-*

*nej w 1941 r.*; August Zaleski: *Do mego następcy na stanowisku Ministra Spraw Zagranicznych w Londynie*; Zygmunt Pocięcha: *System Wronki*; Agata Tuszyńska: *Warszawskie wspomnienia Mikołaja Awenariusza*; Alfred Kolator: *Internowanie na Litwie*; Zygmunt Wenda: *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia, cz. I*; Kazimierz Braun: *Jerzy Braun (1901-1975)*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Michał Heller: *Mołotow, najwierniejszy z wiernych*; Jan Ciechanowski: *W sowieckim osaczeniu i Udany autoportret powstańca i emigranta*; Ryszard Lów: *Czytając Borwicza*; Józef Lewandowski: *Jeszcze o Powstaniu Styczniowym i Federacja środkowo-europejska*; Wojciech Roszkowski (Andrzej Albert): *Odpowiedź Grzegorzowi Mazurowi*; Czesław Miłosz: *List do Redaktora „Zeszytów Historycznych”*; Marek Zieliński: *Odwaga staniała*; Tomasz Mianowicz: *Dwa nieznane listy*.

Numery Kultury marcowy (3/522), wrześniowy (9/528) i grudniowy (12/531) miały po stron 176.



Polnische Buchhandlung

**KSIĘGARNIA POLSKA**

**Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria**

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

**Tel. i fax: (1) 52 63 114**

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie



# LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.  
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE  
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □  
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.  
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.  
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.  
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

## GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili  
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej  
Wyspie Świętego Ludwika.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 4<sup>e</sup> trimestre 1991.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.  
42, av. de Wagram, 75008 Paris  
Imprimé en France.  
N° d'imprimeur 4584-1991

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04  
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1992			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 12,00	\$ A. 70,00	\$ A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114 .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623 .....	F 1h 20,00	F 1h 100,00	F 1h 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311 .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifschies, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63 .....	\$ can. 12,00	\$ can. 65,00	\$ can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstrasse 39/41, Postfach 34 01 08, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55 .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 43 05 84 .....	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärsgratan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonton Nr 48 82 34 6 .....	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kreto-wicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Book-store, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492 .....	\$ US 10,00	\$ US 55,00	\$ US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241 .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).



# Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 466 — JAKUB KARPIŃSKI (MAREK TARNIEWSKI)

## DZIWNĄ WOJNA

(Grudzień 1981)

Szósta książka autora w Bibliotece „Kultury” należy do serii prac o przełomowych okresach w powojennej historii Polski, w której poprzednio ukazały się „Pochodzenie systemu”, „Porcja wolności”, „Krótkie śpięcie”, „Płonie komitet”.

Książka mówi o *dziwnej wojnie* z grudnia 1981 roku. Pokazano ją na tle wydarzeń z początku lat osiemdziesiątych. Rozdziały: „*Solidarność*” przed stanem wojennym — główne punkty historii, 1981–1982: Pierwszy rok stanu wojennego. 1983–1984: Policja i opozycja.

Str. 160.

Cena F. 80,00.

TOM 470 — ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT DZIEWIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

zawiera opracowania: Hanna Świdarska: „*Co mamy zrobić z Anderssem*” (Gen. Anders w Public Record Office); Jędrzej Tucholski: *Ekshumacja Charków-Miednoje 25.VII. – 31.VIII. 1991 r.*; Edmund Nowak: *Obóz Pracy w Łambinowicach 1945-1946*; Z.S. Siemaszko: *Pipsztoki*; Leszek Brzoza: *Piłsudczycy a kryzys prezydencki*; Tadeusz Wyrwa: *Francja w podziemnej prasie polskiej 1940-1944*; Jan J. Lorys: *Walka o użycie w Kraju I. Samodzielnej Brygady Spadochronowej*; Piotr Wandycz: *August Zaleski o polskiej polityce zagranicznej w 1941 r.*; August Zaleski: *Do mego następcy na stanowisku Ministra Spraw Zagranicznych w Londynie*; Zygmunt Pocięcha: *System Wronki*; Agata Tuszyńska: *Warszawskie wspomnienia Mikołaja Awenariusza*; Alfred Kolator: *Internowanie na Litwie*; Zygmunt Wenda: *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia, cz. I*; Kazimierz Braun: *Jerzy Braun (1901-1975)*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Michał Heller: *Mołotow, najwierniejszy z wiernych*; Jan Ciechanowski: *W sowieckim osaczeniu i Udany autoportret powstańca i emigranta*; Ryszard Löw: *Czytając Borwicza*; Józef Lewandowski: *Jeszcze o Powstaniu Styczniowym i Federacja środkowoeuropejska*; Wojciech Roszkowski (Andrzej Albert): *Odpowiedź Grzegorzowi Mazurowi*; Czesław Miłosz: *List do Redaktora „Zeszytów Historycznych”*; Marek Zieliński: *Odwaga staniała*; Tomasz Mianowicz: *Dwa nieznanne listy*.

Str. 240.

Cena F. 90,00.

**Cena 50 F**